ŚMIECIOWA REWOLUCJA

Wojciech Cejrowski uderza w ekoterroryzm i ekoterrorystów

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 28/484 11–17 LIPCA 2022 CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Semka o Sekielskim – nowym szefie „Newsweeka"

Obrońca Bandery – czy Andrij Melnyk awansuje z Berlina do Kijowa?

TOKSYCZNY PROROK Z DAVOS – Yuval Noah Harari

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 54 000 egzemplarzy

prasa.pl 660f69da97

ORLEN

NA WAKACJE

-30 gr/l

-40 gr/l
z KARTĄ DUŻEJ RODZINY

Miesięcznie aż 3 promocyjne tankowania z Programem VITAY. Każde do 50 litrów taniej!

Ważna karta VITAY lub Wirtualna Karta VITAY uprawnia do uzyskania rabatu na 50 l benzyny lub oleju napędowego w wysokości 30 gr/l lub 40 gr/l w przypadku posiadaczy Karty Dużej Rodziny. Każdy dodatkowy litr powyżej 50 l rozliczany jest według ceny ofertowej podanej na dystrybutorze w trakcie tankowania. Promocja nie obejmuje autogazu (LPG), nie łączy się z innymi programami rabatowymi i promocyjnymi i jest ograniczona c zasowo – termin obowiązywania w Regulaminie promocji. Promocja dla Zarejestrowanych Uczestników ORLEN VITAY. Regulamin promocji oraz lista stacji uczestniczących w promocji na stronie vitay.pl/rabaty

eprasa.pl 660f69da97

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Rząd uchwalił, że jest

To, że rząd podejmuje uchwały, nie jest niczym nadzwyczajnym. Jednak treść ostatniej, ogłoszonej w zeszłym tygodniu, jest – nawet jak na standardy polskiej polityki – wielce osobliwa. W dokumencie pojawiło się mianowicie twierdzenie, że Rada Ministrów wskazuje wszystkim ministrom wchodzącym w jej skład, że zobowiązani są do realizowania wspólnej polityki ustalonej przez Radę Ministrów. Brzmi to trochę jak masło maślane i słusznie wywołało złośliwe docinki komentatorów, którzy uznali, że rząd wydał uchwałę, że jest rządem.

W uchwale przypomniano, że zgodnie z zapisami ustawy o Radzie Ministrów „każdy członek rządu reprezentuje w swoich wystąpieniach stanowisko zgodne z ustaleniami przyjętymi przez rząd, które ma charakter wiążący i nie może być publicznie kwestionowane". I dalej: „Większość parlamentarna, z której wyłoniony został rząd, reprezentuje szeroki zakres idei patriotycznych, co naturalnie powoduje, że w odniesieniu do niektórych spraw mogą powstawać różne oceny i opinie. […] Uwagi i zastrzeżenia można podnosić także na właściwych etapach rządowego procesu legislacyjnego. Nie należy natomiast publicznie, poza wspomnianymi procedurami, kwestionować działalności innego członka rządu". Faktycznie, groteskowość rzuca się w oczy. Równie dobrze można byłoby ogłosić, że premier jest premierem, a minister ministrem. Jednak żarty na bok. Po co była ta uchwała?

Odpowiedź jest oczywista: to efekt narastającego sporu między premierem Mateuszem Morawieckim a ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą. Zastanawiam się jedynie, co chciał przez taką uchwałę osiągnąć premier? Jak wiadomo, głównym punktem, który krytykują minister Ziobro i Solidarna Polska, jest kwestia błędów w polityce europejskiej. Nie sposób nie zauważyć, że podpisując się pod unijną zasadą „pieniądze za praworządność" w 2020 r., premier Mateusz Morawiecki oddał w ręce Brukseli znaczącą część polskiej suwerenności. Dopuścił do tego, by to Komisja Europejska odgrywała w stosunku do polskiego rządu rolę nauczyciela i sędziego. Zgodził się także, by od tych ocen Komisji zależał los wypłat dla Polski. Premier obiecał wówczas, że Komisja nie będzie mogła ingerować w polski proces legislacyjny, a mechanizm „pieniądze za praworządność" będzie służył tylko do walki z korupcją. W zamian za to Polska miała otrzymać znaczące wsparcie finansowe z Brukseli, które premier nazywał nowym planem Marshalla. Był tak pewien swego, że w kwietniu zeszłego roku rząd obwieścił na billboardach, że pieniądze dostał.

Jednak zamiast nich opinia publiczna dowiedziała się podczas ostatniej wizyty w Polsce przewodniczącej Komisji Europejskiej o ponad stu warunkach, które Polska zgodziła się spełnić w ramach przygotowanego przez rząd Krajowego Planu Odbudowy. Ważnym ich elementem miały być uzgodnienia dotyczące zmian w reformach wymiaru sprawiedliwości. Tylko że, sądząc z wypowiedzi niektórych przedstawicieli Komisji, jak ostatnio komisarz Věry Jourovej, również tu kompromis jest niepewny. Według niej nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym nie wypełnia bowiem warunków określonych w KPO.

Wszystko to brzmi doprawdy dziwnie i gdyby nie dotyczyło spraw poważnych, można by ciąg tych wypowiedzi uznać za kabaret, w którym to premier raz po raz wychodzi na scenę i ogłasza sukces, a przedstawiciele Unii wołają do niego: „Hola, nic z tego!". Nie wiadomo, kto z kim i co dokładnie ustalił. Wiadomo jedynie, że do tej pory pieniądze do Polski nie popłynęły, a wypowiedzi unijnych urzędników są co najmniej butne.

To, że w istocie chodzi o spór polityczny, dobrze pokazuje ciąg ostatnich wypowiedzi premiera i ministra sprawiedliwości. Ostatnim jego akordem były słowa Mateusza Morawieckiego: „Reforma wymiaru sprawiedliwości jest konieczna; żałuję, że do tej pory tak niewiele udało się Ministerstwu Sprawiedliwości wykonać". Niezależnie, czy to ocena słuszna czy nie, robi ona znowu wrażenie, jakby premier nie miał nic wspólnego z własnym rządem. Czyżby stał na czele gabinetu, który tych reform nie zatwierdził?

Wygląda na to, że niepowodzenia własne premier nauczył się doskonale przenosić na innych. Za Polski Ład, który był jego sztandarowym projektem, zapłacił minister finansów Tadeusz Kościński. W ramach odcinania się od samego siebie premier niedawno zresztą Polski Ład skrytykował. Za brak pieniędzy z Brukseli ma być teraz odpowiedzialny Zbigniew Ziobro, a nie ci, którzy kompromis (?) wynegocjowali. Rozumiem, że jeśli pieniądze dalej do Polski nie popłyną, to znajdą się inni winni: na końcu będzie to zapewne tłumacz, który źle przetłumaczył warunki porozumienia.

Do pewnego stopnia to zręczna taktyka. Pytanie: Na jak długo? Rzeczywistość ma to do siebie, że nie da się jej ciągle oszukiwać. I wtedy żadna uchwała nie pomoże. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

TEMAT TYGODNIA

14 JAN FIEDORCZUK
DEMOKRACJA KONTRA INTERESY
Prorok świata po „Wielkim Resecie"

KRAJ

20 ROZMOWA Z DR. JANEM PARYSEM
NAJNIEBEZPIECZNIEJSZE MIEJSCE NA ŚWIECIE
Ostatni szczyt NATO daje powody do optymizmu

24 ZUZANNA DĄBROWSKA
USZCZELNIANIE GRANICY

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZEMSTA! ZEMSTA NA WROGA!

28 PIOTR SEMKA
SEKIELSKI, CZYLI DŁUGA MEDIALNA WSPINACZKA

32 TOMASZ ROWIŃSKI
UTRZYMAĆ INICJATYWĘ

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
WIĘZIENIE NA OSTRO

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
SKANDALISTKI, UCZONE, DEWOTKI
Kobiety w czasach Wazów

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 PAWEŁ CHMIELEWSKI
POLSKA BEZ KSIĘŻY
Nadciąga największy kryzys Kościoła

48 MAREK JUREK
UKRAINA I CHRISTIANITAS: NADZIEJE I ZŁUDZENIA

HISTORIA

52 RAFAŁ ŁATKA
WOKÓŁ ROZMÓW NA SZCZYCIE
Spotkania prymasa Glempa i Wojciecha Jaruzelskiego

ŚWIAT

60 PIOTR WŁOCZYK
EGZOTYCZNY MIKS BRICS
Antyzachodni front

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
AMBASADOR BANDERY

EKONOMIA

64 TOMASZ CUKIERNIK
DLACZEGO NIE BRAĆ DOTACJI?
Pozorne zyski a realne koszty

68 ŁUKASZ WARZECHA
HOLENDERSKA EUTANAZJA ROLNICTWA

O ZDROWIU

72 KATARZYNA PINKOSZ
NA BIAŁACZKĘ NIE TRZEBA UMIERAĆ
Białe plamy w hematoonkologii

74 ROZMOWA Z DR HAB. BARBARĄ RADECKĄ
NAJWIĘKSZY PROBLEM TO NIEDOBORY KADROWE

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (59), GABRYEL, WARZECHA (67), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 660f69da97

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **D. BALIBOUSE/REUTERS/FORUM, K. VAN ACCOM/AFP/EAST NEWS**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Śmierć na receptę", Piotr Gociek, „DRz" nr 26/2022

Często korzystam z Waszych kulturalnych propozycji, czy to z rubryk z serii „Nie przegap", czy tych zawartych w dłuższych tekstach. Mimo że zawdzięczam Wam wiele wieczorów przy dobrej książce, ciekawym filmie czy wartościowym serialu, nie czułem potrzeby, by pisać list do redakcji. W zasadzie to nigdy nie napisałem żadnego listu, do żadnej redakcji…

Tym razem postanowiłem napisać. Raz, by podziękować panu Piotrowi Goćkowi za tekst o serialu „Lekomania". Dwa, by podzielić się z Państwem moimi wrażeniami i zachęcić innych czytelników „Do Rzeczy", aby obejrzeli ten serial.

Jestem nim do głębi poruszony! Świetny pod każdy względem, z doskonałą grą aktorską, pełną emocji fabułą itp. Ale to, co jest jak kubeł zimnej wody wylany na głowę, to pokazanie sposobu działania gigantów farmaceutycznych. Sprzedawanie śmierci na receptę za zgodą skorumpowanych urzędników, kłamanie prosto w twarz, mamienie społeczeństwa, przekupstwo i nieliczenie się z nikim i niczym. Ważny jest tylko zysk…

Jakże niepokojąco ogląda się ten serial w postcovidowej rzeczywistości. Skoro sprzedawanie narkotyków w aptekach i robienie ze zdrowych ludzi ćpunów było możliwe, to może i tym razem, mówiąc najdelikatniej, jak tylko się da, nie powiedziano nam całej prawdy?

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Instrumentalne traktowanie kobiet

Chciałam podzielić się pewną refleksją na temat podcastu, w którym brał udział Rafał Trzaskowski. Zewsząd słyszę o wulgaryzmie, o niestosowności wypowiedzi itp., ale nie spotkałam się z opinią, że twarz LGBT, ruchów feministycznych i innych w Warszawie w młodości – jak wynika z tej wypowiedzi – mówiła o kobietach „d..y". Jesteśmy niemal równolatkami z panem Trzaskowskim i wiem, że również wtedy było to określenie obraźliwe i nieakceptowane.

Z drugiej strony pokazuje też po raz kolejny, jak bardzo powierzchownie i instrumentalnie traktowane są tzw. prawa kobiet. Myślę, że spokojnie można założyć, że i inne środowiska o te swoje „prawa" walczące traktują te „prawa" tak samo. Swoją drogą ciekawa jestem, jak prezydent Warszawy w młodości mówił o homoseksualistach…

Smutne jest to, że w komentarzach o tym nieszczęsnym kontekście nikt o rzeczywistym upokorzeniu kobiet nie wspomniał.

Pozdrawiam
Agnieszka

eprasa.pl 660f69da97

NA PIERWSZY OGIEŃ

Orzeł Biały i zbrojny, złoty lew

PIOTR SEMKA

Polski parlament ratyfikował 7 lipca akces Szwecji i Finlandii do NATO. W wypadku Królestwa Szwecji za zagłosowało 440 posłów. W wypadku Finlandii – prawie wszyscy. Wstrzymał się jedynie poseł Grzegorz Braun, a przeciw zagłosował inny konfederata, Robert Winnicki (twierdzi, że się pomylił).

Tak oto wciela się w życie idea północnego sojuszu jako zapory przeciw imperializmowi Rosji. Pojawiła się ona w 1919 r., w czasie wizyty fińskiego przywódcy Carla Mannerheima u Józefa Piłsudskiego. W czasie rozmów w Belwederze Naczelnik państwa polskiego zarysował wizję wspólnego stawiania oporu bolszewikom w ramach bloku państw od Finlandii poprzez Estonię, Łotwę, Litwę aż do Polski. Mannerheim był za, gdyż doskonale znał agresywność państwa Lenina.

Ten fiński wojskowy, przedstawiciel szwedzkiej szlachty mającej dobra na terenie Finlandii, dobrze poznał Polskę, gdy stacjonował tu jako carski oficer na początku XX w. „To właśnie polska arystokracja [...] pokazała Mannerheimowi, kim są Polacy, jak potrafią dbać o swoją tradycję, jak potrafią dążyć do swojej niepodległości" – pisał historyk prof. Zbigniew Wawer.

Być może dzięki temu doświadczeniu, gdy w 1917 r. upadł carat – Mannerheim stanął na czele walki Finów o niepodległość. I zyskał wsparcie większości polskich oficerów oraz żołnierzy z armii carskiej stacjonujących na terenie Finlandii. A było ich tam całkiem sporo. Według ocen historyków na początku pierwszej wojny światowej na terenie Finlandii stacjonowało 4–6 tys. Polaków wcielonych do armii rosyjskiej. Po upadku caratu powstawać zaczęły Związki Wojskowe Polaków w Finlandii. 24 kwietnia 1917 r. rtm. Stanisław Bogusławski został mianowany dowódcą Legionu Polskiego w Finlandii.

Już w marcu 1919 r. Finlandia uznała niepodległość Rzeczypospolitej, a w grudniu 1919 r. doszło do wizyty Mannerheima u Piłsudskiego. Niestety, idea antybolszewickiego „sojuszu północnego" rozbiła się o weto Litwy. Nasi sąsiedzi skupieni byli wówczas na odzyskaniu Wilna. Plany sojuszu państw od Helsinek do Warszawy torpedowała też dyplomacja niemiecka, mająca wówczas spory wpływ na rząd litewski. Gorzkie owoce tego braku zgody zapłaciły wszystkie północne państwa w latach 1939–1940, gdy Stalin napadł na Polskę, potem na Finlandię, a wreszcie zaanektował państwa bałtyckie.

Dziś naprawiamy stare błędy i w ramach NATO próbujemy zatrzymać rosyjski neoimperializm. Głosowanie w polskim Sejmie w sprawie akcesu Finlandii do NATO na pewno ucieszyłoby ojca mojej mamy, a mojego dziadka, kmdr. Józefa Woźnickiego. Zaczynał swą służbę na morzu w marynarce rosyjskiej i stacjonował w fińskim porcie Kotka. Moja babcia opowiadała mi, jak głęboko szanował charakter narodowy Finów i ich wolę walki o swoją niepodległość. Ja sam także bardzo polubiłem Finlandię. Odwiedzając kiedyś Helsinki, przypadkowo usłyszałem niecodzienny fiński komplement. „Z kimś takim można iść razem na niedźwiedzie". Do Finów pasują te słowa w sam raz!

PS W poprzednim moim felietonie „Londyński spleen" zabrakło informacji, że inicjatorem spotkania ze mną w Londynie było Koło Myśli Niezależnej w Londynie. Za te usterkę w tekście bardzo przepraszam. ©℗

Prezydent Andrzej Duda składa wieniec przed pomnikiem Rzezi Wołyńskiej w Warszawie, 11 lipca 2019 r. FOT. TOMASZ GZELL/PAP

NARODOWY DZIEŃ PAMIĘCI OFIAR LUDOBÓJSTWA NA WOŁYNIU

11 lipca obchodzony jest Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na polskich obywatelach. Tego dnia przypada w tym roku 79. rocznica tzw. krwawej niedzieli, gdy w ponad stu miejscowościach na Wołyniu doszło do największej fali mordów na Polakach. Palono ich żywcem, wrzucano do studni, mordowano przy użyciu wideł i siekier. Szacuje się, że jednego dnia zginęło ok. 8 tys. Polaków. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 660f69da97

Johnson podał się do dymisji. Rosja świętuje

FOT. WIKTOR SZYMANOWICZ/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

– Ze smutkiem rezygnuję z najlepszej pracy na świecie – ogłosił w czwartek premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson, który wskutek licznych skandali i braku właściwej reakcji na nie został zmuszony do dymisji zaledwie po dwóch latach i 349 dniach sprawowania władzy.

Johnson przez ostatnie miesiące mocno starał się zachować stołek. Przetrwał afery związane z COVID-19, tzw. partygate. Sympatyków premiera zaczęło jednak ubywać, gdy coraz wyraźniej zaczęło być widać, że wbrew przedwyborczym obietnicom Partii Konserwatywnej po brexicie Brytyjczykom wcale nie żyje się lepiej. Boris Johnson zrezygnował jednak dopiero po tym, jak w ostatnich dniach dymisję złożyło ponad 50 członków jego gabinetu. Czarę goryczy przelał fakt, że premier nie zareagował w odpowiedni sposób na doniesienia, że Christopher Pincher, poseł Partii Konserwatywnej odpowiedzialny za partyjną dyscyplinę podczas głosowań w parlamencie, został oskarżony o to, że pod wpływem alkoholu obmacywał dwóch mężczyzn w prywatnym klubie (nie był to pierwszy przypadek, gdy Pincher został oskarżony o niewłaściwe zachowanie). Początkowo próbowano tłumaczyć, że premier nie wiedział o tych zarzutach, ostatecznie wyszło jednak na jaw, że Boris Johnson kolejny raz mocno minął się z prawdą, wiedział o dawnych zarzutach wobec Pinchera, a mimo to mianował go zastępcą whipa w partii.

Ostatecznie w zeszły czwartek charyzmatyczny polityk, który w 2019 r. poprowadził konserwatystów do największego zwycięstwa od trzech dekad, podał się do dymisji zarówno jako premier Wielkiej Brytanii, jak i jako lider Partii Konserwatywnej. Oznajmił jednak, że pozostanie na obu tych stanowiskach do czasu wyłonienia jego następcy. Żal z powodu dymisji Johnsona wyraziło wielu polskich komentatorów. Johnson dobrze znał bowiem historię Europy, dlatego jego rząd sprzyjał zarówno Polakom, jak i Ukraińcom.

Z tego powodu radości z przetasowań na szczytach brytyjskiej władzy nie ukrywają Rosjanie. – Najlepsi przyjaciele Ukrainy odchodzą. Czekamy na podobne wieści z Niemiec, Polski i krajów bałtyckich – oznajmił wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, były prezydent Dmitrij Miedwiediew.

Nadzieję na kontynuowanie polityki wspierania Ukrainy przez kolejnego szefa rządu w Londynie wyraził z kolei prezydent Stanów Zjednoczonych. – Oczekuję kontynuowania naszej bliskiej współpracy z rządem Zjednoczonego Królestwa. To dotyczy również utrzymania silnego, zjednoczonego podejścia do wspierania narodu Ukrainy, kiedy broni się on przed brutalną wojną Putina przeciwko jego demokracji – oznajmił Biden. Smutek z powodu dymisji wyraził prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. – Jestem pewny, że polityka Wielkiej Brytanii wobec Ukrainy się nie zmieni – zaznaczył ukraiński przywódca. O tym, że Wielka Brytania nie zapomni o Ukraińcach i nie zrezygnuje z roli lidera w walce z rosyjskim imperializmem, zapewniał zresztą w ubiegłym tygodniu odchodzący Boris Johnson.

Te zapowiedzi mogą się sprawdzić, jeśli nowym premierem zostanie obecna szefowa dyplomacji, niezwykle stanowcza wobec Rosji, energiczna Liz Truss. Ma ona jednak wielu rywali, którzy woleliby szukać kompromisu z Rosją. Nie wiadomo, jak długo będą trwały poszukiwania kolejnego lokatora Downing Street 10. Zapewne zakończą się przed zaplanowaną na październik konferencją Partii Konserwatywnej. ©℗ ***(jap)***

eprasa.pl 660f69da97

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rząd się zarządzi

Borisowi Johnsonowi jednego dnia złożyło dymisję 30 członków rządu – w tym tylko dwóch naprawdę wysokich rangą – i to wystarczyło, żeby musiał się podać do dymisji. Miło wiedzieć, że polskiemu premierowi taka sytuacja nie grozi. Polski rząd jest chyba światowym rekordzistą pod względem liczby ministrów, wiceministrów i podsekretarzy stanu, godnym umieszczenia w sławnej Księdze rekordów Guinnessa. Polskiemu premierowi mogłoby odejść i 300 pracowników, a mógłby tego nie zauważyć. Ciekawe, czy sam wie, ilu ich ma. Ja nie wiem, zgubiłem się przy stu dwudziestu kilku samych tylko ministrach i „wice", ale od tego czasu pojawiło się kilka kolejnych kół i frakcji, których gotowość do podtrzymania sejmowej większości trzeba było wynagrodzić, co z kolei rodziło potrzebę nowych nominacji dla innych kół i frakcji w ramach równoważenia wpływów. W języku władzy nazywa się to „wzmocnieniem kadrowym" danego „koalicjanta".

Długofalowym efektem tych wzmocnień jest, mówiąc kolokwialnie, beka, jakiej dostarczyła czytelnikom swych raportów NIK, poświęcając cały rozdział „podsumowania wykonania budżetu" zmianom w rządzie od czasu objęcia władzy przez Zjednoczoną Prawicę.

Ponieważ raport omawialiśmy na stronie DoRzeczy.pl, tylko krótko przypomnę, że zaledwie ok. jednej czwartej z istniejących 38 resortów nie zostało w tym czasie tknięte żadną reorganizacją. Niektórych dokonywano tylko na kilka dni, ministerstwa tworzono, dzielono, łączono, likwidowano i odtwarzano łącznie 83 razy. Przy czym szczególnie istotną sprawą dla władzy okazał się „rozwój", w omawianym okresie przenoszony do kompetencji dziewięciu kolejnych ministerstw. Natomiast z niepokojem przyjąć trzeba wiadomość, że sprawiedliwość i obrona narodowa traktowane są po macoszemu i nie zostały zreorganizowane ani razu. Być może dlatego, że to – było nie było – rząd jednopartyjny.

Jest jeden szkopuł – taki rząd, doskonale nadający się do wzmacniania kadrowego i wyważania wpływów różnych składowych sejmowej większości, nie bardzo nadaje się do rządzenia. Ale na szczęście tym zajmuje się ktoś inny. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Możemy się tylko oburzać

Źle się dzieje w Poznaniu. Jednego dnia miejscowy sąd zakazuje krytyki aktywistów Ruchu Wypier…ać i nazywania ich języka koprolalią, drugiego zezwala na symulowanie podrzynania gardła katolickiemu arcybiskupowi. Rzecznik poznańskiego sądu pewnie zaprotestowałby przeciw stwierdzeniu, że dokonano antysemickiej rewizji wyroku wrocławskiego sądu, który skazał sprawcę bardzo podobnego antysemickiego wybryku. I miałby „swoją rację", ponieważ o tym, co z czego wynika, decyduje sąd, a nie abstrakcyjna logika jego samowolnych krytyków. Despotyzm różni się od autorytaryzmu tym, że w tym drugim władza jest związana swoimi zasadami i swoimi decyzjami. Despotyczna władza nie jest związana niczym. Ma całkowitą swobodę, robi, co chce.

Wszystko to dzieje się w siódmym roku „reformy" polskiego sądownictwa. Wyroki są coraz gorsze, obalane są kolejne nienaruszalne zasady, społeczeństwo jest coraz mniej chronione. Ciekawe więc, ile jeszcze lat będziemy czekać na owoce tej reformy: siedem, siedemnaście, siedemdziesiąt? W końcu zmiany prawne powinny skutkować społecznymi, a nie jedynie wzmożeniem wyborczego oburzenia.

Rafał A. Ziemkiewicz, mój wybitny sąsiad na tej kolumnie, lubi porównywać obecne rządy do sanacji. Porównanie jest zasadne, ale tylko w tym sensie, że PiS sanację chciałby udawać; nie w tym sensie natomiast, by do sanacji był rzeczywiście podobny. Obóz pomajowy cały czas zastanawiał się, jak zagwarantować ustrojową ciągłość wprowadzanych, często brutalnie, zmian. Dał Polsce konstytucję kwietniową, dzięki której Rzeczpospolita (już po przejęciu władzy przez opozycję) zachowała uznawaną międzynarodowo reprezentację na lata wojny i dłużej.

A co będzie trwałym efektem obecnych rządów? Mandat totalnej opozycji do totalnej samowoli u władzy? Nie mam ochoty stawiać kolejnych retorycznych pytań. Chciałbym po prostu zachęcić władzę do autorefleksji. Lepiej późno niż wcale. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O hańbie

Jak wiecie, mordercy Czerwonych Brygad decyzją prezydenta Mitteranda z 1985 r. znaleźli schronienie we Francji. Ostatnio wiatr się nieco zmienił. Prezydent Macron obiecał poprzeć włoskie starania o ekstradycję 10 zbrodniarzy. Jednak francuski Sąd Apelacyjny 29 czerwca odrzucił wszystkie włoskie wnioski. Lewaccy terroryści skazani zaocznie przez włoskie sądy mogą spać spokojnie do końca swego żałosnego życia.

Włoscy mordercy zostali przyjęci w Paryżu jako żywi święci kultu Che Guevary. Stali się ozdobą salonów

Francuscy sędziowie powołali się na artykuły Europejskiej Konwencji Praw Człowieka o prawie do sprawiedliwego procesu i ochronie życia prywatnego i rodzinnego. Słowem – zgodzili się z rojeniami francuskich lewicowych elit o tym, że włoskie wojujące lewactwo padło ofiarą faszystowskiego reżimu policyjnego, a tak w ogóle to bardzo porządni ludzie, którzy ułożyli sobie życie nad Sekwaną. Jeśli nawet coś przeskrobali, to przecież w słusznej, rewolucyjnej sprawie.

Decyzji francuskiego sądu trudno się dziwić. Włoscy mordercy zostali przyjęci w Paryżu jako żywi święci kultu Che Guevary. Stali się ozdobą salonów. W krwiobieg francuskiej postępowej kultury weszli jak w masło. Francuskie panienki z Sorbony do dziś przyjeżdżają do Italii zbierać materiały do hagiograficznych prac naukowych o czerwonych brygadzistach. Francuski superkomuch Jean-Luc Mélenchon (22 proc. głosów w ostatnich wyborach prezydenckich) wrzeszczał niedawno, że włoskie państwo chce się zemścić na rewolucjonistach.

Pamiętam dobrze lata fermentu po rewolcie studenckiej 1968 r., która dokonała potwornego spustoszenia w umysłach młodych ludzi Zachodu. Do końca życia nie zapomnę francuskiej artystki na gościnnych występach we Wrocławiu, której służyłem za tłumacza. Przyniosłem jej wieść o tym, że Czerwone Brygady zamordowały byłego premiera i szefa włoskiej chadecji Aldo Moro (1978 r.). Promieniała ze szczęścia.

Honoru Francji broni jedynie minister sprawiedliwości Éric Dupond-Moretti: „Ciekawe, jak zareagowałaby Francja, gdyby mordercy z Bataclan dostali azyl w Italii?”. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 660f69da97

FOT. PAWEŁ GROMADA

INFLUENCERKA SZANOWANA

Celebrytka Julia Wieniawa żaliła się ostatnio, jak krzywdzące jest określanie jej mianem influencerki. Wyznała przy okazji, że woli, by nazywano ją wokalistką lub aktorką. Do słów koleżanki z branży odniosła się także inna celebrytka, blogerka modowa Maffashion. Jej zdaniem w słowach Wieniawy jest sporo prawdy, ale dodała także, że influencerem mogą być też szanowani ludzie: aktorzy, muzycy czy pisarze. – Pojęcie influencer nie jest negatywnym pojęciem. Zrobiło się powszechne i z różnych przestrzeni są osoby zestawiane. Są wkładane do tego samego worka. Influencerem może być szanowany aktor, szanowana aktorka, muzyk, pisarz i osoba pokazująca make-up. Tutaj wszyscy są wrzucani do jednego worka. Jest bardzo dużo kontrowersyjnych influencerów – stwierdziła. Ona jako instagramerka i blogerka modowa jest influencerką szanowaną czy może jednak kontrowersyjną? I po czym to poznać? Tyle pytań bez odpowiedzi!

NIC JEJ NIE ZATRZYMA!

Edyta Górniak postanowiła, niestety, kontynuować swoje opowieści, które rozpoczęła wystąpieniem na XIX Zlocie Wolnych Ludzi „Harmonia Kosmosu 2022". Przypomnijmy, że mówiła o tym, że wśród nas żyją „bioroboty, hybrydy, reptilianie" i „nie każdy, kto wygląda jak człowiek, ma duszę". Przekonywała też, że o pandemii koronawirusa wiedziała wcześniej, bo otrzymywała przekazy. Jej słowa wywołały dużo wesołości i komentarzy. Edzia postanowiła więc raz jeszcze w obszernym wpisie na Facebooku wyłuszczyć swoje poglądy.

– Cieszę się, że moja wypowiedź wywołała dyskusje. To zdecydowanie potwierdza, że podjęłam ważne zagadnienia. Prędzej czy później i tak spotkanie z historią naszego świata jest nieuniknione. I jest absolutnym priorytetem w procesie właściwego rozpoznania siebie, swojego miejsca i zadania we Wszechświecie. Nawet jeśli na razie to mniejszość populacji jest gotowa na poszerzenie swojej wiedzy i percepcji w zakresie wszelkim, a nie tylko pozostanie w ramach wyznaczonych i narzuconych przez edukację szkolną, proces i tak już ruszył i nic tego nie zatrzyma – stwierdziła Górniak. No chyba że ktoś w końcu weźmie Edzię do lekarza.

TĘCZOWY WÓR POKUTNY

Nie milkną oskarżenia pod adresem Małgorzaty Rozenek-Majdan o to, że nie zaszczyciła swoją obecnością niedawnej Parady Równości w Warszawie. Przypomnijmy: celebrytka wystylizowała się w kolorowo-tęczowy strój, zrobiła fotki, które zamieściła na Instagramie i myślała, że jest wystarczająco postępowa. Okazało się, że fani mieli inne zdanie. Zarzucili jej autolans i brak wrażliwości. – Małgorzata spędziła kilka godzin na robieniu makijażu i charakteryzacji, bo jej strój naprawdę wyglądał imponująco. Potem, gdy już była gotowa, poszła na Paradę dosłownie na chwilę. Przeszła po pasach, udokumentowała to na Instagramie i wróciła do innych obowiązków influencerki – opowiada Pudelkowi jeden ze znajomych celebrytki. Ona sama długo nie odnosiła się do zarzutów, ale w końcu musiała. – To jest tak, że ja jestem teraz w bardzo intensywnym czasie zawodowo, i nie tylko. Nie mam jak się pochylić nad tematem. Wydaje mi się, że temat został już zapomniany, i nie rozgrzebujmy tego od nowa – wyznała w rozmowie z portalem Plejada. Nie zostanie tak łatwo zapomniany, dopóki pani celebrytka publicznie nie posypie głowy popiołem i głośno nie przeprosi za swój brak postępowości. Wór pokutny już czeka. Tęczowy, ofkors.

JAKIE STRASZNE SPOŁECZEŃSTWO!

Jakiś czas temu piosenkarka Natalia Kukulska publicznie wyznała, że przestała chodzić do kościoła. – No nie dałam rady po prostu – wyjaśniła, dodając, że brakuje jej w Kościele autorytetów i w ogóle ma z Kościołem duży kłopot. Teraz Kukulska narzeka, że po tamtych wyznaniach spadła na nią, jak to sama ujęła, „lawina komentarzy zagorzałych moralizatorów". – To jest straszne, jakie bywa nasze społeczeństwo – żali się piosenkarka. – Rozliczanie kogoś z jego poglądów, oczekiwania wobec tego, jak ktoś będzie wyznawał swoją wiarę, są po prostu czymś absurdalnym. Nie wspomnę o jadzie, który w imię wiary szanowni wierni wylewają – narzeka Kukulska. – Wydaje mi się, że my w Polsce lubimy wywyższać się swoją moralnością: „A ty to tak powinieneś się modlić", „a ty to tak powinieneś wierzyć", „a tak powinnaś się buntować"... Ja tego nie rozumiem. Jeśli ktoś ma sposób na swoje życie, swoje poglądy, to niech je stosuje – radzi. Jak pani Natalia nie rozumie, to chętnie pomożemy. Jeśli nie chce się, by ludzie coś komentowali, to nie gada się o tym w kolejnych wywiadach! Cieszymy się, że mogliśmy pomóc. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, rolnicze lobby z terenów małych ośrodków, a nawet wsi straszy nas suszą i – uwaga, beka – że będzie mniej zboża. Serio, spodziewali się, iż się tym przejmiemy?

Przecież doskonale wiemy, że zboże to gluten. Więcej zboża to więcej glutenu, a mniej zboża to mniej glutenu. To proste. Dlatego dla nas to nie jest problem. Of kors przeciętny Janusz, który się przyzwyczaił, iż na śniadanie je chleb z bułką, a na kolację bułkę z chlebem, pewnie będzie miał mentalny problem, iżby się przestawić na np. wegańską sałatkę z bobem, smutkiem i koperkiem.

W ogóle taki globalny niedobór zboża może się okazać szansą dla ludzkości, która konsumuje za dużo mięsa, a następnie jeszcze poprawia to zbożowymi produktami, na zmianę nawyków żywieniowych.

Obecna dieta przeciętnego Janusza jest of kors nieekologiczna i niezdrowa oraz tucząca, chociaż of kors z tym problemu nie mamy, iż ciałopozytywność jest generalnie OK, no ale jednak nie w przypadku wąsatego Janusza, którego bebzon w żonobijce nam później zawłaszcza przestrzeń miejską.

Nie możemy tego wytrzymać, jak boomerzy narzekają na wyniki matur. Przypomnijmy, iż młodzież musi się mierzyć z wymaganiami, które przed nimi stawia jakieś grono starszych, białych cishetero mężczyzn, a następnie w znacznej mierze ci sami biali, starsi cishetero mężczyźni jęczą, jak źle poszła w tym roku matura, że kurła, kiedyś to było, że dzieci teraz to się nie chcą uczyć itd.

A prawda jest taka, że trzeba było zrobić łatwiejszą maturę, to problemu teraz by nie było. A nie zadać jakieś pytania, w których nie wiadomo, o co chodzi, i oczekiwać, że przeciętny neomaturzysta będzie miał z tego 30 proc.

W przyszłym roku niech ci wszyscy narzekacze sami sobie piszą tę maturę i potem narzekają sami za siebie, a od dzieci łapy precz. Młodzież sobie sama świetnie poradzi, sama sobie zaproponuje pytania i na nie odpowie, wszyscy będą mieli po 100 proc., bo w interesie młodych ludzi jest współpraca i jedność, a nie rywalizacja i współzawodnictwo ku uciesze starszych, białych i cishetero mężczyzn.

Ech, kochani, ten polski kompleks wyższości i udowadnianie całemu światu, iż jest się lepszym niż inni, a do tego jeszcze zamiłowanie do silników spalinowych… Otósh widzieliśmy wyniki badania, według którego aż 96 proc. polskich kierowców uważa się za dobrych kierowców.

Of kors zakładamy, iż badaniem nie zostały objęte kierowczynie – wówczas wyniki byłyby pewnie inne, iż kierowczynie kierowałyby się bardziej empatią, nie mają potrzeby wywyższania się i nie chciałyby się oceniać lepiej od innych, iż byłoby innym przykro.

My jednak żyjemy w patriarchalnym zaścianku, gdzie dla jednego i drugiego Janusza kierowanie samochodem jest najwyraźniej jakimś powodem do dumy i w dodatku także powodem do współrywalizacji z innym Januszem, który powozi innym passatem, polonezem czy audi 80, czy czym tam aktualnie Janusze jeżdżą.

Takie badania naszym zdaniem nie mają sensu, a sprzyjają wyłącznie temu, aby jeszcze mocniej promować patriarchat i toksyczną męskość. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Z zaciśniętymi zębami

Ale że co niby było nie tak z tym, co powiedziałem, Kuba?
No, choświy to, sze barzo trudno tak na soozień funchsjonowaś, Andszej.

Nie rozumiem, co ty do mnie mówisz. Możesz jakoś usta normalnie otwierać?
Nie mogę, bo zasiskam zęby. Tak jak dorazałeź.

Ale to była przecież tylko przenośnia, powiedzenie takie.
A ja si chcę pokazaś, że luzie się wkuszą na takie rady.
To jest jak kiedyź z panem Bronisławem: zmień fracę i weź kredyt.

Przestań się wygłupiać i zacznij normalnie mówić. A co ja niby miałem ludziom powiedzieć? Że mają emigrować czy jak?
W sumie to ja nie mogę teras normalnie snofu mówidź. Jakiź szczękościsk mnie złapał i czyma od tygodnia.

Tak z ciekawości – i co? Jakoś ci lepiej z tymi zaciśniętymi zębami?
Własiwie to tak. Schudłem już pięć kilo. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„PiS sprostytuował Trybunał Konstytucyjny, trójpodział władzy i Polskę".

ŁUKASZ KOHUT, *europoseł Nowej Lewicy, na Twitterze*

eprasa.pl 660f69da97

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Ledwie szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński opuścił rząd, a już okazało się, że tak się tam wszyscy kochają, że trzeba przyjąć specjalną uchwałę. Nosi ona tytuł: „O skuteczniejszym realizowaniu wspólnej polityki rządu". Owo stanowisko sprowadza się do tego, że rząd Mateusza ma zachowywać jedność wobec opinii publicznej, bo COVID-19, bo nielegalni imigranci na granicy z Białorusią, bo wreszcie Ruscy i wojna na Ukrainie. Znamy jednak także nieoficjalny tytuł tej uchwały: „Ziobryści – morda w kubeł!".

Może od razu wytłumaczymy. Otóż szorstka przyjaźń między Mateuszem a Zbigniewem nie jest już nawet tajemnicą poliszynela. W ogóle żadną tajemnicą nie jest. Chodzi o to, że Ziobro et consortes po każdym stanowisku Brukseli, że „piniędzy nie ma i nie będzie" – chodzi oczywiście o kasę z KPO – coraz głośniej krzyczą, że Mateusz to słabeusz. I ciężko się dziwić, że Matuszowi czasem nerwy puszczają.

Dodajmy, że ziobrystów dodatkowo rozzuchwalił fakt, że ogłoszono, iż delfinem Zjednoczonej Prawicy będzie Błaszczak, a nie Morawiecki. Dodatkowo okazało się, że notowania Zbyszka w przedbiegach kampanii prezydenckiej są znacznie wyższe niż jego formacji. Wprawdzie jeszcze wyższe są notowania Mateusza, ale Zbyszek w tej sytuacji ma czym straszyć. Tym, że nie będzie wspólnego kandydata Zjednoczonej Prawicy, bo Solidarna Polska wystawi własnego. Czyli Zbyszka. Wystawi, nie wystawi – chodzi o to, że na Mateusza jako kandydata na prezydenta Zbyszek na pewno się nie zgodzi.

Tymczasem wiewiórki z Brukseli (mamy i takie) objaśniają, jak to właściwie z tymi pieniędzmi z KPO będzie. Otóż dostaniemy tylko trochę, żeby można było pokazać, że dostaliśmy. Eurokraci następnie poczekają do przyszłego roku, czyli roku wyborczego, żeby pokazywać, że jednak nie dostaliśmy.

Uwaga! Mamy już żarcik roku, choć różne rzeczy wyrabia Eine Totalopposition, a Giertych Roman wciąż nie opuszcza Twittera. To demonstracja pod hasłem „Stop kolei wielkich prędkości!", w której brała udział PeŁo. Taki numer w wykonaniu partii, która kupowała Polsce Pendolino, to czyste złoto.

Aby zrozumieć, dlaczego PeŁo nie chce w Polsce kolei wielkich prędkości, wystarczy spojrzeć na pewne zdjęcie. Na pewno widzieliście tę ustawkę, czyli kadr, w którym tzw. zwyczajny Polak Tusk Donald stoi na peronie i czeka na pociąg. Powiedzcie sami: Czy on wygląda na człowieka, który zdążyłby na kolej wielkich prędkości?

À propos wielkich prędkości: zmiany, zmiany, zmiany. Tym razem nie w rządzie, tylko w spółkach Skarbu Państwa. Przyszedł czas na tradycyjne letnie wietrzenie gabinetów. Polski Cukier ma już wietrzenie za sobą. Podpowiadamy: Poczta Polska będzie następna.

Tymczasem nasza ulubiona premier in spe Izabela Leszczyna znów wzbogaciła polszczyznę, jak przystało na polonistkę. Tym razem sformułowaniem „Grzegorz Schetyna jest patriotą Platformy Obywatelskiej". Dotąd wiedzieliśmy, że można być np. patriotą polskim, niemieckim albo i rosyjskim. W zależności od kraju, w którym się człowiek urodził. Cóż to zatem za kraj, gdzie urodził się Grzegorz Skorpion Schetyna? Odpowiadamy: to dziki kraj.

W peezelu tymczasem trwają przygotowania do obchodów okrągłej 127. rocznicy powstania ruchu ludowego. Z tej okazji na siedzibie zielonych braci w Zielonej Górze pojawił się piękny banner. Upamiętnia pięć najważniejszych postaci w historii ruchu ludowego. Są to: Wincenty Witos, Stanisław Mikołajczyk, Waldemar Pawlak, Jolanta Fedak i Stanisław Tomczyszyn. Głupia sprawa, Włodzimierz Tygrys-Kamysz się nie załapał.

Przy okazji: Czy ktoś jeszcze pamięta, jak PeŁo kiedyś wpisała do programu postulat PIT w wysokości 15 proc.? W ostatnich latach ten punkt przejął z kolei peezel. Głupia sprawa, bo dziś najniższy PIT to 12 proc. No i co dalej? Mamy hasło dla Eine Totalopposition: „Piszcie programy, PiS je zrealizuje".

Zostańmy jeszcze przy peezelu. Wiecie, kto szykuje wspaniały prezent dla zielonych braci? Rzecznik praw obywatelskich, prof. Marcin Wiącek. Otóż podczas gdy prawackie media się ekscytują tym, jak rzecznik chce donosić na Polskę do Strasburga w sprawie nielegalnych imigrantów, dzieją się rzeczy ciekawsze. Wiącek złożył do Trybunału Konstytucyjnego zażalenie na decyzję Państwowej Komisji Wyborczej, która przed laty odebrała PSL dotację (w wyniku odrzucenia sprawozdania z wyborów). U ludowców, widzicie, się jakoś nie przelewa, więc czas to zmienić.

Polityka polityką, a największe emocje i tak wzbudzają publiczne rozliczenia byłych i aktualnych dziennikarzy „Newsweeka". Okazuje się, że pismo, które niejednokrotnie promowało na swych łamach rodziny poliamoryczne, w życiu codziennym stworzyło inny związek: wielokąt sado-maso. Wszyscy tam nad wszystkimi się znęcali i torturowali. W związku z tym proponujemy nowe hasło promujące „Newsweeka": „Lateks, łańcuchy i seks". Niestety, nie wymyśliliśmy go. To proroczy tytuł tekstu z tygodnika sprzed siedmiu lat.

W związku z ostatnimi spekulacjami na temat potencjalnego konfliktu interesów red. Agnieszki Burzyńskiej związanego z jej pracą dziennikarską zażądaliśmy od niej pełnej transparentności" – napisali naczelni Onetu i „Faktu". Oraz zawiesili ją „do czasu wyjaśnienia wszystkich okoliczności". Co to ma wspólnego z romansem pewnej dziennikarki i pewnego polityka od hajlowania na lotnisku w Niemczech? Oczywiście zupełnie nic. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

Cała nadzieja w słońcu

– jak obniżyć koszty energii w firmie?

Działania Direct4Energy skupiają się wokół popularyzacji i promocji energii słonecznej. To energia przyszłości. Firma oferuje klientom szeroki wybór rozwiązań z zakresu rozproszonej energetyki odnawialnej. Ma wieloletnie doświadczenie – działa w sprzedaży D2D i B2B od 2000 r.

Widmo wyczerpania się złóż węgla wisi nad polską gospodarką od lat. Nasza energetyka oparta jest na nim aż w 80 proc. Staje się to coraz większym problemem, nie tylko z powodów topnienia zasobów tego surowca. Rośnie presja na ochronę środowiska i walkę z globalnym ociepleniem. Jednak odejście od węgla to gigantyczne przedsięwzięcie, oznaczające konieczność miliardowych inwestycji w sektorze energetyki, włącznie z budową elektrowni atomowych. To przeraża klientów, obawiających się nieuniknionego wzrostu cen energii, z którym zresztą już teraz mamy do czynienia.

ROZWAŻ WŁASNE ŹRÓDŁA ENERGII ODNAWIALNEJ

I tu właśnie jest pole do popisu dla firmy Direct4Energy. Bo choć wzrostu cen energii nie da się powstrzymać, to można podjąć działania prowadzące do obniżania jej kosztów energii. Potrzebny jest do tego jednak fachowy doradca, doświadczony w optymalizowaniu kosztów działania firm. Może on pomóc skutecznie zarządzać kosztami energii elektrycznej i gazu, a nawet wybić na niezależność energetyczną – poprzez instalację nowoczesnych, niezależnych źródeł energii elektrycznej, takich jak panele fotowoltaiczne. Wszystko zgodnie z założeniem, że przyszłością energetyki są lokalne, niezależne, ekologiczne źródła energii.

ZMIEŃ DOSTAWCĘ ENERGII – I ZAOSZCZĘDŹ

Oprócz propozycji inwestowania we własne źródła energii odnawialnej firma może też zaoferować zmianę dostawcy energii wraz z umową na czas określony z gwarantowaną ceną (nawet do 2027 r. za energię i do 2025 r. za gaz). To propozycja szczególnie godna uwagi w dobie inflacji, gdy ceny – nie tylko energii – rosną z tygodnia na tydzień. Podpisanie długoterminowej umowy z gwarancją, że cena nie wzrośnie w trakcie jej obowiązywania, to najlepszy i najprostszy sposób zabezpieczenia się przed jej gwałtownymi skokami, które z pewnością nas czekają. Wpływa na to wiele czynników, zarówno drożejące surowce, jak i wzrost cen tzw. praw do emisji CO_2, które są prawie pięć razy droższe niż w ubiegłym roku.

OFERTA DOSTOSOWANA DO TWOICH POTRZEB

Na szczęście rynek energii w Europie jest konkurencyjny i daje klientom możliwość wyboru dostawcy energii. Trafny wybór pozwala zaoszczędzić nawet 20 proc. na otrzymanych rachunkach. Każdy klient Direct4Energy może liczyć na indywidualne dostosowanie oferty do jego potrzeb. Firma bardzo dba o profesjonalizm pracowników i – pomimo wieloletniego doświadczenia – nieustannie podnosi ich kwalifikacje, tak aby nadążali za trendami i oferowali tylko najbardziej opłacalne rozwiązania.

WSZYSTKO ZROBIĄ ZA CIEBIE

Ogromnym plusem obsługi jest wygoda. Firma we wszystkim klienta wyręczy. Musi on tylko przygotować ostatnie faktury za sprzedaż i dystrybucję energii. Zostaną one przeanalizowane przez fachowców, co pozwoli dobrać produkty zmniejszające koszty, a jednocześnie przyjazne dla środowiska. Wszystko to bez czasochłonnych formalności ze strony klienta. Co więcej, jeśli inwestycja będzie wymagała nakładów pieniężnych, można uzyskać pomoc w znalezieniu źródła finansowania. Warto więc skorzystać z dobrodziejstw konkurencyjnego rynku i sprawdzić, ile możemy zaoszczędzić na energii w naszej firmie. W wielu dziedzinach życia tracimy pieniądze, zdając się na dotychczasowe rozwiązania i automatycznie przedłużane stare umowy. Często poprzestajemy na tym, co mamy, z obawy o to, że każda zmiana pociągnie za sobą czasochłonną biurokrację. Jeśli zdamy się na Direct4Energy, formalności nie będą naszym kłopotem. A fachowcy wybiorą dla nas optymalne rozwiązanie – szybciej i skuteczniej, niż bylibyśmy w stanie sami to zrobić.

Chcesz obniżyć swoje rachunki za prąd i za gaz?
Zadzwoń pilnie – zamrozimy dla Ciebie atrakcyjne stawki na kilka lat.
Tel. kom. 735 097 026

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

direct 4 energy

eprasa.pl 660f69da97

Jan Fiedorczuk

Yuval Noah Harari jest być może pierwszym prorokiem świata po „Wielkim Resecie". Gwiazda demoliberalnych salonów projektuje nam wizję, w której spauperyzowane masy są na łasce globalnych elit, a suwerenne państwa zostają złożone na ołtarzu interesów wielkich korporacji

Impact 22 – największe i najbardziej prestiżowe wydarzenie gospodarczo-technologiczne w Europie Środkowo-Wschodniej. W tym roku gospodarzem imprezy był Poznań, a jednym z uczestników – premier Mateusz Morawiecki. To jednak nie szef polskiego rządu był główną gwiazdą imprezy. Całe wydarzenie otwierał Yuval Noah Harari – izraelski historyk i pisarz, który w ciągu minionej dekady zrobił zawrotną karierę, stając się naczelnym ideologiem globalizmu oraz prorokiem świata, który ma wyłonić się po pandemii koronawirusa. Jego prace (przetłumaczone na ponad 60 języków i sprzedane w ponad 40 mln egzemplarzy) promują największe nazwiska demoliberalizmu: Klaus Schwab, Barack Obama, Mark Zuckerberg czy Bill Gates; Ridley Scott planuje ponoć ekranizację jednej z jego książek.

Związek Harariego ze światem globalnych elit jest oczywisty. Ci, których Rafał A. Ziemkiewicz swego czasu ochrzcił mianem „liberalistokracji", bojąc się utraty dotychczasowych wpływów, wykorzystali pandemię COVID-19 do wielkiej ucieczki do przodu, czego dobitnym zobrazowaniem jest proces przyspieszonej federalizacji UE. Klaus Schwab, jeden z patronów Harariego, mówi wręcz o nastaniu nowej ery. Otóż założyciel Światowego Forum Ekonomicznego w Davos dzieli dzieje ludzkości na BC (Before Coronavirus) oraz AC (After Coronavirus), co jest wyraźnym odwołaniem, a zarazem próbą unieważnienia obowiązującej do tej pory periodyzacji dziejów względem narodzin Chrystusa. Koronawirus to Rubikon rozpoczyna-

Yuval Noah Harari, izraelski historyk i pisarz

FOT. WORLD ECONOMIC FORUM/MANUEL LOPEZ

eprasa.pl 660f69da97

jący nową epokę w dziejach ludzkości, a Harari ma być pierwszym prorokiem wyłaniającego się porządku.

PROROK DAVOS

Nie przypadkiem izraelski ideolog (tak chyba należy go określać) został zaproszony do wspomnianego Davos, gdzie przekonywał zebraną śmietankę demoliberalizmu, że globalizm jest jedyną drogą, jaka pozostała ludzkości. Ta prelekcja odbiła się szerokim echem w mediach, a sam Harari zaczął być po niej określany wręcz mianem „głównego doradcy Klausa Schwaba”.

W ostatnim czasie, częściowo na fali popularności Impact 22, głośno zrobiło się o Hararim również w Polsce. O ile jednak promocja jego osoby przez lewicowo-liberalne media nie była czymś zaskakującym, o tyle już dziwić może fakt, że jego manifest z Davos został opublikowany, a następnie promowany przez chadecki Klub Jagielloński (z kolei inny centro-prawicowy think tank, Nowa Konfederacja, sprzedaje książki Harariego w swej bibliotece).

Jeszcze bardziej niepokoi to, że szef polskiego rządu – wszak nominalnie konserwatywnego – spotkał się z naczelnym orędownikiem globalizmu i uznał to spotkanie za doskonałą sposobność do promocji swojej osoby. Po Impact 22 kancelaria premiera chwaliła się w mediach społecznościowych wspólnymi zdjęciami Mateusza Morawieckiego z izraelskim ideologiem. O czym panowie rozmawiali – nie wiemy. Najwyraźniej jednak Harari przestał być autorytetem wyłącznie lewej strony sceny politycznej i coraz większy wpływ wywiera również na prawicę. Żeby było zabawniej, wystąpienie Harariego ma być transmitowane na najbliższym Campusie Polska Rafała Trzaskowskiego. Jak widać, ten prorok globalizmu był w stanie pogodzić nawet zwaśnione strony polsko-polskiego sporu.

W trakcie swojej prelekcji na wspomnianym wyżej Impact 22 Harari podkreślał potrzebę wypracowania „nowego porządku światowego”, który będzie zdolny zapobiec przyszłym wojnom i pandemiom oraz przeciwdziałać zagrożeniom ekologicznym. – Musimy myśleć w kategoriach szerszych niż europejskie – przekonywał historyk, podkreślając jednocześnie, że państwa narodowe powinny uznać prymat idei globalizmu, inaczej świat pogrąży się w chaosie. To miłe z jego strony, że w ogóle przyznaje suwerennym państwom prawo do istnienia. Nie zawsze tak było.

KONIEC CZŁOWIEKA

Zanim przejdziemy do wizji świata, którą nam projektuje izraelski pisarz, poświęćmy chwilę antropologii, którą prezentuje w swoich dwóch najsłynniejszych pracach – „Sapiens. Od zwierząt do bogów” oraz „Homo deus. Krótka historia jutra”. Człowiek – naucza Harari – jest zwierzęciem pozbawionym wolnej woli. Jednostka „jest niczym więcej jak religijnym wymysłem” („Homo deus”, Kraków 2018, s. 439), a wolność to największa iluzja wszech czasów. Jak twierdzi „ostatni autorytet na Ziemi” (tak go tytułuje naczelny Onetu Bartosz Węglarczyk), jesteśmy jedynie zbiorem biochemicznych algorytmów – maszynkami zaprojektowanymi przez naturę, które za pomocą dzisiejszej techniki można „zhakować”. Co więcej, cały gatunek homo sapiens żyje w fikcji, opierając swoją cywilizację na iluzjach. Narody czy religie to wyłącznie kłamstwa, jakie sobie nawzajem opowiadamy – wielkie narracje, jakby to określił słynny postmodernista Jean-François Lyotard. Na marginesie warto zauważyć, że Harari nigdy nie prezentuje swych poglądów, tylko je „ogłasza” – prezentuje je ex cathedra jako prawdę objawioną i rzekomo wyrażającą konsensus naukowy.

Człowiek jest zatem zwierzęciem, ale – zaznacza nasz myśliciel – zarazem największym szkodnikiem w dziejach. Harari nawet nie tyle krytykuje całą ludzką cywilizację, ile po prostu gardzi nią. Jak przekonuje, człowiek do tej pory nie osiągnął niczego, z czego mógłby

Demokracja kontra interesy

eprasa.pl 660f69da97

Premier Mateusz Morawiecki i Yuval Noah Harari FOT. KRYSTIAN MAJ/KPRM

być dumny. Nasz ideolog mówi wprost – ludzie byli najszczęśliwsi, gdy w zamierzchłych czasach żyli pośród innych zwierząt. Odkąd homo sapiens opuścił jaskinie, wszędzie, gdzie się pojawiał, siał zniszczenie, cierpienie i śmierć. Niezliczone liczby zwierząt ubite, tysiące gatunków eksterminowane, miliony „mniejszych braci” zaprzęgniętych do niewolniczej pracy. „Przez tysiące lat homo sapiens zachowywał się jak ekologiczny seryjny morderca; teraz płynnie przechodzi do roli ekologicznego zbrodniarza dopuszczającego się masowych mordów” – oto dorobek człowieka („21 lekcji na XXI wiek”, Kraków 2018, s. 158). Twórczość Harariego w tym wymiarze jawi się jako jakiś odprysk ekologii głębokiej – antyindywidualistycznego nurtu, zgodnie z którym człowiek jest częścią przyrody; nie góruje nad nią, nie sprawuje nad nią władzy i powinien występować raczej jako jej adwokat niż użytkownik. Nie trzeba chyba dodawać, że autor „Homo deus” jest zadeklarowanym weganinem.

Czy jednak w takim świecie, świecie opartym na fikcji i cierpieniu, cokolwiek ma jeszcze znaczenie? Owszem – odpowiada Harari – liczy się postęp technologiczny – oto jedyne światełko w tunelu barbarzyństwa zwanego cywilizacją. Zdaniem izraelskiego badacza żyjemy w ostatnich dekadach rewolucji naukowej, która już wkrótce doprowadzi do prawdziwego przewrotu antropologicznego, a w zasadzie do zakończenia historii homo sapiens, umożliwiając człowiekowi za pomocą manipulacji biochemią swego organizmu awansować do poziomu „homo deus” – nowej, wyższej formy (post)człowieka. Harari prezentuje nam utopijną wizję przyszłości, w której nie ma śmierci, a ludzkość, sięgając poziomu bogów, zapewnia sobie zbawienie na Ziemi. A przynajmniej ta część ludzkości, którą będzie na to stać.

Na pierwszy rzut oka prace Harariego to połączenie naiwnej futurologii z niezbyt odkrywczymi przemyśleniami quasi-filozoficznymi. Jeżeli jednak przebijemy się przez tę infantylną wierzchnią warstwę, to dotrzemy do sedna jego myśli – wizji nowego wspaniałego świata. Świata, w którym rządzą pieniądz oraz brutalna siła globalnych korporacji, a na horyzoncie majaczy wizja nieznanego w dziejach totalitaryzmu.

NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT

Kluczowym aspektem myśli Harariego jest skrajny materializm połączony ze zwulgaryzowanym scjentyzmem, które prowadzą go do zakwestionowania istnienia indywidualności oraz wolności. Człowiek to zbiór algorytmów i działa powodowany biochemicznymi odruchami – w takim ujęciu nie ma miejsca na pojęcie wolnej woli. Człowiek jest więźniem swych instynktów, jego działania są zdeterminowane przez biologię.

Izraelski historyk jest promowany przez demoliberalny establishment, którego przedstawiciele nie są jednak świadomi, że hołubiona przez nich wizja przyszłości wiąże się z zakwestionowaniem panującego porządku politycznego. Liberalizm, jakbyśmy go oceniali, opiera się na pewnych aksjomatach – wolności, interesie jednostki, własności prywatnej, otwartym społeczeństwie, wolnym rynku czy (przynajmniej w późniejszych swych metamorfozach) demokracji. Wizja Harariego jest jednak nie do pogodzenia z tymi wartościami. Jeżeli człowiek nie ma wolnej woli, to zakwestionowany zostaje nie tylko system gospodarki wolnorynkowej, lecz także demokracja jako taka. „Nauki przyrodnicze […] podważają liberalizm” – głosi izraelski autor („Homo deus”, s. 384).

Harari nie ukrywa, że świat, jaki nastanie po „rewolucji naukowej”, będzie rządzony według radykalnie hierarchicznych zasad. Wraz z rozwojem technologii oraz nastaniem globalnego społeczeństwa nastąpi skrajne rozwarstwienie ekonomiczne oraz zapanuje permanentne, masowe bezrobocie. Izraelski historyk wieszczy nastanie „bezużytecznej klasy” – milionów czy wręcz miliardów ludzi, którzy wypchnięci na margines społeczny będą skazani na życie w nędzy. Aby uniknąć gniewu ludu, elity będą musiały rozwinąć państwowy interwencjonizm na niespotykaną do tej pory skalę. Podstawowy dochód gwarantowany – zasiłek umożliwiający przeżycie – to jedynie punkt wyjścia. Globalne imperium będzie musiało sztucznie kreować miejsca pracy (co jest rozumiane dość szeroko, bo autor wlicza tu np. „zawód rodzica”) oraz dbać o komfort psychiczny obywateli. Jego wizja doskonale zbiega się tutaj z koncepcją „czwartej rewolucji przemysłowej” przywoływanego wcześniej Klausa Schwaba, którego przewidywania co do przyszłości wyglądają zaskakująco podobnie.

Największy problem dotyczący spauperyzowanych, bezużytecznych mas ma dość trywialny charakter – Harari wskazuje tutaj na niewyobrażalną nudę, która będzie trawiła miliony osób wypchniętych na margines. Aby dać tym ludziom jakikolwiek sens w życiu, autor „Sapiens” proponuje kombinację... gier komputerowych oraz narkotyków. Plebs należy naćpać i otumanić – głosi onetowski „ostatni autorytet na Ziemi”. Ta wizja zakłada, że człowiek od kołyski aż po grób będzie totalnie zależny od organizmu państwowego, nie będzie w stanie funkcjonować poza państwem ani tym bardziej mu się przeciwstawić, gdyż nie będzie potrafił zapewnić sobie podstawowych środków do przeżycia. Zamiast tego otumaniony medykamentami i elektroniką zostanie zmieniony w potulny trybik w imperialnej maszynie. Społeczeństwo rozbite na atomy, pozbawione oparcia w naturalnych wspólnotach – narodzie, Kościele czy w końcu rodzinie – będzie zupełnie niezdolne do samoorganizacji i stawienia jakiegokolwiek oporu temu globalnemu Lewiatanowi.

Sam Harari przyznaje, że świat wyłaniający się z jego prac można określić mianem „utopijnej wizji komunizmu”

eprasa.pl 660f69da97

i – jak dodaje w swojej ostatniej większej publikacji – „wprawdzie komunistyczny projekt rewolucji robotniczej stał się trochę przestarzały, może jednak powinniśmy próbować urzeczywistnić cel innymi środkami?” („21 lekcji na XXI wiek”, s. 63).

Stłamszenie większości społeczeństwa wiąże się z wykształceniem nowej, globalnej elity, w której skład wejdą miliarderzy, właściciele międzynarodowych korporacji, wielka finansjera etc. Tylko najbogatszych będzie stać na korzystanie z dobrodziejstw technologii i upgrade'owanie swych własnych ciał. Ostatecznie Harari przyznaje, że nierówności ekonomiczne zostaną przetransformowane w nierówności biologiczne – narodzi się nowa oligarchia. „Nadchodzi nieśmiertelność, a więc koniec z równością” – oznajmia prorok globalistów („Homo deus”, s. 36). Społeczeństwo ma być zatem podzielone na zwierzęta (plebs) oraz nadludzi (elity). Jeżeli rozbierzemy tę wizję z jej futurologicznego odzienia, to zostanie nam manifest nowej stratyfikacji społecznej – marzenie o neofeudalizacji świata i narodzinach nowoczesnego systemu kastowego. Oto

Na pierwszy rzut oka prace Harariego to połączenie naiwnej futurologii z niezbyt odkrywczymi przemyśleniami quasi-filozoficznymi

Ziemkiewiczowska „liberalistokracja” w pełnej krasie. Jakkolwiek izraelski historyk jest zafascynowany własną wizją, to sam przyznaje, że świat jego marzeń będzie zarazem oznaczać narodziny „najbardziej niesprawiedliwego społeczeństwa w dziejach” („Sapiens”, s. 503).

MARZENIA O IMPERIUM

W wymiarze czysto politycznym Harari jest orędownikiem imperializmu. Szczególnie z jego pracy „Sapiens” jednoznacznie wybrzmiewa aprobata dla imperium jako najbardziej uniwersalistycznej formy rządów, które może posłużyć do budowy ogólnoplanetarnego społeczeństwa. Problemem są, jak zwykle, ludzie, którzy nie dorośli do tych wzniosłych wizji, kurczowo trzymając się swej tożsamości narodowej i religijnej. Bo to właśnie państwa narodowe i Kościoły są głównymi hamulcowymi nowego porządku. „Największym zagrożeniem dla globalnego prawa i porządku są właśnie ci, którzy wciąż wierzą w Boga i Jego wszechogarniające plany” („Homo deus”, s. 280) – przekonuje Harari.

Z kolei suwerenne państwo z klarownymi granicami i autonomiczną władzą, której uprawnienia są ugruntowane w woli narodu, a nie kosmopolitycznych elit, jest naturalną tamą dla utopijnej wizji otwartego społeczeństwa jutra. Państwo narodowe samo decyduje o płynności (bądź braku) przepływu towarów i osób, samo sprawuje pieczę nad swymi granicami, kieruje się interesem realnego społeczeństwa, a nie abstrakcyjnych zasad, a zarazem w naturalny sposób znajduje się na kursie kolizyjnym z wizją globalnego imperium, w którym to ciężar władzy ma zostać przetransferowany na wielkie korporacje (kolejny punkt łączący wizję Harariego z planami Klausa Schwaba).

Harari zakłada, że znane nam tożsamości – zarówno indywidualne, jak i wspólnotowe – z biegiem czasu zaczną

REKLAMA

SZOKUJĄCE ŻYCIE Jerzego Pawłowskiego – medalisty i szpiega.

Odkryj jego tajemnice.

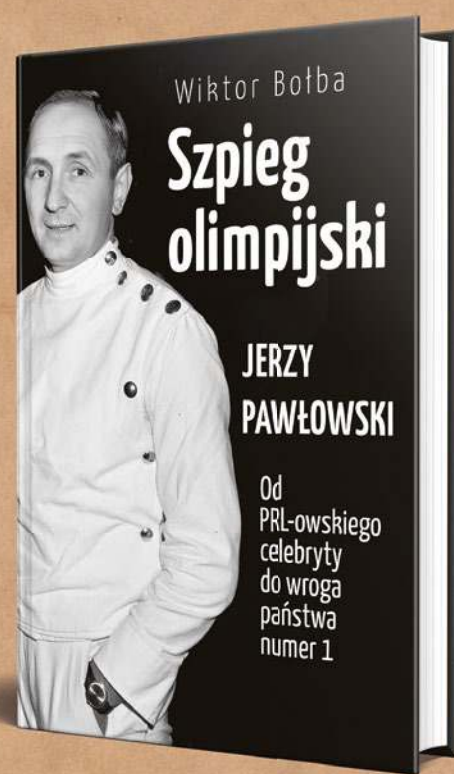

eprasa.pl 660f69da97

się rozmywać, a takie kolektywy jak Kościoły czy narody przestaną odgrywać jakiekolwiek znaczenie; świat stanie się jedną globalną wspólnotą – wielką siecią wzajemnych zależności, przesyłu danych i towarów. Nasz prorok globalizmu opowiada się jednak nie tyle za rządem światowym, ile raczej za rozbiciem rządów narodowych i pozbawieniem państw funkcji charakterystycznych dla suwerennej władzy. Państwa słabe, uzależnione od rynków i globalnej finansjery, nie będą w stanie prowadzić wojen. Ot, prosty trik na wynalezienie pokoju na świecie. Państwa mają przestać rządzić, a zacząć wyłącznie zarządzać bieżącymi kwestiami na danym terenie. Realna władza przejdzie na organizacje ponadnarodowe, gigantów finansowych i technologicznych. W swoich pracach Harari pozwala sobie na nieco więcej swobody niż w oficjalnych wystąpieniach takich jak na szczycie Davos czy Impact 22 i choćby w słynnym „Sapiens” z rozbrajającą szczerością przyznaje, że być może do ogólnoświatowej kooperacji „będzie można doprowadzić jedynie na drodze gwałtownych konfliktów i przez narzucenie nowego, ekspansywnego imperium” („Sapiens”, s. 252).

Warto też przytoczyć cytat z najsłynniejszej pracy Harariego, w której to myśliciel odsłonił się ze swoimi poglądami bardziej niż gdziekolwiek indziej: „Istnienie blisko 200 niepodległych państw bardziej przeszkadza, niż pomaga. Skoro Szwedzi, Indonezyjczycy i Nigeryjczycy zasługują na te same prawa człowieka, to czy nie byłoby prościej, gdyby na straży tych praw stał jeden globalny ośrodek władzy?”.

Powyższy fragment jest o tyle interesujący, że znajdziemy go jedynie w pierwszym wydaniu „Sapiens” („Od zwierząt do bogów. Krótka historia ludzkości”, Warszawa 2017, s. 251–252). Z poprawionej wersji książki rzeczony cytat w tajemniczy sposób wyparował. Harari uważa, że aby jego projekt „homo deus” mógł się ziścić, najpierw musi obumrzeć dawny porządek polityczny. Po prostu bez nastania ładu postnarodowego nie nadejdzie nigdy era post-człowieka. Droga do „homo deus” wiedzie po trupie państw, religii i narodów.

ŚWIAT PO „WIELKIM RESECIE”

Jak przyznaje izraelski wizjoner, gdy tylko algorytmy zaczną pracować na odpowiednio zaawansowanym poziomie, to „lekkomyślnością będzie pozostawianie władzy w rękach jaźni komponującej opowieści” („Homo deus”, s. 429). Przełom technologiczny ma pomóc w wyłonieniu się nowego modelu władzy – władzy algorytmów nad ludźmi. Człowiek będzie w coraz większym stopniu zależny od technologii, aż w końcu zda się na nią w nawet najbardziej istotnych wyborach życiowych – smartfon ma decydować nie tylko o tym, na jaką partię człowiek głosuje i jakie postulaty popiera, lecz także nawet kogo powinien wybrać na życiowego partnera. Autor otwarcie przyznaje, że jego wizja wiąże się z ogromnym ryzykiem i może prowadzić do nastania „cyfrowej dyktatury” – totalitaryzmu nieznanego w dziejach, gdyż opartego na wszechwiedzących algorytmach. W obliczu pandemii ludzkość dokonała swoistego przełomu, gdy to miliony ludzi zaakceptowały nowy poziom inwigilacji, chętnie rezygnując ze swych praw i wolności dla obietnicy bezpieczeństwa. Ten trend zwiastuje, że już niedługo klasyczna kontrola obywateli, jaką znaliśmy z przeszłości, zostanie zastąpiona nadzorem wewnętrznym (nadzorem „pod skórą”).

Atrapa demokracji, jeżeli w ogóle zostanie zachowana, będzie sprowadzać się do „emocjonalnego przedstawienia lalkowego”

Atrapa demokracji, jeżeli w ogóle zostanie zachowana, będzie sprowadzać się do „emocjonalnego przedstawienia lalkowego”. Wieszcząc nieistnienie wolnej woli, Harari jednocześnie robi przedpole do wysadzenia w powietrze obecnego konsensusu politycznego. Masy uzależnione od ogłupiającej techniki, spauperyzowana i niezdolna do buntu klasa średnia oraz państwa pozbawione podstawowych przymiotów suwerenności – oto świat, jaki projektuje nam Yuval Noah Harari.

Parafrazując Kisielewskiego, można powiedzieć, że globalizm „świetnie nadaje się do fałszowania świadomości zbiorowej, gdyż jest intelektualną pokusą ćwierćinteligenta”. Futurologia z „Homo deus” to jedynie efektowne opakowanie kryjące wizję rządów ponadnarodowych elit. Dla demokracji po prostu nie ma miejsca w nowym, wspaniałym świecie globalnego imperium. Harari pisze, że „podważa ją” nauka, ale w rzeczywistości podważają ją interesy wielkich koncernów i ponadnarodowych instytucji, którym jest nie w smak, że władze danego państwa mogą zostać wybrane w sposób spontaniczny i niekontrolowany. Ta wizja nie jest wcale opowieścią fantasy – ona się ziszcza na naszych oczach. Dowodzi tego choćby kazus Włoch, gdzie za pomocą instytucji finansowych i agencji ratingowych doprowadzono do dymisji rządu Silvia Berlusconiego, a następnie narzucenia Włochom rządu pod przewodnictwem byłego komisarza europejskiego Maria Montiego. Jak ujawnił były amerykański sekretarz skarbu Timothy Geithner, Bruksela w celu obalenia Berlusconiego m.in. prosiła o pomoc władze USA. To tylko jeden przykład, można wskazywać kolejne – powtarzane referendum akcesyjne Irlandii, pozatraktatowe działania Brukseli w celu poszerzenia własnych kompetencji czy w końcu ataki na demokratycznie wybrany rząd w Polsce. Na naszych oczach powstaje wieszczony przez Harariego postliberalny porządek, w którym prawdziwa władza odrywa się od ludu i przechodzi na rzecz globalnej sieci wpływów, gdzie krzyżują się macki banków, wielkich firm, unijnych dygnitarzy, ponadnarodowych organizacji etc.

W ostatnim czasie Harari opublikował w „Financial Times” artykuł pod znamiennym tytułem „The world after coronavirus”, w którym domaga się wprowadzenia „globalnej jedności”, która zabezpieczy świat przed kolejnymi zagrożeniami. Wszak COVID-19 to jedynie początek naszych problemów. Ludzkość staje przed serią wyzwań, których ponoć nie jest w stanie rozwiązać suwerenne państwo. Globalna jedność oznacza „zwycięstwo nie tylko w walce z koronawirusem, lecz także ze wszystkimi przyszłymi epidemiami i kryzysami, które mogą zaatakować ludzkość w XXI w”. A o to, że owych kryzysów nie zabraknie, możemy być spokojni. Można jedynie przypuszczać, że będę one nas nawiedzać i dręczyć dopóty, dopóki wizja Harariego nie zostanie wcielona w życie. Dopiero wówczas prorok globalistów oznajmi, że nastała szczęśliwość dostępna dla każdego o wystarczająco grubym portfelu. Dla wszystkich innych na otarcie łez zostaną jedynie soma i gry komputerowe. Zupełnie jak w powieści Aldousa Huxleya.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

Poznań

Grupa Inwest®

HORYZONT
NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl

WILDA CORNER

PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl

NOVA ŁACINA
NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 660f69da97

Najniebezpieczniejsze miejsce

Z dr. Janem Parysem, byłym ministrem obrony
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: W związku ze wzrostem napięcia wokół obwodu kaliningradzkiego, po wprowadzeniu przez Litwę unijnych sankcji wobec tej rosyjskiej enklawy, znów dużo mówi się o przesmyku suwalskim. Magazyn „Politico" powołał się niedawno na ocenę amerykańskiego Departamentu Obrony, według którego pas terenu przy granicy polsko-litewskiej jest „najniebezpieczniejszym miejscem na świecie". Z czego wynika wyjątkowe strategiczne znaczenie Suwalszczyzny?

DR JAN PARYS: Trzeba jasno powiedzieć, że o zdolnościach obronnych czy na zdolności obronne wpływ ma również geografia. I tak jest w tym przypadku. Widzimy, że trzy kraje bałtyckie – Litwa, Łotwa i Estonia – są wskutek położenia geograficznego, takiego, a nie innego ustanowienia granic, wyraźnie wysunięte na wschód w stosunku do innych państw NATO. Dostęp do nich jest uwarunkowany przez swobodę dostępu do obszaru zwanego przesmykiem suwalskim. Historia wojen zna takie sytuacje. W rezultacie udzielenie pomocy wojskowej dla tych trzech państw, członków NATO, stoi pod znakiem zapytania. W sytuacji zagrożenia może się okazać, że przesmyk suwalski został zaatakowany przez armię białoruską lub rosyjską. Wtedy kraje bałtyckie byłyby izolowane. A wiemy, że ich własny potencjał jest stosunkowo niewielki i one same nie są w stanie się obronić w sytuacji nagłego ataku rosyjskiego. Muszą liczyć na pomoc, która nie może przyjść wyłącznie drogą lotniczą. W tym sensie utrzymanie przesmyku suwalskiego i swoboda transportu przez ten przesmyk są warunkiem bezpieczeństwa tych trzech państw.

Dla Polski to nie jest sytuacja groźna. Powiedziałbym, że z punktu widzenia wojskowego to Rosja ma problem, żeby bronić obszaru Kaliningradu, choć raczej wolałbym mówić Królewca. Obrona Królewca przez Rosję jest niełatwa z punktu widzenia wojskowego, mimo że jest to w tej chwili rejon silnie uzbrojony. W przypadku wojny prawdopodobnie byłby on jednak obiektem uderzenia ze strony sił NATO, aby bronić wolnego dostępu do terytorium Litwy.

Czy wobec długoterminowego, jak wszystko wskazuje, uwikłania Rosji w wojnę na Ukrainie scenariusz rosyjsko-białoruskiego uderzenia na przesmyk suwalski, a tym samym odcięcia państw bałtyckich, jest scenariuszem realnym?

Z racjonalnego punktu widzenia uderzenie na kraje bałtyckie czy też na przesmyk suwalski w celu odcięcia ich od Polski w tej chwili nie byłoby krokiem sensownym. Rosja jest uwikłana w operację militarną, której nie jest w stanie zakończyć zgodnie z planem. Nie wykluczam jednak, że powstają tam

eprasa.pl 660f69da97

RYS. QBA

na świecie

pomysły, żeby pokazać NATO i własnemu społeczeństwu siłę i przewagę Rosji. Niewątpliwie uderzenie na kraje bałtyckie, mówimy przede wszystkim o tym, a nie samym przesmyku suwalskim, może budzić u niektórych polityków rosyjskich pokusę, bo może być uznane za łup łatwy i spektakularny. Wiadomo, że Bałtowie nie obronią się sami.

Łup łatwy i spektakularny, pod warunkiem że NATO odda państwa bałtyckie bez walki...

Jak widzimy na przykładzie wojny na Ukrainie, NATO jest zjednoczone w podpisywaniu dokumentów, wszystkie państwa paktu solidarnie je podpisują. Jednak wiemy dobrze, że od 2014 r. niektórzy członkowie NATO świadomie i jawnie wyłamują się i nie realizują podpisanych zobowiązań. Dotyczy to np. nakładów na zbrojenia. Jeśli idzie o pomoc dla Ukrainy, to NATO także jest podzielone. Jedne kraje pomagają bardziej, inne prawie wcale.

Jednym słowem – Moskwa mogłaby liczyć w przypadku agresji na kraje bałtyckie, że państwa NATO też będą podzielone i wcale nie będzie łatwo zmobilizować opinię publiczną czy polityków do tego, żeby wystawić duże siły wojskowe i wysłać je na wojnę. Pytanie, czy Francuzi, Hiszpanie, Portugalczycy, Włosi, Holendrzy zechcą ryzykować życie i swój spokojny, luksusowy byt po to, by pomagać ocalić niepodległość dalekich im państw bałtyckich.

Brak reakcji na ewentualny najazd Rosji na państwa bałtyckie oznaczałby nie tylko kompromitację NATO, lecz także faktyczny koniec sojuszu północnoatlantyckiego. Podważona zostałaby przecież zasada solidarnej obrony.

Moim zdaniem sojusz jest pod względem militarnym i gospodarczym silnym blokiem, ale ma słaby potencjał polityczny. Poczucie jedności, definicja zagrożeń – w tych sprawach kraje sojuszu są zróżnicowane. Jestem optymistą w tym sensie, bo uważam, że większość państw, na czele ze Stanami Zjednoczonymi, zaangażowałaby się militarnie w obronę Europy. Natomiast czy tak uczynią wszystkie duże kraje Europy Zachodniej, tego nie jestem pewien. Jak widzieliśmy w ostatnich latach, jak widzimy w ostatnich tygodniach, duże państwa, czyli Niemcy i Francja, prowadzą politykę prorosyjską, która wyraźnie działa na szkodę sojuszu i na szkodę Ukrainy, która prowadzi walkę o wolność i – można powiedzieć – wiąże siły rosyjskie. A to jest niewątpliwie w interesie nas wszystkich.

Powiedział pan, że obrona regionu Królewca byłaby dla Rosji trudna z wojskowego punktu widzenia ze względu na płytki front. A jak dużym militarnym wyzwaniem jest wobec tego obrona przesmyku suwalskiego? Czy mamy wystarczające siły, żeby obronić Suwalszczyznę w wypadku ewentualnego uderzenia Rosji i Białorusi na ten obszar do czasu wejścia do akcji sojuszników z NATO?

Dzisiaj sytuacja jest inna niż w okresie zimnej wojny. Wtedy NATO przygotowywało się na frontalny atak ZSRS na Europę lub cały Zachód. Dzisiaj trzeba brać pod uwagę wariant, że Rosja może zaatakować pojedynczy kraj NATO lub część kraju NATO-wskiego. Co może być powodem podziału politycznego wewnątrz sojuszu w trakcie procesu decyzyjnego. Myślę, że NATO jest dzisiaj koalicją krajów chętnych do obrony.

Nie jestem pewien, czy osiągniemy jednomyślne wsparcie wszystkich 30 państw paktu, kiedy nastąpi rosyjska agresja; wystarczy, żeby była to wyraźna większość. A to, że parę państw się wyłamie? Traktowałbym to jako wypadek przy pracy. Takiej sytuacji nie jesteśmy w stanie zapobiec, nikogo nie jesteśmy w stanie zmusić do solidarności. Z punktu widzenia formalnego to jest tak, że atak na któreś państwo NATO powoduje, że NATO jest jako całość w stanie wojny z agresorem. Jak NATO zareaguje na tę agresję, to już jest sprawa indywidualna poszczególnych rządów. Te poszczególne rządy trzeba przekonywać. Tutaj jest ogromna rola sił politycznych, które rządzą w poszczególnych krajach.

Ostatni szczyt NATO daje powody do optymizmu. Mam na myśli zmianę koncepcji strategicznej. W myśl nowej doktryny Rosja została oficjalnie

eprasa.pl 660f69da97

nazwana przeciwnikiem i zagrożeniem. Jednym słowem – pożegnaliśmy te złudzenia, które trwały kilkanaście lat, że Rosja jest partnerem sojuszu. To jest bardzo istotna zmiana. Teraz powinny pójść za nią wnioski wojskowe. Podczas szczytu NATO w Madrycie nie podjęto decyzji o dużych dostawach uzbrojenia dla Ukrainy. Jak pokazuje wojna w Afganistanie, bez takich dostaw trudno wygrać z rosyjskim najazdem. Wtedy obok dostaw nowoczesnej broni Reagan uruchomił także wyścig zbrojeń. Takich decyzji w Madrycie nie podjęto. Wracając jeszcze do przesmyku suwalskiego, Unia Europejska w sposób świadomy wprowadziła sankcje wobec Rosji, a więc dotyczą one także tranzytu do obwodu królewieckiego. Nie widzę powodu, żeby się z nich wycofywać pod wpływem strachu czy aroganckiej presji ze strony Rosji. Powiedziałbym tak: odblokujcie Odessę, wtedy my odblokujemy tranzyt rosyjski do rejonu Królewca przez przesmyk suwalski. Taka powinna być odpowiedź.

Na ile przystąpienie Finlandii i Szwecji do NATO poprawia naszą sytuację geostrategiczną?

To nie jest tylko decyzja polityków w tych dwóch państwach. Pod wpływem rosyjskiej agresji na Ukrainę w obu tych społeczeństwach dokonała się gwałtowna rewolucja w myśleniu. Obywatele Szwecji i Finlandii poczuli zagrożenie i uznali, że przynależność do NATO będzie ich bronić, że nie chcą być sami naprzeciw nieobliczalnej, agresywnej potęgi rosyjskiej. Cieszę się, że społeczeństwa, które przez wiele lat były neutralne, zdobyły się na refleksję i taką decyzję. Natomiast szkoda, że społeczeństwa w Niemczech, we Francji czy we Włoszech nie wyciągają takich wniosków. Najwyraźniej jest to rezultat tego, że leżą dalej od Rosji, że nie miały złych doświadczeń z Rosją. Może telewizje w tych trzech krajach za rzadko pokazują zdjęcia z wojny na Ukrainie. Być może to my w Polsce dzięki TVP jesteśmy właściwie informowani, jak przebiegają walki na Ukrainie, jak są brutalne. Jak widać, nie we wszystkich krajach zachodniej Europy jest podobny i częsty przekaz. Są kraje zachodnie, w których narrację narzucają albo dyplomaci rosyjscy, albo dziennikarze, którzy mają prorosyjskie poglądy. Oni przedstawiają wojnę na Ukrainie w zupełnie innym świetle, opartym na tezach, które codziennie serwuje telewizja rosyjska w Moskwie.

Jak należy widzieć obecną fazę wojny na Ukrainie? Od kilku tygodni walki toczą się głównie w Donbasie. Rosyjskie siły ponoszą tam duże straty, ale powoli posuwają się do przodu, wypierając Ukraińców z regionu Ługańska i Doniecka.

Mnie nie obchodzi, w jakim stopniu Rosji udało się zrealizować plan tej wojny i jak z tego konfliktu wyjdzie. Podziwiam bohaterską obronę Ukrainy, ale oczywiście widzę, że los tej obrony stoi pod znakiem zapytania. Sama Ukraina nie posiada takiej ilości broni, żeby się przed Rosją obronić, nie mówiąc już o tym, żeby wyprzeć przeciwnika ze swojego terytorium. Każdy dzień zwłoki w przekazywaniu pomocy Ukrainie grozi tym, że ten konflikt będzie przez nią przegrany w tym sensie, że Ukraina nie odzyska utraconych ziem. Nie chciałbym sytuacji, w której Ukraina utraciłaby 20 czy 30 proc. swojego terytorium tylko dlatego, że kraje zachodnie ociągają się z udzielaniem pomocy finansowej i wojskowej. Gdyby do tego doszło, byłaby to klęska sojuszu północnoatlantyckiego, klęska Europy, bo oznaczałoby to, że agresor zyskuje na agresji. To stawiałoby przyszłość, bezpieczeństwo Europy pod bardzo dużym znakiem zapytania. Wydłużanie tej wojny, brak skuteczności w udzielaniu pomocy bardzo podważyłyby międzynarodową pozycję Stanów Zjednoczonych. Proszę pamiętać, że Stany Zjednoczone, a konkretnie ekipa prezydenta Bidena, zaangażowały się od pierwszego dnia wojny politycznie i militarnie. Jeśli okazałoby się, że tej pomocy jest na tyle mało, że Ukraina będzie zmuszona podpisać zły rozejm i zgodzić się na utratę części terytorium, to byłby dowód nieskuteczności militarnej Ameryki, co podważałoby jej pozycję w świecie. Bardzo wiele państw zaczęłoby się zastanawiać, czy Ameryka jest wiarygodnym sojusznikiem, czy coś znaczy w globalnym świecie, w relacjach międzynarodowych, czy jest mocarstwem, jeśli nie potrafi skutecznie pomóc Ukrainie wygrać wojny. Co po takim rozwoju sytuacji na Ukrainie można by przewidywać o konfliktach czy rywalizacji USA z Chinami czy Rosją? Byłby to fatalny przykład. Stany Zjednoczone po takim złym pokoju na Ukrainie odbudowywałyby swoją wiarygodność kilkanaście lat, tak jak to było po klęsce w Wietnamie. Jak pamiętamy, wtedy w wyniku nieskutecznej polityki wojskowej w Azji, Stany Zjednoczone przez wiele lat były osłabione jako mocarstwo.

Taki „zły pokój" dla Ukrainy miałby też złe konsekwencje dla Polski.

Na pewno. Nie mówimy tutaj o wariancie, w którym Ukraina całkowicie przegrałaby tę wojnę i w Kijowie rządziłyby marionetki Moskwy. Tego nie biorę w ogóle pod uwagę. Bezwzględnie wolna Ukraina jest w naszym interesie. Mamy lepszą sytuację w zakresie bezpieczeństwa, gdy Ukraina jest suwerennym krajem. Wspieramy Ukrainę dlatego, że jesteśmy, po pierwsze, krajem solidarnym z sąsiadem, który walczy o wolność, a po drugie dlatego, że wolna, suwerenna Ukraina jest w naszym interesie. Ale powiedzmy otwarcie: angażujemy się w nią tak, jak zdecydowało NATO pośrednio. Nasze istnienie nie zależy od losu Ukrainy. Pozycja naszego kraju zależy od naszego wysiłku na rzecz obrony i naszych sojuszników. Nasza sytuacja byłaby dużo gorsza, gdyby Ukraina całkowicie przegrała lub była słaba, bo wskutek złego rozejmu straciłaby część swego terytorium. Trzeba robić wszystko, by do takich wariantów nie doszło. My pomagamy Ukrainie, ale nie ponosimy odpowiedzialności za bieg wojny. Nasz rząd zrobił wszystko, co mógł, udzielając ogromnej pomocy finansowej i militarnej, prezydent i premier pielgrzymowali po Europie, organizując poparcie dla Ukrainy. Przekonywaliśmy Unię Europejską do pomocy dla naszego zaatakowanego przez Rosję sąsiada. Trudno sobie wyobrazić większą aktywność. Nasz rząd nie tylko sam udzielał pomocy, lecz także był rzecznikiem Ukrainy w życiu międzynarodowym w ostatnich miesiącach. Zły pokój na Ukrainie, wiążący się z utratą przez nią części terytorium, byłby również naszą klęską, powiedziałbym – psychologiczną. Zaangażowaliśmy się i mogłoby się okazać, że rezultat tego zaangażowania nie jest taki, jak byśmy chcieli. Lecz powiedzmy jasno – na wojnie nie ma dwóch wygranych stron. Aby wygrać wojnę na Ukrainie, czyli pokój dla Europy, Berlin, Paryż i Bruksela muszą zrezygnować z interesików gospodarczych z Moskwą i z pseudoliberalnych obsesji ideologicznych. Takich decyzji grupa G 7 nie podjęła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Jan Parys – polityk, socjolog i publicysta, w latach 1991–1992 minister obrony narodowej.

eprasa.pl 660f69da97

Już za tydzień

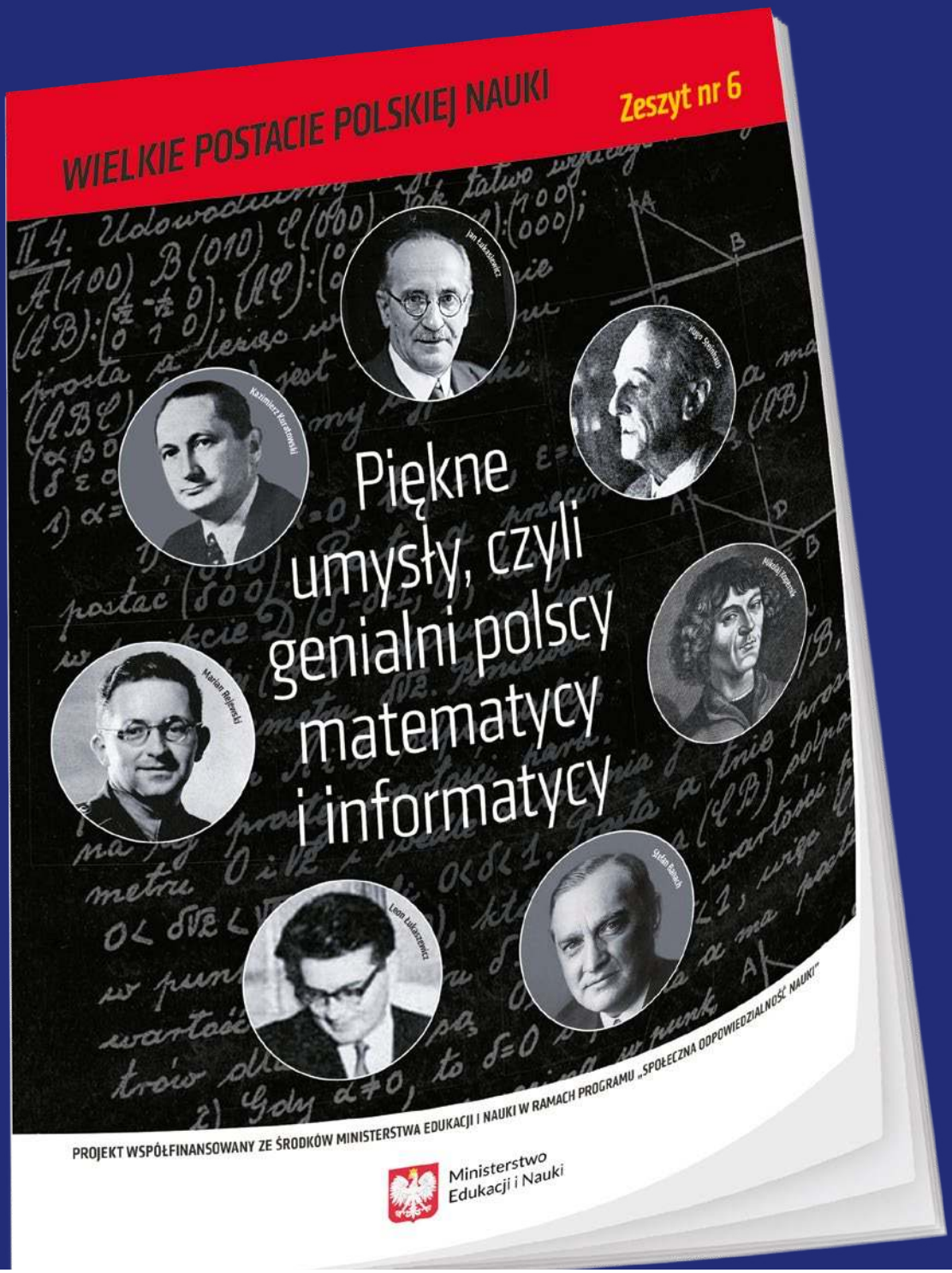

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl 660f69da97

Uszczelnianie granicy

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

Zuzanna Dąbrowska

Fizyczna zapora na granicy polsko-białoruskiej została ukończona. Teraz trwa montaż nowoczesnego systemu elektronicznego. Dzięki barierze nasz kraj jest bezpieczniejszy – nie tylko w kontekście nielegalnej migracji sterowanej przez wrogi reżim, lecz także w obliczu wojny na Ukrainie

Barierę fizyczną budowano od 25 stycznia do końca czerwca. Zapora stanęła na 187 km podlaskiego odcinka polsko-białoruskiej granicy. Ma 5,5 m wysokości i składa się ze stalowych słupów, które zostały zwieńczone na górze drutem. Do połowy września gotowa będzie bariera elektroniczna, która zabezpieczy łącznie 202 km (obejmie swoim zasięgiem także część wód granicznych). I to właśnie elektronika ma stanowić wisienkę na torcie ochrony przed nielegalną migracją. Zastosowane zostaną najnowocześniejsze elektroniczne metody zarządzania granicą – czujniki ruchu i kamery. – W tej chwili trwa instalacja systemów elektronicznych. Bariera elektroniczna ma zostać oddana w ciągu 60 dni od ukończenia bariery fizycznej. Dodatkowe 30 dni będzie potrzebne na kalibrację systemu, a więc całość będzie gotowa na przełomie września i października – mówi „Do Rzeczy" rzecznik Straży Granicznej por. Anna Michalska.

TEST PRZED INWAZJĄ

Dzięki elektronice funkcjonariusze Straży Granicznej będą natychmiast informowani o próbach forsowania granicy. Znacznie skróci to czas reakcji na incydenty i pozwoli na skuteczniejsze zapobieganie im. Ponadto dzięki systemowi monitoringu, na atakowanych przez migrantów odcinkach, do pilnowania newralgicznego fragmentu potrzebna będzie mniejsza liczba strażników – po zakończeniu inwestycji będą mogli zostać oddelegowani do innych zadań, których w dobie wojny na wschód od Polski nie brakuje. Już teraz zapora zniechęca migrantów do przekraczania granicy „na dziko". – Od momentu, kiedy zaczęliśmy stawiać przęsła bariery, zaobserwowaliśmy spadającą z miesiąca na miesiąc i z tygodnia na tydzień liczbę nielegalnych prób przekraczania granicy polsko-białoruskiej. Oczywiście takie próby wciąż się jeszcze zdarzają, ponieważ brakuje najważniejszego elementu, czyli bariery elektronicznej – podkreśla por. Michalska. Z kolei wiceszef MSWiA Maciej Wąsik powiedział, że „próby przejścia przez zaporę na granicy oczywiście będą, ale w ogromnej większości będą nieskuteczne". Wnioski są jasne: żadna zapora nie wykluczy w 100 proc. nielegalnej migracji, ale Polska zrobiła wszystko,

eprasa.pl 660f69da97

co było możliwe, aby zabezpieczyć się przed sterowanym z Mińska „kryzysem migracyjnym".

Bariera zaczęła powstawać jako bezpośrednia odpowiedź na uruchomienie późnym latem ubiegłego roku „szlaku migracyjnego im. Alaksandra Łukaszenki". Oczywiste jest, że grupy migrantów ściągane na Białoruś z inicjatywy i przy błogosławieństwie tamtejszych władz były narzędziem do wrogiego uderzenia w Polskę, które polegało na destabilizacji sytuacji w naszym kraju. W naszej sytuacji jesienna operacja białoruskich służb była szczególnie groźna, ponieważ nie było wiadomo, jak na dramatyczne sceny na granicy zareagują partnerzy z Unii Europejskiej – czy nie zostaniemy oskarżeni o niehumanitarne traktowanie rzekomych uchodźców, co byłoby kamyczkiem do ogródka antypolskich decydentów w UE, lubujących się w oskarżaniu Warszawy o wszystko, co tylko możliwe. Na szczęście, poza kilkoma odosobnionymi głosami atakującymi twardą taktykę Polski wobec nielegalnych migrantów (przedstawicielką tego nurtu jest eurodeputowana PO Janina Ochojska), Unia stanęła po naszej stronie. Nie dlatego, że zaczęła nas nagle lubić, ale dlatego, że szczelna granica Polski, będąca granicą zewnętrzną Wspólnoty, jest w jej interesie. Im mniej imigrantów przeniknie do Polski, tym mniej pojawi się w Niemczech, a następnie we Francji itd.

Główne teorie wyjaśniające pobudki działania Łukaszenki były dwie – pierwsza głosiła, że to zemsta dyktatora za wspieranie białoruskiej opozycji. Polska była liderem tego wsparcia, nie tylko udzielając schronienia działaczom antyłukaszenkowskim, lecz także organizując programy integracji dla Białorusinów, chcących zamieszkać w naszym kraju (co także swoją drogą zrobiono mądrze, ponieważ skupiono się na przekonywaniu do przyjazdu m.in. informatyków i firm IT). Druga, dziś wydająca się bardziej prawdopodobna, teoria wskazywała, że za wszystkim stoi Władimir Putin, który testuje odporność Zachodu poprzez działania hybrydowe. Łukaszenka był tylko wykonawcą jego woli. W obliczu agresji na Ukrainę z 24 lutego obraz zaczął się klarować. – Kości zostały rzucone. Putin nie ukrywa, że to on stał za tym kryzysem. To był test przed wojną na Ukrainie, jak się zachowa Zachód, jak się zachowa Polska, czy może uda się zrobić ferment – powiedział w ubiegłym tygodniu wiceminister Wąsik.

Z tą tezą zgadza się były dowódca GROM gen. Roman Polko. – To była część Putinowskiej strategii destabilizowania sytuacji w Europie – by Europa zajęła się migrantami, a Rosja mogła w tym czasie rozprawić się z Ukrainą – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy". Jego zdaniem trudno w ogóle mówić o jakimkolwiek kryzysie migracyjnym. – Był to nieludzki atak ludzką bronią. Łukaszenka ściągał ludzi różnego sortu z różnych części świata, by wywołać zamieszanie. W wielu wypadkach byli to wprost terroryści, co było identyfikowane np. przez służby brytyjskie. Osoby forsujące granicę były agresywne, nie wyglądały na takie, które są ciemiężone i uciekają przed wojną. Jeżeli pojawiły się kobiety i dzieci, to tylko po to, by wykreować odpowiedni wizerunek medialny. Migranci byli szczegółowo informowani o tam, jak się mają zachowywać – takim zręcznym narzędziem stało się stwierdzenie, że ktoś ucieka ze swojego kraju, bo jest gejem, a tam, skąd pochodzi, za homoseksualizm grozi wyrok – wyjaśnia gen. Polko. I dodaje: – Putin postanowił wykorzystać słabość europejskiego systemu, także systemu wartości. Użyto służb, zaangażowano całe państwo białoruskie.

PRZECIW DZIAŁANIOM DYWERSYJNYM

Nikt nie spodziewa się, że stalowe przęsła i elektronika zatrzymają rosyjskie czołgi, gdyby te pojawiły się na naszej granicy. Bariera ma jednak ogromne znaczenie w niwelowaniu zagrożenia akcjami dywersyjni i prowokacjami, które mogłyby posłużyć w przyszłości jako pretekst do ataku na Polskę albo po prostu destabilizować sytuację na naszym terytorium. – Bariera czołgów nie zatrzyma. Natomiast w doktrynie wojennej Federacji Rosyjskiej istotnym elementem prowadzenia działań przeciw innemu państwu jest przygotowanie podłoża propagandowego pod agresję. Widzimy to w każdej wojnie, którą prowadził do tej pory Władimir Putin – poczynając od Czeczenii, nie mówiąc już o Ukrainie – wskazuje poseł PiS Michał Jach, przewodniczący sejmowej Komisji Obrony Narodowej. – Wojna hybrydowa, będąca wstępem do realnej agresji, prowadzona jest poprzez dezinformację rozsiewaną w Internecie, a Polska została zaatakowana z wykorzystaniem imigrantów. Chodzi o prowokacje, mogące stanowić w przyszłości pretekst dla Rosji do ataku. Dzięki budowie zapory zagrożenie to – użycie migrantów jako elementu działań wrogich – zostaje wyeliminowane – dodaje parlamentarzysta. Jach wskazuje, że przykład Polski zachęca inne kraje naszego regionu zagrożone przez Rosję do poważnej debaty nad zbudowaniem zapory na swojej granicy.

Generał Roman Polko zwraca uwagę, że Putin, wywołując masową migrację, chciał „związać" jak największą liczbę naszych żołnierzy pobocznymi zadaniami. – Po to, by odciągnąć od podstawowego celu – szkolenia, treningu i przygotowania do prowadzenia wojny. Oczywiście zapora nie powstrzyma wojsk pancernych, ale z pewnością ułatwi prowadzenie działań antydywersyjnych. Potencjalny konflikt zbrojny zazwyczaj rozpoczyna się przenikaniem przez granicę różnego rodzaju grup dywersyjnych, które np. pod pretekstem migracji wdzierają się na terytorium Polski i tutaj podejmują wrogie naszemu państwu działania.

TUSK: „TEN MUR NIE POWSTANIE"

Całościowy koszt inwestycji na granicy z Białorusią to 1 mld 565 mln zł. Opozycja przekonywała, że bariera nigdy nie powstanie, a pieniądze zostaną wyrzucone w błoto. Lider PO Donald Tusk mówił w październiku 2021 r.: – Oni nie chcą zbudować żadnego muru. Jakby chcieli, toby to zaczęli robić. […] Ten mur nie powstanie ani w ciągu roku, ani w ciągu trzech lat, bo nie jest wcale intencją zbudowanie dobrych, skutecznych zapór. Ich intencją jest robienie emocjonalnych spektakli i wydanie blisko 2 mld zł bez żadnej kontroli.

Snute przez lidera PO wizje okazały się całkowicie błędne. – Donald Tusk jest obecnie bardzo sfrustrowanym człowieczkiem. Jego wypowiedzi – jedna po drugiej – kompromitują go jako bądź co bądź ważnego w przeszłości polityka. Tusk co i rusz występuje z tezami, które okazują się błędne nawet nie w perspektywie miesięcy, ale z tygodnia na tydzień – komentuje Michał Jach. Jednak w całej sprawie to, który polityk miał rację, jest wątkiem zupełnie pobocznym (choć oczywiście warto zadać pytanie, czy gdyby u sterów władzy była dzisiejsza opozycja, ktoś wpadłby na pomysł budowy bariery). Najistotniejsze jest to, że państwo zareagowało w porę i skutecznie. Nie poddało się presji. Dziś dzięki odważnym decyzjom Polska jest bezpieczniejsza niż rok temu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

Zemsta! Zemsta na

Rafał A. Ziemkiewicz

Żelazny elektorat PO dyszy wręcz żądzą zemsty. Politycy opozycji mówią więc mu to, co chce usłyszeć: jak kiedyś będą rozliczać PiS

Partyjna konwencja Platformy Obywatelskiej w Radomiu poświęcona miała być zaprezentowaniu programu i wizji przyszłości, ale z jakiegoś powodu na ten temat słyszało się tam jedynie mało konkretne wzmianki, w duchu: gdy PiS straci władzę, to wszystkie obecne problemy rozwiążą się same, a miliony Polaków dostaną od nas ogromne podwyżki wynagrodzeń. Nie było nawet mowy o tym, jak PO zamierza doprowadzić do tego, aby PiS utracił władzę. To, jak wynikało z wystąpień kolejnych mówców, a zwłaszcza samego Tuska, dokona się samo. PiS straci władzę, bo ludzie na niego nie zagłosują, a nie zagłosują, bo panuje drożyzna, bo są afery, bo PiS to kłamcy, kombinatorzy, kolesie dzielący między siebie państwowe stołki, którzy „szczują przeciwko mniejszościom seksualnym" i odmawiają podporządkowania się „standardom" unijnym, przez co Polska traci miliardy. Słowem, jak podsumował to p.o. przewodniczący PO Donald Tusk: kto wierzy w Boga, nie może głosować na PiS.

W zasadzie więc, poza tym odwołaniem się przez Tuska do wiary w Boga, nic, co by choć odrobinę wykraczało poza używaną od lat propagandową sztancę „opozycyjności totalnej". A i ono nie było przecież zupełnie świeże. Tusk potrafił już opowiadać wzruszająco o swojej mamie, która nie umiała napocząć bochenka chleba bez nakreślenia na nim przedtem znaku świętego krzyża, i sugerować, że sam tak ma; potrafił fotografować się wraz z rodziną na tle nienaturalnie licznych dewocjonaliów i uzupełniać na wybory po wielu latach ślub kościelny – a chwilę potem zapewniać o swym poparciu dla aborcji na życzenie, „ślubów" jednopłciowych i innych postulatów skrajnej lewicy czy wzywać, by „nie klękać przed księdzem". W Radomiu zresztą mieliśmy obu Tusków w jednym, godzinnym wystąpieniu, bo opowieści o wierze w Boga połączył Tusk, przy aprobującym rechocie widowni, z frazami rodem z „Soku z Buraka": „A co taki Kaczyński, Jędraszewski czy Rydzyk mogą wiedzieć o seksie?".

OBIECUJĄ I ZAPEWNIAJĄ

Nie był to jednak przewodni wątek imprezy. Widownia chciała słuchać przede wszystkim o tym, jak to, kiedy już PiS wskutek drożyzny i powszechnego oburzenia straci władzę, będzie się go rozliczać i karać.

Widownia chciała właśnie o tym słuchać, a mówcy chcieli właśnie o tym mówić. Niemal każdy czuł się w obowiązku złożyć deklarację, że „nie może być tak, żeby ci ludzie pozostali bezkarni". Wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób są odpowiedzialni za rządy PiS, muszą ponieść odpowiedzialność! Surową odpowiedzialność! I poniosą ją! Obiecujemy i zapewniamy!

Radomska konwencja nie różniła się pod tym względem od codziennej aktywności aktywistów PO i lewicowo-liberalnych „autorytetów" oraz liderów opinii. Obietnice zemsty, szerokiej depisyzacji, sypią się z ich strony tym gęściej, im mocniej wierzą oni, że upragniona, oczekiwana od siedmiu lat chwila powrotu „oświeconych elit" do władzy jest tuż-tuż.

Zapowiedź zemsty dotyczy nie tylko konkretnych osób: Adama Glapińskiego, którego Tusk obiecuje „wyprowadzić" z NBP („i nie będzie do tego potrzeba żadnej ustawy", obiecywał w Radomiu), Julii Przyłębskiej, która ma być „odkuta" od fotela przewodniczącej Trybunału Konstytucyjnego etc. Obiecywane „oczyszczenie" ma dotyczyć całych grup zawodowych. „Rozliczeni" zostaną i „poniosą odpowiedzialność" wszyscy, którzy przyjęli od PiS pracę w urzędach i spółkach Skarbu Państwa – zresztą, jakąkolwiek pracę. Wyrzuceni zostaną, oczywiście, „neosędziowie", czyli wszyscy, od których przyjął ślubowanie sędziowskie „PiS-owski" prezydent. „PiS-owscy pseudoprokuratorzy" pójdą do więzienia z paragrafu (to podchwycona przez PO idea Romana Giertycha) o „podszywaniu się pod osobę publiczną". Surowa ręka „obywatelskiej" sprawiedliwości nie przepuści żadnemu pracownikowi telewizji państwowej, która zresztą zostanie zlikwidowana. Ba, „opozycja demokratyczna" zaszła już w swych rojeniach tak daleko, że co i raz obiecuje powsadzać do więzienia posłów, którzy głosowali za kwestionowanymi przez nią ustawami.

eprasa.pl 660f69da97

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

wroga!

Przyznajmy, że dotychczasowym reżimom zdarzało się rozpędzać parlamenty i gwałcić poselskie immunitety, ale na pomysł, żeby skazywać parlamentarzystów za to, że głosowali przeciwko nim, nie wpadli nawet Lenin z Hitlerem.

Wszystko to słyszymy oczywiście już od dawna, ale kiedyś takie pogróżki były domeną anonimowych trolli lub formalnie niezwiązanych z partią publicystów. Gdy padają z ust czołowych działaczy i samego p.o. przewodniczącego, trudno nie zwrócić uwagi na ich gargantuiczną wręcz hipokryzję. Partia, która na najwyżej wzniesionym sztandarze wypisała sobie „praworządność", zapewnia bez cienia żenady, że będzie postępować całkowicie wbrew prawu. Jeśli Tusk (zakładając, że traktujemy go poważniej niż autorów OKO.press czy gości TOK FM) uważa, że nowy Sejm będzie miał prawo zwykłą większością głosów uznać za nieważny wybór prezesa NBP, dokonany przez Sejm poprzedni, i wybrać nowego, to jak może nazywać wybranych w analogiczny sposób sędziów TK „dublerami"? Jeśli kwestionuje prawo od orzekania „neosędziów", to dlaczego powołuje się na TSUE, który orzekł, że kwestionować go nie wolno? I jak śmie partia, obiecująca „odkucie od fotela" przewodniczącej TK, powoływać się na konstytucję?

KOMPLETNE WARIATKOWO

Żelazny elektorat PO nie zadaje takich pytań – żelazny elektorat PO dyszy wręcz żądzą zemsty. Można to zrozumieć (zrozumieć nie znaczy wybaczać). Obóz, który uzurpuje sobie miano „opozycji demokratycznej", odwołuje się głównie do emocji ludzi, którym PiS odebrał poczucie bycia elitą, przynależność do grupy uprzywilejowanej, a często możliwość korzystania z owoców awansu społecznego, który zawdzięczali rządom „pomagdalenkowym". Nie tylko sprawił, że „hołota" przestała słuchać „oświeconych" i ich szanować, lecz także zafundował im siedem lat emocjonalnego rollercoastera. Przez te siedem lat żyją oni w nieustającym cyklu maniakalno-depresyjnym, w którym irracjonalne wybuchy entuzjazmu „to już ich koniec!", wywołane a to manifestacjami KOD, Wolnych Sądów czy Strajku Kobiet, a to antyklerykalnym filmem Smarzowskiego czy Sekielskiego, przeplatane były pasmami apatii i odrętwienia, gdy manifestacje jedna po drugiej rozłaziły się i okazywały „ciamajdanami", a popularność jednego czy drugiego filmu nie wpływała w żaden sposób na sondaże.

Siedem takich lat zrobiło z tej najtwardszej części opozycji kompletne wariatkowo, w którym emocjonalne frustracje całkowicie wyparły najsłabsze choćby przebłyski zdrowego rozsądku. Opisywana tu sytuacja jest tego najlepszym dowodem. Wystarczyło majaczące na horyzoncie widmo kryzysu i pogłoski o jakichś „wewnętrznych sondażach", jakoby zapowiadających sukces „jednej listy opozycji" pod patronatem Tuska, a cały obóz lewicowo-liberalny już nasładza się wizjami zemsty na niedźwiedziu, który wciąż trzęsie całym lasem, już snuje rojenia, jak to będzie PiS-owców wyrzucał i wsadzał do więzień. I nie traci przy tym nawet chwili na realistyczną analizę sytuacji. Kto zaś takiej analizy próbuje dokonać, jak wychylił się z nią po wspomnianej konwencji Grzegorz Schetyna, albo kto wskazuje na oczywiste słabości pomysłu „jednej listy", tego natychmiast medialni politrucy rugają od zdrajców i PiS-owców, z gorliwością dawnych ZMP-owców, demaskujących „wrogów klasowych".

Elementarna wiedza z zakresu marketingu politycznego każe zwrócić uwagę, że kryzys sam z siebie nie jest dla wyborców wystarczającym powodem do zmiany preferencji. Ważne jest, jak wyborcy oceniają radzenie sobie przez władzę z trudną sytuacją i jak oceniają realnie istniejące alternatywy dla niej. W sytuacji, gdy ludzie tracą poczucie bezpieczeństwa, chcą, by im to bezpieczeństwo przywrócić, gdy obniża się poziom ich życia, chcą, aby dano im nadzieję, że znowu będą żyć lepiej. Obietnice, że do zaburzającej poczucie bezpieczeństwa wojny na Ukrainie i niepewności wywołanej kryzysem gospodarczym Tusk, jeśli wygra, doda jeszcze wojnę domową, że zamiast na poziomie życia obywateli skupiać się będzie na rozliczeniach, czystkach i represjach, na dodatek tak szerokich, że zagrażających praktycznie każdemu, kto za rządów PiS w jakikolwiek sposób swoją sytuację życiową poprawił, raczej nie są tym, co wyborcy chcą słyszeć. Powiem więcej: są właśnie tym, czego słyszeć nie chcą.

Tusk nie kieruje się dziś jednak, jak czynił to w swych najlepszych czasach, wyrachowaniem i zasadami marketingu. Nie walczy z Kaczyńskim o władzę. Walczy z Hołownią, Czarzastym i amorficznymi, ale potencjalnie groźnymi dla niego żywiołami młodej lewicy o to, by być niekwestionowanym przywódcą opozycji. Dlatego chce przelicytować wszystkich w zaspakajaniu emocjonalnych potrzeb skrajnie sfrustrowanego, żelaznego elektoratu oraz oczekiwań obsługujących ten elektorat mediów. Te zaś, dodać trzeba, widzą polskich wyborców nie takimi, jak ich opisują badania socjologiczne, ale takimi, jakimi każą ich widzieć pogarda i wyższościowe urojenia sfrustrowanej byłej elity. Zachwyty „Gazety Wyborczej" po radomskiej konwencji, że Tusk idzie na wygraną, bo „wreszcie nauczył się być populistą" (czyli judzić i składać obietnice bez pokrycia), przypominają dawne przekonanie upadłego już Tomasza Lisa, że jeśli zdemaskuje żonę kandydata Andrzeja Dudy jako Żydówkę, to w ciemnym, antysemickim elektoracie prawicowym zada mu tym sposobem śmiertelny cios.

Będzie banałem stwierdzenie, że swój polityczny cel – wyeliminowanie konkurencji do liderowania antypisowskiej opozycji – może Tusk zrealizować tylko za cenę zapewnienia Kaczyńskiemu trzeciej kadencji. On to zapewne wie. Jego coraz bardziej fanatyczni i oszalali z nienawiści wyznawcy chyba nie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

Sekielski, czyli długa medialna wspinaczka

Piotr Semka

Tomasz Sekielski staje wobec wyzwania, jakim jest kierowanie „Newsweekiem”. Złośliwi twierdzili, że tytuł ten pod rządami poprzedniego naczelnego był jedynym tygodnikiem w Polsce, który składał się jedynie z okładki. I to okładki walącej w „kaczyzm” na odlew. Czy tak pozostanie? Jaką drogę przeszedł obecny naczelny tygodnika, który objął schedę po swoim dawnym nauczycielu zawodu?

Mianowanie autora filmu „Tylko nie mów nikomu” na stanowisko zwolnione przez Tomasza Lisa w tygodniku „Newsweek” zostało okrzyknięte w mediach najgorętszym w branży transferem roku. W pierwszym edytorialu po objęciu „Newsweeka” Tomasz Sekielski dokonał rozliczenia z Tomaszem Lisem. Przyznał, że uczył się od niego zawodu, a jednocześnie dodał, że „nie będzie udawał, że Tomek był jego ulubionym szefem”. Okres bycia podwładnym Lisa w „Faktach” TVN nazwał czasem „raczej używania kija niż marchewki”.

Jak wyglądało to w praktyce – Sekielski precyzuje tak: „Wybuchy złości, nieustająca presja sprawiały, że nie wszyscy wytrzymywali tę swoistą tresurę. Ileż razy słyszałem wtedy od niego, że newsy to nie jest miejsce dla »grzecznych harcerek« ani »szkółka niedzielna«. Był genialnym dziennikarzem, perfekcjonistą, któremu wiele się wybacza. Wtedy, w II połowie lat 90. ubiegłego wieku, błędnie wydawało nam się, że taka jest norma, że tak muszą wyglądać relacje w redakcji, że tak funkcjonują media. Na szczęście czasy się zmieniają, tyle tylko że nie zmienił się Tomek”.

Wyznanie Sekielskiego jest bardzo szczere, tyle że natychmiast wielu internautów zapytało, dlaczego Sekielski nie podzielił się tą wiedzą wcześniej. Tym bardziej że sam był autorem filmu „Tylko nie mów nikomu”, którego tytuł doskonale pasował do zmowy milczenia wokół Tomasza Lisa.

Nawet na początku całej afery, gdy opinia publiczna dowiedziała się jedynie o decyzji RASP o dymisji szefa „Newsweeka”, Sekielski zachowywał dyskrecję. Trzeba było dopiero tekstu Szymona Jadczaka z Wirtualnej Polski, który odważył się pod nazwiskiem ujawnić to, co działo się wewnątrz „Newsweeka”, by pękła zmowa milczenia.

Losy kariery dziennikarskiej Tomasza Sekielskiego doskonale pokazują mechanizmy rządzące mediami w latach 90. i dwutysięcznych. Warto im się przyjrzeć przy okazji rozgłosu wokół objęcia przez Sekielskiego szefostwa jednego z najważniejszych tygodników opinii w Polsce.

NA WARSZAWSKIM BRUKU

Tomasz Sekielski urodził się w 1975 r. Jest więc o dziewięć lat młodszy od Tomasza Lisa. Ta różnica dekady miała ogromne znaczenie. Ludzie urodzeni w połowie lat 70. wchodzili do życia publicznego bez obciążenia konfliktem obozu Solidarności z komunistami.

eprasa.pl 660f69da97

Tomasz Sekielski został szefem „Newsweeka” po Tomaszu Lisie
FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Trafiali na ukształtowany już w miarę rynek medialny. W licznych tekstach poświęconych jego karierze powtarza się motyw chłopaka, który wszystko musiał wywalczyć sobie sam. Jego ojciec uczył języka rosyjskiego w jednym z bydgoskich liceów, a matka pracowała jako chemik w Bydgoskich Zakładach Fotograficznych FOTON. Także wybór szkoły średniej nie kojarzył się z typową drogą wielu dziennikarzy, gdyż Sekielski wybrał technikum budowlane. Jednak fakt, że w swojej szkole stał się gwiazdą szkolnego radiowęzła, mógł pchnąć go ku dziennikarstwu. Jeszcze w Bydgoszczy związał się z katolickim Radiem VOX – był to krótki moment, w którym rozgłośnie diecezjalne rozkwitały i tworzyły dobre miejsce do nauki zawodu.

Około 1995 r. Sekielski uznał, że bardziej ambitna kariera dziennikarska wymaga przeniesienia się do Warszawy. W stolicy został reporterem Radia Wawa, a potem Radia Dla Ciebie. Jeden z dziennikarzy, którzy wówczas pracowali w Sejmie, wspomina: „Bardzo szybko Sekielski rzucił mi się w oczy. Był sprawnym reporterem, a co najważniejsze, widać było, że aby utrzymać się na rynku, chce »gryźć trawę«. Piłka była krótka. Kto nie utrzymał się w branży, nie miał pieniędzy na wynajęcie choćby najciaśniejszej klitki w obcym sobie mieście i ciągle liczył się z upokarzającą wizją powrotu na tarczy do rodzinnego miasta. Dlatego dwoił się i troił, aby wszędzie być pierwszy”.

W II połowie lat 90. miejscem marzeń stał się TVN. Magazyn informacyjny „Fakty”, prowadzony przez Tomasza Lisa, budził respekt nowoczesną formą przekazu. Trudno było się więc dziwić, że Sekielski zrobił wiele, by znaleźć się na pokładzie nowego medialnego okrętu. Zaczął się okres, gdy nauczył się wbijać w elegancki garnitur i ścigać się z innymi dziennikarzami „Faktów” na najbardziej efektowne materiały. To był właśnie wspomniany już wcześniej okres, kiedy debiutowali tacy dziennikarze jak Grzegorz Kajdanowicz, Paweł Płuska, Maciej Knapik, Dariusz Prosiecki i właśnie Tomasz Sekielski. Chłonęli oni nauki od wszechmocnego wówczas Tomasza Lisa.

Politycznie Sekielski był wówczas jeszcze niezdecydowany. Jeden z dziennikarzy sejmowych działających w II połowie lat 90., a sympatyzujący dziś z prawicą wspomina: „Za rządów Akcji Wyborczej Solidarność mocno kibicował Buzkowi i podkreślał, że cieszy go odsunięcie od władzy »czerwonych z SLD«. Miewał wtedy też liczne dylematy etyczne dotyczące dziennikarstwa. Pamiętam, jak pytał się mnie, czy powinien jakoś odnieść się do faktu, że premier Buzek romansował z jedną ze swoich minister, czy też ujawnianie tego jest nieetyczne. Było widać, że nie chce tamtej ekipie zaszkodzić. Jednocześnie prezentował dość naiwny rygoryzm zawodowy. Na przykład publicznie deklarował, że nie chodzi na wybory, aby potem nie być psychicznie uzależnionym od żadnego ugrupowania”.

Zauroczenie Lisem nie było jednak chyba na tyle silne, by skłonić Sekielskiego do odejścia wraz ze swoim mentorem do Polsatu. Lis dotknięty na polu miłości własnej wyrzuceniem go z TVN oferował wówczas wielu czołowym reporterom „Faktów” bardzo atrakcyjne pensje za przejście do konkurencji. Ale duża część dziennikarzy powstrzymała się od pójścia za swoim niedawnym guru. Dokonali trafnego wyboru. To odejście Lisa pozwoliło im wyjść z cienia.

Okres chwały przypadł Sekielskiemu na czas pracy komisji mającej zbadać aferę Rywina. Jego relacje różniły się in plus od materiałów wielu dziennikarzy z innych stacji. Potrafił szybko i sprawnie wyłapywać kluczowe zwroty akcji i zauważać w pozornych drobiazgach fakty, które mogą całkowicie wywrócić przebieg śledztwa. Ten okres chwały został wzmocniony przez stworzenie na antenie TVN duetu medialnego z Andrzejem Morozowskim, starszym o 20 lat i nieporównanie bardziej doświadczonym politycznie dziennikarzem.

Morozowski wywodził się z kręgu lewicy solidarnościowej i należał obok Adama Pieczyńskiego, Grzegorza Miecugowa czy Milana Subotica do wąskiej grupy, która ustalała w TVN24 linię polityczną poparcia dla Platformy Obywatelskiej i obozu prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego przy jednoczesnej dużej niechęci wobec prawicy na czele z PiS. Jeden z byłych dziennikarzy TVN mówi: „Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś w kierownictwie TVN zorientował się, że Sekielski z jednej strony jest bardzo obiecującym dziennikarzem, a z drugiej strony jest rozchwiany w swoich sympatiach politycznych. Przyspawanie go do Morozowskiego na długi okres, bo aż do 2010 r., w kolejnych programach robionych razem, na czele z »Teraz my« ukierunkowało go ku ogólnie rzecz biorąc liberalno-lewicowej linii stacji. Zresztą proszę zauważyć, że potem Sekielski zawsze trzymał się już mediów poprawnościowych, takich jak TOK FM czy TVP pod rządami platformerskimi”.

W 2006 r. dochodzi do nagrania w ramach programu „Teraz my” za pomocą ukrytej kamery negocjacji między posłanką Samoobrony Renatą Beger a dwoma politykami PiS: Adamem Lipińskim i Wojciechem Mojzesowiczem. Negocjacje dotyczyły korzyści, jakie miała uzyskać posłanka Renata Beger wraz z innymi pięcioma posłami Samoobrony w zamian za wystąpienie z Samoobrony i poparcie rządu.

Nagranie z tej rozmowy wyemitowane na antenie TVN 26 września 2006 r. niemal wywołało kryzys polityczny. Program wyemitowano późnym wieczorem, a już ok. godz. 1.30 27 września wszystkie partie opozycyjne na czele z Platformą Obywatelską zwołały do Sejmu konferencje

eprasa.pl 660f69da97

prasowe, na których ogłoszono, że doszło do przestępczej korupcji politycznej, i domagano się nadzwyczajnego posiedzenia Sejmu. Postulowano, by jeszcze tego samego dnia Sejm rozpatrzył wniosek o samorozwiązanie i zażądano dymisji rządu Jarosława Kaczyńskiego.

Tej samej nocy przed budynkiem Sejmu zebrało się ok. 200 osób, które manifestowały sprzeciw wobec rządu. Według paru relacji demonstranci mieli zamiar założyć miasteczko namiotowe na terenie parlamentu i tylko zdecydowana reakcja straży marszałkowskiej zapobiegła stworzeniu tej pierwszej próby Majdanu nad Wisłą. Ta próba wskrzeszenia atmosfery nocnej zmiany z czerwca 1992 r. nie udała się opozycji. Wskutek zdecydowania marszałka Sejmu Marka Jurka zablokowano próbę samorozwiązania Sejmu.

Program z Renatą Beger obsypano nagrodami – Sekielski z Morozowskim otrzymali nagrodę Grand Press.

Nie wyciszyło to jednak pytań o etyczność całego nagrania. Rzecz w tym, że było ono dokonane na zasadzie umowy z Renatą Beger, która przygotowała prowokację w swoim pokoju sejmowym. Jeden z dziennikarzy TVN wspomina, że jakiekolwiek wątpliwości wokół etycznych zasad przeprowadzenia tego programu były przy ulicy Wiertniczej tematem tabu. Ogólnie dominowała teza, że Sekielski i Morozowski zdobyli się na niesłychaną odwagę. Tymczasem ten program był zbudowany na uprzywilejowaniu jednej strony. Renata Beger wiedziała, że kamera jest włączona, i wypowiadała się tak, aby wyjść na ofiarę swoich rozmówców z PiS. Druga wątpliwość dotyczyła tego, w jakim stopniu partie opozycji były przygotowane na kryzys polityczny, który można było wywołać wokół tego programu. To, że ok. godz. 1.30 wszystko było gotowe do konferencji prasowej, może budzić wiele znaków zapytania. Tak samo mobilizacja w środku nocy ok. 200 ludzi gotowych do rozbicia namiotów na terenie Sejmu.

NA WŁASNĄ RĘKĘ

W kwietniu 2012 r., po prawie 15 latach pracy, Sekielski odszedł z TVN. Wypowiadając się wiele lat później dla portalu Press.pl, przyznał, że od pewnego momentu nie chcieli do niego przychodzić ministrowie ówczesnego premiera Donalda Tuska. Taką postawę nazwał „cichym bojkotem" i dodał, że m.in. dlatego „Teraz my" zniknęło z anteny. Swoje doświadczenia z TVN spuentował wówczas: „Dziś chętnie bym poprowadził taki talk-show publicystyczny po bandzie, ale nie ma na niego szans. I to nie dlatego, że nie znalazłaby się odważna telewizja, ale dlatego, że żaden polityk by do niego nie przyszedł".

Czy „Teraz my" zniknęło wskutek nacisków Platformy Obywatelskiej? Faktem jest, że Sekielski i Morozowski dwa lata wcześniej podszyli się pod ministra Tomasza Arabskiego, chcąc sprawdzić, czy państwo dobrze chroni tzw. dane wrażliwe. Sfałszowali e-mail od Arabskiego i tak samo użyli w tym celu angielskiego serwisu Sharpmail, który pozwala wysyłać e-maile i SMS-y pochodzące rzekomo od kogoś innego. Poprosili kilku wojewodów o udostępnienie osobistych danych szefów policji i straży pożarnej w kilku województwach.

Arabski próbował wtedy bagatelizować całą aferę: „Nie mam żalu. Może to była prowokacja na granicy prawa, ale uprawniona, bo pokazała ważny problem". Gdy na podobną prowokację zdecydował się później twórca portalu Antykomor.pl wobec gdańskiego sędziego Ryszarda Milewskiego, reakcja władzy była o wiele bardziej gwałtowna. Sugerowano, że sprawców zdemaskowania serwilizmu sędziego należy prześladować karnie.

NA NOWEJ DRODZE

Po odejściu z TVN Sekielski wyraźnie nie mógł znaleźć dla siebie dobrej formuły działania. Od października 2012 do stycznia 2015 r. prowadził środowe poranki w Radiu TOK FM. Od stycznia 2013 r., gdy został zaproszony do TVP przez proplatformerskiego prezesa Jana Dworaka, prowadził w TVP1 program „Po prostu", a potem był gospodarzem programu „Woronicza 17" w TVP Info. Ciekawostką jest to, że Sekielski bynajmniej nie odszedł z TVP po nastaniu przy Woronicza nowego prezesa Jacka Kurskiego. Przez przynajmniej pół roku emitowane były na antenie telewizji Kurskiego jego reportaże międzynarodowe.

W 2019 r. Sekielski powrócił do obiegu w wielkim stylu za sprawą filmu „Tylko nie mów nikomu". Była to opowieść o przypadkach molestowania seksualnego młodych ludzi przez kapłanów i o braku transparentności postępowań, które podejmował Kościół katolicki w takich sprawach. Film zgromadził ogromną 16-milionową widownię i okazał się dziennikarskim sukcesem. Sekielski wykorzystał to, że nikt po prawej stronie nie kwapił sięgnąć po ten kłopotliwy dla Kościoła temat.

To, co budziło kontrowersje, to data emisji reportażu w TVN24. Wyznaczono ją na 11 maja 2019 r., czyli dwa tygodnie przed wyborami do europarlamentu. Wywołało to ogromne nadzieje opozycji na to, że emisja filmu wpłynie na wynik wyborczy. Wirtualna Polska 13 maja głosiła: „»Tylko nie mów nikomu« zmienia kampanię. Politycy: »Film Sekielskiego wpłynie na wybory«. PiS w pułapce". Publicysta WP Michał Wróblewski pisał: „Film Tomasza Sekielskiego »Tylko nie mów nikomu« przeniósł kampanię wyborczą na nowy poziom". I cytował jednego z polityków sztabu Koalicji Europejskiej: „Jako obrońcy Kościoła za wszelką cenę PiS będzie wiązany z tym, co widzieliśmy w filmie Sekielskiego. Są w pułapce, bo nie mogą dla własnego interesu politycznego potępić hierarchów czy biskupów, którzy trzymali parasol ochronny nad kapłanami – pedofilami".

Obrońcy filmu braci Sekielskich, którzy firmowali dokument, dość demagogicznie argumentowali, że nie mogli przenieść emisji filmu poza termin wyborów 26 maja 2019 r., bo rzekomo wypadałoby to na 1 czerwca – Dzień Dziecka. Był to nieuczciwy chwyt retoryczny, gdyż tydzień po wyborach 26 maja była niedziela 2 czerwca.

Kolejny film, który pociągnął temat zamiatania pod dywan przypadków pedofilii – „Zabawa w chowanego" – wyemitowany w 2020 r., nie odbił się już tak dużym echem jak pierwszy.

Tomasz Sekielski staje teraz wobec wyzwania, którym jest kierowanie „Newsweekiem". Pytanie, czy chce zmienić profil tygodnika. Złośliwi twierdzili, że „Newsweek" pod rządami poprzedniego naczelnego był jedynym tygodnikiem w Polsce, który składał się jedynie z okładki. I to okładki walącej w „kaczyzm" na odlew. Czy tak pozostanie? Jak można podejrzewać, Sekielski będzie bardziej stawiał na dziennikarstwo śledcze i wykrywanie afer. Może też poruszać kwestie grzechów Kościoła.

Ale czy zadowoli to czytelników przyzwyczajonych do ostrej politycznej kuchni Tomasza Lisa? Jeden z byłych dziennikarzy funkcyjnych koncernu RASP prognozuje: „»Newsweek« pod rządami Lisa wyprodukował specjalny typ czytelnika, który nastawiony jest na nawalanie w »kaczyzm«. Sekielski – czy chce, czy nie – będzie zmuszony iść dalej tą drogą. Tym bardziej że zespół pozostawiony przez poprzedniego naczelnego inaczej pisać nie umie, a wszelkie zmiany są ryzykiem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie

18:30

zaprasza **Piotr Kieraga**

REPUBLIKA

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 66d69da97

Utrzymać inicjatywę

FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/KPRP

Tomasz Rowiński

Wiele wskazuje na to, że w Izraelu zdano sobie sprawę – przynajmniej na jakiś czas – z bezsensowności polityki eskalacji w relacjach z Polską. Prowadzenie jej w taki sposób zaczęło przynosić państwu żydowskiemu szkody na arenie międzynarodowej

Rozmowa, która miała miejsce 4 lipca pomiędzy prezydentami Polski i Izraela, Andrzejem Dudą i Isaakiem Herzogiem, wyraźnie pokazała, że państwo żydowskie szuka porozumienia i wyjścia ze ślepej uliczki, w której – z winy polityków z Jerozolimy – znalazły się relacje polsko-izraelskie.

Bezpośrednim powodem ostatniego ich zaognienia była reakcja władz Izraela na polską reformę Kodeksu postępowania administracyjnego. Według niej po upływie 30 lat nie ma już możliwości, by zakwestionować decyzję administracyjną, nawet jeśli została podjęta z rażącym naruszeniem prawa. Andrzej Duda podpisał tę reformę w sierpniu 2021 r. – Cieszę się, że pomimo towarzyszących nam na co dzień gorących politycznych sporów wokół tych niezwykle istotnych z punktu widzenia Polek i Polaków zmian udało się zbudować konsensus polityczny – mówił wówczas Andrzej Duda. – Przeciwko nowelizacji KPA zarówno w Sejmie, jak i Senacie nie opowiedziało się żadne z ugrupowań politycznych. To jeszcze wyraźniej pokazuje, jak istotne i oczekiwane są [obecne] zmiany prawne i że cieszą się one szerokim poparciem w naszym kraju – dodał.

Uchwalenie reformy KPA wynikało zresztą z orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego z maja 2015 r., który uznał, że – jak przypominał prezydent – „stwierdzanie po wielu latach nieważności decyzji administracyjnych stanowiących podstawę nabycia np. własności jest niezgodne z konstytucją". Celem reformy było przede wszystkim ukrócenie rozmaitych praktyk, które zbiorczo od lat określa się mianem „dzikiej reprywatyzacji". Nierzadkie były przypadki, gdy polscy obywatele tracili nabyty w dobrej wierze w latach powojennych majątek. Wystarczyło, że nagle znalazł się faktyczny lub rzekomy spadkobierca, który przez dziesięciolecia nie był zainteresowany utraconymi dobrami, i obrotny adwokat.

OBURZENIE W JEROZOLIMIE

Reforma KPA uruchomiła antypolską kampanię. Ambasada Izraela opublikowała w mediach społecznościowych wpis, z którego wynikało, że nowelizacja „uniemożliwi zwrot mienia żydowskiego lub ubieganie się o rekompensatę". „To niemoralne prawo poważnie uderzy w stosunki między naszymi państwami" – twierdzono. Ówczesny minister spraw zagranicznych Izraela Ja'ir Lapid najpierw orzekł, że „żadne prawo nie zmieni historii", a „nowe polskie prawo jest hańbą", potem zaś poprosił polskiego ambasadora, by ten nie wracał już po wakacjach do swoich obowiązków. Marek Magierowski opuścił latem 2021 r. Izrael, a niedługo potem został polskim przedstawicielem w Waszyngtonie. Również najwyższy rangą urzędnik ambasady Izraela w Polsce opuścił Warszawę. Na pojawiające się ze strony Jerozolimy zapowiedzi, że nie ma planów, by w naszym kraju znów pojawił się przedstawiciel Izraela w randze ambasadora, również polskie MSZ podjęło decyzję o trwałym obniżeniu rangi polskiej placówki dyplomatycznej w Jerozolimie.

Sytuacja Polski nie była łatwa, jak przy każdym sporze z Izraelem. Tym bardziej że już w czerwcu 2021 r. do sprawy włączył się amerykański Departament Stanu. „Wierzymy w znaczenie rozwiązania kwestii restytucji z czasów Holokaustu, aby zapewnić sprawiedliwość i równość wszystkim ofiarom. Wczorajsza decyzja polskiego parlamentu była krokiem w złym kierunku. Apelujemy do Polski, aby nie posuwała się naprzód z tym

eprasa.pl 660f69da97

ustawodawstwem" – pisał w mediach społecznościowych rzecznik DS Ned Price. Wydawało się, że możemy mieć do czynienia z powtórką sytuacji z roku 2018, gdy Polska została przymuszona do wycofania się z nowelizacji ustawy o IPN wprowadzającej penalizację za obarczanie naszego kraju współodpowiedzialnością za zbrodnie nazizmu.

Tak się jednak nie stało. Trudno jednoznacznie powiedzieć, co było tego bezpośrednią przyczyną. Czy szerokie poparcie polityczne, które reforma KPA uzyskała w kraju, czy mniej zdecydowana postawa administracji Joe Bidena. Być może decydująca okazała się zmiana klimatu społecznego, która nastąpiła w Polsce i która ujawniła się w wewnętrznych sondażach wykonanych na zlecenie partii rządzącej. Choć w sprawie nowelizacji ustawy o IPN udało się skutecznie poróżnić, zdezorientować i w pewnym sensie zastraszyć polską opinię publiczną, to efektem tamtych wydarzeń był – jak się zdaje – dość zauważalny wzrost nieufności polskiego społeczeństwa wobec sposobu uprawiania polityki zarówno przez Izrael, jak i Stany Zjednoczone.

Czy już latem 2021 r. można było mówić o pojawieniu się czynników geopolitycznych, które na tyle zmieniły pozycję Polski i Izraela, że nasz rząd otrzymał impuls do większej asertywności? Wydaje się, że jeszcze wtedy nie wchodziły one w rachubę. Świadomość Zachodu na temat możliwej wojny sprowokowanej przez Rosję znajdowała się wciąż na etapie rozpracowania wywiadowczego. Z pewnością nie traktowano tej sprawy ze stuprocentową powagą. Można sądzić, że aż do jesieni 2021 r. Waszyngton żywił pewne nadzieje zarówno co do postawy strategicznej Berlina, jak i Moskwy. Sądzono, że uda się wypracować oczekiwane porozumienie, które zabezpieczy Amerykanom sytuację na europejskich tyłach w konfrontacji z Chinami. Dziś wiemy, że zarówno Niemcy, jak i Rosja – każdy z krajów na swój sposób – rozwiały złudzenia Waszyngtonu co do sojuszniczego potencjału ich polityk.

WEWNĘTRZNA PRESJA

Warto zwrócić uwagę na coś jeszcze innego. Polityka zagraniczna Ja'ira Lapida była ostro krytykowana także w Izraelu. Miesiąc przed wybuchem wojny na Ukrainie, już po gorącej jesieni na granicy polsko-białoruskiej, gdy rzeczywiście zaczęło się w Europie przesuwanie geopolitycznych płyt, w najpopularniejszym izraelskim dzienniku „Israel Hayom" Eldad Bek opublikował tekst wzywający do normalizacji stosunków z Polską. O nastrojach, jakie w sprawie relacji z Izraelem panowały w Polsce, niech świadczy to, że jego fragmenty opublikował Onet. Oczywiście trzeba mieć świadomość, że „Israel Hayom" jest gazetą opozycyjną, związaną z obozem Beniamina Netanjahu. Niemniej tekst ten dobrze pokazywał, w jak niekomfortową sytuację wmanewrował się rząd Bennetta i Lapida.

„Szef izraelskiego MSZ Ja'ir Lapid pochwalił polskie poparcie dla rezolucji ONZ w sprawie zwalczania negowania Holokaustu, jak by było to wyjątkowe zjawisko; nawet gdy Lapid próbuje przywrócić stosunki między oboma krajami, nie ma właściwego podejścia" – pisał Eldad Bek. W dalszej części artykułu przedstawił dość realistyczną ocenę relacji polsko-żydowskich w kontekście zbrodni niemieckich w czasie drugiej wojny światowej, pokazując jednocześnie absurd oskarżeń, jakie radykalna prawica w Izraelu publicznie formułowała wobec Polski i Polaków. Pamiętajmy, że to Lapid, będąc już szefem izraelskiego MSZ, mówił w 2019 r., że Polacy „wyssali antysemityzm z mlekiem matki".

Tymczasem Bek pisał: „W ostatnich latach ujawniono ciężką pracę polskich dyplomatów w celu ratowania Żydów na całym świecie. I tak, z naszej strony byli też żydowscy kolaboranci, którzy pomagali nazistom w eksterminacji".

Interesujące było przekonanie Beka, że kolejna obraźliwa wypowiedź Lapida wobec Polski – sugerowanie, że poparcie przez Polskę rezolucji ONZ w sprawie zwalczania negowania Holokaustu jest czymś na tyle wyjątkowym, że warto to podkreślić – była próbą ocieplenia relacji pomiędzy krajami. Publicysta odniósł się także do izraelskiej nagonki na reformę KPA, pisząc, że „z czysto populistycznych i oportunistycznych powodów została [ona] przedstawiona w Izraelu w zniekształconej interpretacji".

Sprawy jednak szły naprzód. Jak wiadomo, ważną rolę w polityce Izraela odgrywa „głębokie państwo", czyli kompleks wojskowo-wywiadowczy, który stabilizuje rozchwianą politycznie izraelską demokrację. Jest prawdopodobne, że to na tej linii, w porozumieniu ze Stanami Zjednoczonymi, doszło do przeformułowania stanowiska Tel Awiwu. Pod koniec stycznia, gdy Eldad Bek pisał swój artykuł, rządy państw NATO oraz inni sojusznicy Stanów Zjednoczonych wiedzieli, że wojna na wschodzie Europy jest w zasadzie nieunikniona. Gdy zaś zimny konflikt na Ukrainie ostatecznie 24 lutego zamienił się w pełnoskalową wojnę, trzy dni później media poinformowały, że w Warszawie pojawił się nowy ambasador Izraela – Jakow Livne.

FINAŁ GRY

Z jednej strony była to szybka reakcja sugerująca zacieśnianie relacji państw „alianckich", a także świadectwo przyjęcia do wiadomości zmiany polityczno-strategicznej pozycji Polski. Z drugiej jednak na tyle spóźniona, że umożliwiła ona prezydentowi Andrzejowi Dudzie prowadzenie dalszej gry na zwłokę. Ułatwił to niejednoznaczny stosunek Izraela do rosyjskiej agresji. Dopiero teraz „gra" znajduje swój finał, a jest nim złożenie listów uwierzytelniających przez Livne'a.

Pytanie w tej sprawie brzmi tak samo, jak w przypadku wielu innych dotyczących obecnie Polski procesów politycznych: Czy uzyskaną inicjatywę będziemy potrafili podtrzymać i wykorzystać? Są na to pewne szanse. Nie jest żadną tajemnicą, że konflikt Zachodu z Rosją bardzo utrudnia Izraelowi prowadzenie polityki zagranicznej. Balansowanie Jerozolimy pomiędzy USA a Rosją było ważnym elementem nie tylko bliskowschodniej gry, lecz także gry o wewnętrzną stabilizację żydowskiego państwa, w którym ludność pochodzenia rosyjskiego stanowi czynnik społeczny nie do pominięcia. To otwiera przed Polską pewne realne – nawet jeśli ograniczone – możliwości wywierania wpływu na jednego z naszych najtrudniejszych zagranicznych partnerów.

Kłopoty z Izraelem oczywiście wcale się nie skończyły, ponieważ są one poważniejsze niż bieżąca polityka. Dotyczą kultury i treści tożsamości narodowej, którą wytworzył Izrael. W dniu, gdy powstawał ten tekst, w newsach agencyjnych pojawiła się informacja o użyciu sformułowania „polskie obozy śmierci" w artykule o Janie Karskim, który ukazał się w „Jerusalem Post". Interweniowali internauci, a także polskie MSZ i tekst został skorygowany. Obozy śmierci przestały być „polskie", ale niestety nie stały się – zgodnie z prawdą – niemieckie. Zabawa w kotka i myszkę trwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

Więzienie na ostro

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Więźniowie mają tak samo jak zwykli Polacy czekać w kolejkach do lekarzy specjalistów i płacić dodatkowo za telewizję w celach. Rząd podsumowuje projekt zmian prawa krótko: więzienie to nie sanatorium

Odsiadujący wyrok w norweskim więzieniu Anders Breivik, który zastrzelił w masakrze na wyspie Utoya 77 osób, ma do swojej dyspozycji konsolę PlayStation i nawet, skarżąc się do sądu na nieludzkie traktowanie, wytykał, że nie jest to najnowszy model tego sprzętu (proces z norweskim rządem wygrał i dostał odszkodowanie wynoszące w przeliczeniu 150 tys. zł, choć akurat nowej konsoli mu nie dano).

Polska właśnie skręca w zupełnie inną stronę niż Norwegia. Jeszcze kilka lat temu konsola do gier była w co piątej celi. Dziś żaden osadzony w kraju nie może sobie pograć w gry, konsoli nie ma w ani jednej celi. Ponieważ pozwolenia na taki sprzęt dawali dyrektorzy zakładów karnych, rząd wymusił zmianę tego podejścia – i nikt już zgód nie dostaje.

Okazało się, że to tylko preludium do poważniejszych zmian. Rząd przyjął projekt nowelizacji prawa, który ma sprawić, że przebywanie w więzieniu stanie się mniej przyjemne. Przedstawiciele Ministerstwa Sprawiedliwości podkreślają nawet, że właśnie to jest celem zmiany prawa, nazywając nowelizację hasłem: „Więzienie to nie sanatorium". Dlaczego?

– Służba Więzienna ma zapewnić obywatelom bezpieczeństwo, izolując sprawców przestępstw, ale wykonuje też zadania penitencjarne. Są wychowawcy, psychologowie, terapie. Jest jednak pewna kategoria obywateli, których być może nigdy nie sprowadzimy na drogę prawa i praworządności – tłumaczy „Do Rzeczy" Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości. – Stąd właśnie pomysł na zaostrzenie kar w Kodeksie karnym, zaostrzenie kar dla recydywistów oraz pomysł na dyscyplinę w więzieniach. Te działania mają skłonić tych, którzy myślą o powrocie na przestępczą drogę, do zastanowienia się,

eprasa.pl 660f69da97

czy w więzieniu było im tak dobrze, czy było tam komfortowo.

Poziom recydywy w Polsce od lat balansuje na mniej więcej tym samym poziomie. Z danych resortu sprawiedliwości przedstawianych w 2018 r. wynikało, że w pierwszym roku po prawomocnym wyroku do przestępstwa powracało ok. 13 proc. osób. Ogólnie na przestępczą drogę w ciągu pięciu lat wracał co czwarty skazany.

CHCESZ TELEWIZOR? TO PŁAĆ

Więźniowie nie tylko nie będą mieć konsol do grania. Będą też musieli płacić za to, że chcą mieć w celi telewizor. Ministerstwo Sprawiedliwości wyszło z założenia, że państwo zapewnia minimalny standard celi, a jeśli osadzony chce dodatkowe sprzęty, to musi się dołożyć. Za posiadanie telewizora będzie więc zryczałtowana opłata wynosząca ok. 10 zł miesięcznie.

Można zadać pytanie, czy skoro więzień ma płacić za telewizor, który zużywa prąd, to czy nie powinien w ogóle odpracowywać kosztów utrzymywania go w izolacji? – Są i takie rozwiązania na świecie – odpowiada Michał Woś. – Nam jednak zależy, żeby więźniowie pracowali. Obecnie 88 proc. osadzonych, którzy mogą pracować, pracuje. Na fundusz aktywizacji zawodowej potrącane jest 51 proc. z ich wynagrodzeń. To przynosi miliony złotych. Z tego budujemy np. hale, modernizujemy pawilony, żeby więźniowie mogli pracować, a Służba Więzienna miała jak najlepsze warunki pracy.

KONIEC LEKARZY BEZ KOLEJKI

Jedną z poważniejszych zmian ma być dostęp do lekarzy specjalistów. Zdaniem ustawodawców dziś jest to sytuacja kuriozalna. Przestępcy na specjalistyczne porady i badania czekają bowiem tydzień, dwa, podczas gdy zwykli Polacy terminy do specjalistów mają rozciągnięte na miesiące, a nieraz i lata. Oprócz całodobowej opieki medycznej w zakładach karnych osadzeni mają też dwa razy w tygodniu dostęp do stomatologa.

Teraz ma się to zmienić. Więźniowie będą nadal mieli zapewnioną podstawową opiekę zdrowotną, ale do specjalistów będą czekali w kolejkach tak jak wszyscy.

– Europejskie standardy więzienne mówią, że usługi medyczne i opieka medyczna w więzieniach nie mogą odbiegać od zasady dla ogółu społeczeństwa. Tymczasem w Polsce jest to postawione na głowie. Bo osadzeni mieli tę opiekę lepszą niż ogół – mówi Woś. – Skończymy więc z tym przywilejem. Więźniowie na specjalistyczną opiekę medyczną będą czekać tak, jak każdy zwyczajny pacjent – zapowiada.

Tajemnicą poliszynela było to, dlaczego więźniowie mają tak dobry dostęp do świadczeń. Bo to po prostu doskonali klienci dla niepublicznych i publicznych ośrodków zdrowia. Płaci za nich budżet więziennictwa. To dlatego osadzeni mieli szybkie terminy i w dodatku nie otrzymywali zwykłych pakietów badań, tylko rozszerzone. To się po prostu opłacało wielu placówkom.

OGRANICZENIE SKARG

Nowelizacja prawa przewiduje też położenie tamy skargom więźniów zalewającym zakłady karne. Ci skarżą się bez przerwy i prawie na wszystko. Skalę tego kuriozum najlepiej pokazują dane. Z ostatnich – za rok 2020 – wynika, że osadzeni złożyli 37 tys. skarg, z czego za zasadne uznano 267. Zatem racjonalne są promile zażaleń więźniów.

Według autorów nowelizacji prawa w tym zakresie wskazuje to na nadużywanie prawa do skargi „poprzez celowe wywoływanie nieuzasadnionych czynności administracyjnych i formalnych, które przede wszystkim zaburza i narusza interesy skazanych korzystających w sposób prawidłowy z odformalizowanego środka ochrony".

Od dawna na ten problem wskazywali funkcjonariusze Służby Więziennej. „Iść do więzienia jest strach, ale dla funkcjonariuszy, nie osadzonych. Bo radę z osadzonymi się dawało bez żadnych problemów, ale z ich bezpodstawnymi skargami już nie, bo dla świętego spokoju były uznawane pozytywnie. Nie wiem, jak daleko to zajdzie, ale widać, że ministerstwo nie ma pomysłu, by te sprawy uregulować, albo się boi. A przecież to nie jest problem, by więzienie nie było sanatorium, tylko spełniało swoją rolę" – pisał w Internecie w 2017 r. Andrzej Dembiński, były funkcjonariusz SW, autor książki „Kariera klawisza".

I właśnie doczekał się rozwiązania. Ma być proste. Więźniom nie zostanie odebrane prawo do składania skarg (bo i tak by być nie mogło), jednak organ rozpatrujący ich skargę będzie ją mógł pozostawić bez rozpoznania, gdy uzna, że jest ona bezzasadna.

JEDEN TELEFON NA TYDZIEŃ

O ile te zmiany nawet ekspertom nie wydają się kontrowersyjne, o tyle z kolejną jest już inaczej. Chodzi o możliwość rozmów telefonicznych. Obecnie standardem w zakładach karnych jest możliwość porozmawiania przez telefon raz dziennie. Ta możliwość zostanie drastycznie ograniczona – do jednej telefonicznej rozmowy w tygodniu.

To rodzi pytania o to, czy w ten sposób nie zostaną ograniczone więzi osadzonych z bliskimi. Bo przecież z drugiej strony krat zostają niczemu winni żony, mężowie czy dzieci, którzy nie zerwali kontaktu i liczą na zmianę człowieka, który popełnił przestępstwo.

Wiceminister sprawiedliwości uważa jednak, że ograniczenie rozmów nie będzie restrykcją. – Dziś w kodeksie nie ma minimalnej gwarancji telefonów. To sprawa dyrektorów zakładów karnych – tłumaczy Woś. – Damy teraz dopiero gwarancję jednego telefonu na tydzień, a dyrektor zawsze będzie mógł się zgodzić na więcej. Powtarzam: więzienie to nie sanatorium. To miejsce izolacji, resocjalizacji, pracy nad sobą. Popełniając przestępstwo, trzeba się liczyć z konsekwencjami także dotyczącymi przecież życia prywatnego. Lata temu były tylko listy, a telefonów wcale nie było, no więc to jest sytuacja, która wiąże się z pewnym wymiarem kary, która ma być karą pozbawienia wolności. Zasady widzeń z bliskimi też nie przewidują codziennych wizyt – argumentuje.

Część polskich karnistów – którzy jak mantrę powtarzają, że wymiar kary nie wpływa na odstraszenie od przestępstwa – z tych zmian nie będzie zadowolona. Uważają, że sama izolacja już jest wystarczającą karą i że nie musi odbywać się w trudnych warunkach. Nieco inaczej rzecz widzą zwykli Polacy, którzy dziś na ekranach telewizorów mogą oglądać dokumentalne seriale prosto z cel polskich zakładów karnych i widzieć, jak beztrosko spędzają tam czas osadzeni. Najlepiej oddaje to komentarz pod jednym z tekstów w sieci opisującym planowaną reformę więziennictwa, który zamieścił przeciwnik PiS: „Nie sądziłem, że to kiedyś napiszę, ale: brawo Ziobro!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

Wystawa „Kobieta w czasach Wazów" w Muzeum Narodowym w Kielcach jest otwarta do 2 października

FOT. MUZEUM NARODOWE W KIELCACH

Skandalistki, uczone, dewotki

Wiesław Chełminiak

Każda epoka ma swoje celebrytki. Kto był na językach w epoce Wazów? Zamiast szukać odpowiedzi na to pytanie u wujka Google, lepiej wybrać się do stolicy województwa świętokrzyskiego

Muzeum Narodowe w Kielcach mieści się w nie byle jakim gmachu. Dawny pałac biskupów krakowskich to najlepiej zachowana wczesnobarokowa rezydencja w Polsce. Zaprojektował ją jeden z włoskich architektów pracujących dla króla Zygmunta III, o godny wystrój wnętrz zadbał nadworny malarz Wazów, Tommaso Dolabella ze swoimi współpracownikami. Fundator, Jakub Zadzik, zrobił oszałamiającą karierę w epoce, która społecznym awansom nie sprzyjała. Z urodzenia chudopachołek, dochrapał się godności kanclerza wielkiego koronnego. Z powodzeniem negocjował rozejm ze Szwedami i pokój z Rosją. Gdy w 1642 r. dygnitarza grzebano w wawelskiej katedrze, państwo polsko-litewskie wyglądało imponująco, przynajmniej na mapie. Jak złudna to była potęga, miało się okazać już po kilku latach.

Pałac też przechodził zmienne koleje losu. Pod koniec XVIII stulecia odebrano go purpuratom, w północnym skrzydle działała pierwsza w kraju uczelnia techniczna, później w gmachu zainstalowali się rosyjscy gubernatorzy. Za Gierka, po wyprowadzce urzędu wojewódzkiego, zaczął służyć celom muzealnym. Dziś bp Zadzik byłby z niego dumny. Po pięcioletnim remoncie pałac odzyskał blask, wypiękniał. Fasadę, jak drzewiej, zdobią posągi posłów szwedzkich i moskiewskich. Odświeżono polichromie, tapiserie, stropy, portale i kominki, zrekonstruowano ogród w stylu włoskim.

OD PANDORY DO MEGIERY

Restart uświetnia niewielka, lecz zacna wystawa, poświęcona kobietom z epoki Wazów. Z feministycznego punktu widzenia XVII w. był piekłem. Ówcześni luminarze, w całkowitej zgodzie z opinią publiczną, głosili teorie o niższości płci pięknej. Poczet szkodliwych niewiast zaczynał się od biblijnej Ewy i mitycznej Pandory. Piotr Skarga pouczał: „Nauki białogłowom nie służą, więcej modlitwa i robota". Bardziej rozgarniętym paniom zalecano hafciarstwo, w którym – jak zapewnia kuratorka wystawy Magdalena Śniegulska-Gomuła – doszły do mistrzostwa.

Mizoginia pleniła się obficie, jednak to tylko część prawdy o tamtych czasach. Kobiety nie mogły głosować ani pełnić urzędów, więc uzyskiwały wpływ na sprawy publiczne innymi sposobami. Czasem wystarczył odpowiedni ożenek. Mężczyźni ze świecznika rzadko byli ludźmi ze stali i dużo można było na nich wymusić. Ponadto pod nieobecność mężów i synów rodowymi majątkami z reguły zarządzały żony i matki.

Przykład szedł z góry. Anna Wazówna ku zgryzocie Zygmunta III uparła się pozostać luteranką, więc monarcha, by pozbyć się siostry z dworu, sprezentował jej starostwo golubskie. „Janusia" na luksusowym wygnaniu wykazała się nie tylko talentem administracyjnym. Oczytana i ciekawa świata, sfinansowała wydanie pierwszego polskiego zielnika (i jednego z najlepszych w Europie). Nazwy roślin, częściowo wymyślone przez autora – Szymona Syreniusza, profesora Akademii Krakowskiej – są w użyciu do dzisiaj. Królewna mogła sobie pozwolić na takie fanaberie m.in. dlatego, że nigdy nie wyszła za mąż.

Żony pierwszych Wazów – Anna, Konstancja i Cecylia Renata (wszystkie Habsburżanki) – unikały jawnego wtrącania się do polityki. Wiedziały, że należy przestrzegać pozorów, nawet jeśli nosi się koronę. Ludwice Marii, połowicy Jana Kazimierza, brakowało taktu i cierpliwości. Wyręczając humorzastego męża, rządziła państwem, wcale się z tym nie kryjąc. W rezultacie popularność królowej wkrótce sięgnęła dna. Szlachta nazywała ją „francuską megierą".

ACH, WDOWĄ BYĆ

Poziom artystyczny obrazów zgromadzonych na wystawie, delikatnie mówiąc,

eprasa.pl 660f69da97

nie powala. Jedynie te, które powstały w kręgu dworskim, zasługują na miano dzieł sztuki. Większość, autorstwa malarzy cechowych, razi naiwnością, lecz realizm tudzież zamiłowanie do szczegółu czynią z nich źródło informacji nie tylko o modelkach. Panie z portretów są z reguły w kwiecie wieku, ponieważ okolicznością, która skłoniła je do pozowania, był ślub – spodziewany lub świeżo zawarty.

Wyjątkiem jest konterfekt Gryzeldy Wiśniowieckiej w stroju wdowim. Księżna, wykształcona i energiczna, rozwinęła skrzydła dopiero po śmierci małżonka. Zarządzała ordynacją zamojską, najpierw w zastępstwie mało rozgarniętego brata, później prawem kaduka.

Po zaskakującym wyborze syna, Michała Korybuta, na władcę Rzeczypospolitej wywierała zaś przemożny wpływ na politykę państwa.

Wiśniowiecka udzieliła też wsparcia pierwszej polskiej poetce, Annie Stanisławskiej. Nieboraczka, wydana za umysłowo upośledzonego kasztelanica krakowskiego, napisała o swej golgocie 31 trenów. Po kilku latach mariaż udało się anulować dzięki temu, że umarł jego sprawca – ojciec poetki. Drugiego małżonka zabrała cholera, trzeciego rany odniesione pod Wiedniem i odtąd Anna, wciąż jeszcze młoda kobieta, mogła wieść żywot samodzielny i pozbawiony trosk materialnych.

Jeszcze szybciej wdową została Maryna Mniszchówna, żona dwóch rosyjskich carów samozwańców. Brak wizerunku awanturnicy rekompensuje portret Jadwigi, która towarzyszyła córce w triumfalnej podróży do Moskwy, była świadkiem jej koronacji i jako jedyna z rodziny dożyła sędziwego wieku. Gdy Maryna śniła o Kremlu, Litwa żyła innym skandalem. Zofia z Radziwiłłów Dorohostajska, korzystając z częstej nieobecności męża – żołnierza i dyplomaty – zadała się z chudopachołkiem Stanisławem Tymińskim. Zła sława jest lepsza od żadnej, więc gdy w XVIII w. ordynaci na Nieświeżu tworzyli galerię rodową, nie mogło w niej zabraknąć konterfektu Zofii, która niewierność odpokutowała pięcioletnim aresztem domowym.

W NIEBO WPATRZONE

Po niewiastach, które życie poświęciły nauce, zostało więcej książek niż portretów. Marię Cunitz, córkę lekarza ze Świdnicy (gdzie uczczono ją ostatnio kameralnym pomnikiem), współcześni nazywali nową Hypatią. Wliczając niemiecki i polski, znała siedem języków. Parała się matematyką, historią, genealogią oraz astrologią. Zapoznawszy się z teoriami Keplera, skorygowała jego obliczenia i tablice astronomiczne. Gdy rodzinny Śląsk uczonej znalazł się ogniu wojny trzydziestoletniej, schroniła się z mężem w klasztorze Cysterek w Łubnicach koło Wieruszowa. Tu powstało jej najsłynniejsze dzieło – „Urania propitia". Maria korespondowała z Heweliuszem, który nie podzielał opinii o głupocie kobiet. Druga żona, Elżbieta Koopman (różnica wieku między nimi wynosiła, bagatelka, 36 lat), asystowała gdańskiemu astronomowi w obserwacjach, kontynuowała je, gdy zmarł, i zarządzała jego naukową spuścizną.

W Rzeczypospolitej większego rozgłosu od pań wpatrzonych w gwiazdy zażywały dewotki. To one w dużej mierze przyczyniły się do zwycięstwa katolicyzmu w Polsce i na Litwie. Kielecki poczet niewiast pobożnych otwiera podkomorzanka Magdalena Mortęska. Wbrew woli rodziny wstąpiła do klasztoru Benedyktynek w Chełmnie, który – po zostaniu ksienią – dogłębnie zreformowała. Sława tej mistyczki dotarła aż do Rzymu, a „Medytacje o męce pańskiej" zachęciły inne mniszki do chwycenia za pióra, co zapoczątkowało złoty wiek literatury dewocyjnej nad Wisłą i Wilią.

Szkoły przyklasztorne oprócz zakonnic edukowały okoliczne szlachcianki. Wychowanką takiej placówki była krewna Mortęskiej – Anna Ostrogska. Księżna, protektorka jezuitów, zarządzała rodowym latyfundium po przedwczesnej śmierci męża, nie wypuszczając z dłoni różańca. W religijnej żarliwości przewyższała Ostrogską jej rówieśniczka, Elżbieta Łucja Sieniawska. Ta głodowała, biczowała się, nosiła włosienicę i kolekcjonowała relikwie. Wojewodziance udało się nawrócić na katolicyzm własnego małżonka kalwinistę, a dwie córki umieścić w klasztorze, choć nie miały one na to wielkiej ochoty.

Sieniawska z portretu jest tak uduchowiona, że trudno uwierzyć w jej choleryczny temperament. Wizerunek Katarzyny Ligęzy, która po śmierci męża hulaki wbrew protestom rodziny wstąpiła do zakonu karmelitanek, rozbraja z kolei naiwnością. Oto młoda, szykownie odziana kobieta, dramatycznym gestem zrywa z szyi naszyjnik z pereł, ze wstrętem odwracając wzrok od lustra, grzebienia oraz wodzących na pokuszenie muzycznych instrumentów.

FRANCUSKA CHOROBA

Do świętości z pewnością nie pretendowały damy z fraucymeru Ludwiki Marii. Królowa wyznaczyła im inne zadanie: umocnienia stronnictwa popierającego politykę dworu. Kuszono pieniędzmi, stanowiskami, a także wdziękami młodych szlachcianek, które Ludwika Maria sprowadziła z ojczyzny, tudzież córek i żon polskich magnatów, zauroczonych francuską modą i obyczajami (rozwiązłymi, zdaniem konserwatystów).

Korupcyjny proceder, wspierany tradycyjną kobiecą bronią – intrygą i obmową – dał opłakane skutki. Królowa, dążąc do rozprawy z opozycją, wywołała wojnę domową, która pogrzebała plany dworu, a przy okazji uniemożliwiła jakiekolwiek reformy państwa i zdemoralizowała polskie elity. Rzeczpospolita znalazła się na równi pochyłej.

Na wystawie, oprócz konterfektu Ludwiki Marii, można podziwiać również wizerunki gwiazd jej fraucymeru. Weteranek, jak Anna Mohylanka, córka hospodara mołdawskiego, czterokrotnie zamężna (ostatnim oblubieńcem był hetman Stanisław „Rewera" Potocki), i debiutantek, jak Maria d'Arquien, wydana kolejno za Jana „Sobiepana" Zamoyskiego i przyszłego króla Jana Sobieskiego.

Na młodszą siostrę Marysieńki zagiął parol Jan Wielopolski, który dzięki posagowi poprzedniej żony (oczywiście dwórki królowej) był już bogaty, a teraz marzyła mu się kariera polityczna. Nie zawiódł się w swych nadziejach, a portrety obu pań Wielopolskich są perłami kieleckiej ekspozycji. Konstancja Krystyna z Komorowskich żyła tylko 28 lat, ale unieśmiertelnił ją talent, nieznanego z nazwiska, francuskiego malarza.

Warto też zwrócić uwagę na konterfekt Katarzyny Franciszki Denhoff, damy rodem ze Śląska, która za zgodą królowej i własnego męża została metresą Jana Kazimierza. Kasper Denhoff kolekcjonował stanowiska, a jako agent francuski pobierał apanaże bardziej sute od „prezentów" wysyłanych z Wersalu dla Katarzyny. Co za szkoda, że żadna z pań brylujących na dworze ostatniego polskiego Wazy nie zostawiła po sobie szczerych i szczegółowych pamiętników!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CANAL+ ONLINE

Śmierć pomiędzy

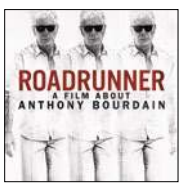

★★★★★★

REŻ. MORGAN NEVILLE
„W DRODZE. FILM O ANTHONYM BOURDAINIE" („ROADRUNNER: A FILM ABOUT ANTHONY BOURDAIN")
USA 2021, DOKUMENTALNY

Był Anthony Bourdain człowiekiem niezwykle utalentowanym i lubiłem niemal każde z jego wcieleń. Mistrz kuchni – nie jadłem nigdy u niego, ale jestem pewien, że by mi smakowało; autor wybornie napisanych książek (nie tylko osławionej „Kill Grill"), wreszcie osobowość telewizyjna. Przy czym kluczowe jest słowo „osobowość". Miał tę charyzmę, ten luz, tę niezwykłą umiejętność, dzięki której, gdy pojawiał się na ekranie, potrafił nim zawładnąć całkowicie. Oglądali go i kochali widzowie z całego świata.

Wskrzeszający go dokument Morgana Neville'a to wytrawna robota. Autor (nagrodzony Oscarem za „O krok od sławy") zgromadził świadectwa imponującej grupy przyjaciół, współpracowników oraz członków rodziny kucharza pędziwiatra. Próbując opowiedzieć jego barwne i burzliwe życie, starał się jednocześnie dociec, dlaczego skończyło się tak źle, skoro było tak piękne. Przypomnijmy, Bourdain powiesił się na pasku od szlafroka w alzackim hoteliku.

Łatwo być mądrym po fakcie, ale wcale nie musiał zostać gwiazdą. Świat pełen jest utalentowanych, inteligentnych ludzi, którzy kończą niespełnieni, których zżerają nałogi, którym nigdy nie udaje się postawić ostatniego, prowadzącego do prawdziwego sukcesu kroku. Bourdainowi się udało, ale o swych czarnych dniach pisał i opowiadał bez ogródek. Ponadto sukces niszczył jego życie rodzinne – zawsze był z dala od domu, ciągle w podróży, coraz bardziej odległy. Za rodziną tęsknił, od rodziny uciekał. Był gdzieś pomiędzy.

Chciał więcej. Podobnie stało się z jego ambicjami na polu zawodowym – w pewnej chwili sumienie zaczęło mu podpowiadać, by ze świadka tego, co złe na świecie (a podróżował w wiele ponurych miejsc), zamienić się w zbawcę; czuł się jednak w tej roli niespełniony i też zawieszony pomiędzy: telewizje oczekują chwytliwego towaru obrazkowego, a nie naiwnych politycznych manifestów. Wreszcie dobił go romans wieku emerytalnego, zakochał się bez pamięci w dużo młodszej aktorce (Asia Argento), która miała być tą jedyną, ale nią nie była.

Ostatecznie wypada tę opowieść postawić na półce gdzieś obok biografii gwiazd rocka, które szybko stawały się globalnymi ikonami, budowały wokół siebie kult i legendę, a na końcu wpadały w otchłań. W pustkę, w tę zgubną szczelinę gdzieś pomiędzy kolorową fikcją a realem. Stamtąd nie wraca nawet sygnał telewizyjny. ©℗

Piotr Gociek

NOWE SERIALE: „LISTA ŚMIERCI"

prime video

Ekranizacja powieści Jacka Carra otwierającej cykl, którego bohaterem jest James Reece, chluba Navy SEALs. Zaczyna się od malowniczej katastrofy – cały oddział zostaje wybity podczas tajnej misji w Syrii – a potem jest jeszcze gorzej. Przyjaciele i rodzina giną w mocno podejrzanych okolicznościach, Reece zamienia się w nieustępliwego mściciela. Tytułową listę śmierci spisuje na odwrocie rysunku wykonanego przez zamordowaną córeczkę. Opowieść o zemście szybko zamienia się w thriller spiskowy godny Ludluma. W roli głównej Chris Pratt. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Lista śmierci" („The Terminal List"), USA 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Kung Fu Panda: Smoczy rycerz" („Kung Fu Panda: The Dragon Knight"),*** *animowany, USA 2022*
- *sezon 4* ***„Co robimy w ukryciu" („What We Do in the Shadows"),*** *(13 lipca)*
- *sezon 1* ***„Czarny ptak" („Black Bird"),*** *USA 2022*

eprasa.pl 660f69da97

Santo subito

KINO

Ennio Morricone wielkim muzykiem był. Nie miał zresztą innego wyjścia. Ojciec wybił mu z głowy chęć zostania lekarzem, zmuszając go do nauki gry na trąbce. Gdy skończył konserwatorium, koledzy z branży okrzyknęli go zdrajcą. Mistrz kontrapunktu i fan Strawińskiego nie może bowiem bezkarnie aranżować piosenek dla telewizyjnych trefnisiów i gwiazdeczek z San Remo. Morricone cierpiał jednak na artystyczne rozdwojenie jaźni: tworzył muzykę eksperymentalną i rozrywkową. Przede wszystkim zaś ozdobił swoimi kompozycjami ponad 500 filmów, z których większość dziś bardziej nadaje się do słuchania niż do oglądania. Giuseppe Tornatore omal nie zepsuł dokumentu poświęconego przyjacielowi, gdyż obca cnota umiaru jest mu kompletnie obca. Bywalcy La Scali i weterani rocka prześcigają się w wychwalaniu nieboszczyka. Spod grubej warstwy lukru z rzadka wyłania się człowiek niepozbawiony słabości i kompleksów. Włoski geniusz cierpiał katusze, bo Amerykanie zwlekali z przyznaniem mu Oscara. Znając własną wartość, powinien mieć to gdzieś. Dopiero pod koniec życia skończył z nieśmiałością i ruszył w światowe tournée. „Ennio" mimowolnie demaskuje kilku reżyserów o znanych nazwiskach jako błaznów i prostaków. Zasłużyli na protekcjonalny ton, którym kompozytor informował: „Dobrze, zrobię ci ten film". ©℗

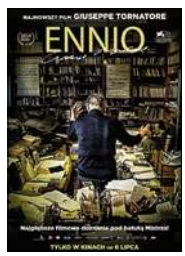

★★★★☆☆
REŻ. GIUSEPPE TORNATORE „ENNIO" WŁOCHY 2021

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CZARNO NA BIAŁYM

HBOmax

O przewadze wiary nad bezbożnictwem i odwrotnie. Temat wałkowany od początku świata, lecz Cormac McCarthy, autor powieści „To nie jest kraj dla starych ludzi", umie przedstawić go w intrygującej formie. Oto zatwardziały ateusz, zamiast pod pociąg, wpada w ramiona pastora z mroczną przeszłością. Pierwszy przeczytał tysiące książek, z wyjątkiem tej najważniejszej – Biblii. Dla drugiego uniwersytetem było więzienie. Obskurna kanciapa staje się areną sporu o sens życia i przyszłość cywilizacji Zachodu. Gadających głów zwykle nie da się oglądać dłużej niż pięć minut, ale „Sunset Limited" szczęśliwie jest jednym z wyjątków od reguły. Dialogi sprawiają wrażenie napisanych specjalnie dla Jacksona, złotoustego jak w „Pulp Fiction", oraz Jonesa, aktora z wymiętym i mylącym obliczem. Bóg mówi tylko do tych, którzy chcą go słuchać. Ten film przypadnie do gustu wyłącznie ludziom, którzy lubią myśleć.

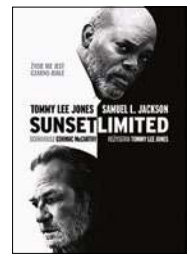

★★★★★☆
REŻ. TOMMY LEE JONES „SUNSET LIMITED" („THE SUNSET LIMITED") USA 2011
wyst. Samuel L. Jackson, Tommy Lee Jones

W STRONĘ MORZA

KINO

Już za cztery lata problem przestępczości w Polsce zostanie rozwiązany. Państwo zafunduje złym ludziom coś w rodzaju lobotomii. Odurzeni narkotykiem będą wykonywać proste zawody, typu kelner w restauracji. Jeden z kontestujących reformę ogłosi jednak, że w noc sylwestrową popełni samobójstwo, transmitowane w Internecie. Dysponując mikrobudżetem, trudno nakręcić „Blade Runnera", więc duet Krzywicki/Brodziak podążył (chyba nie do końca świadomie) ścieżką wydeptaną przez śp. Piotra Szulkina. Efekt byłby lepszy, gdyby twórcy oparli się pokusie uprawiania doraźnej publicystyki tudzież fabularnego eklektyzmu. Antyutopia, psychodrama, romans, kino drogi – sporo tego jak na półtoragodzinny seans. Szukajmy jednak pozytywów: zmiany klimatyczne sprawią, że zimą będzie się można kąpać w Bałtyku. ©℗ *recenzuje Wiesław Chełminiak*

★★☆☆☆☆
REŻ. MICHAŁ KRZYWICKI „DZIEŃ, W KTÓRYM ZNALAZŁEM W ŚMIECIACH DZIEWCZYNĘ" POLSKA 2022
wyst. Dagmara Brodziak, Michał Krzywicki, Marek Kalita

GRA TYGODNIA: „FIRE EMBLEM: THREE HOPES"

★★★★★☆

„Fire Emblem: Three Hopes" to spin-off „Fire Emblem: Three Houses". Ten sam świat, znani nam już bohaterowie, ale diametralnie inna rozgrywka. „Three Hopes" to już nie strategia, ale dynamiczny musou – hack and slash, z szaloną wręcz liczbą wrogów atakujących nas w każdej sekundzie. Sieczenie przeciwników – co jakiś czas na arenę wchodzi boss, który jest bardziej wymagający niż atakujące nas hordy takich samych wrogów – to główna część rozgrywki, kolejną stanowią treningi i budowanie relacji między postaciami. Osoby wchodzące pierwszy raz do tego świata mogą czuć się nieco zagubione w fabule. Ale warto się wysilić, bo to dobra i długa opowieść. ©℗ *Radosław Wojtas*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- *Gatunek: hack and slash*
- *Platforma: Nintendo Switch*
- *Producent, wydawca PL: Omega Force/ConQuest Entertainment a.s.*

eprasa.pl 660f69da97

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Całkiem inny wrzesień

Autorem powieści już samym tytułem sytuującym ją w nurcie literackiej fikcji politycznej i, bardzo popularnej, historii alternatywnej jest publicysta muzyczny Stanisław Danielewicz, świetnie znany przede wszystkim w gdańskim środowisku artystycznym. Pewnie dlatego ze szczególnym zainteresowaniem w jego sążnistym (310 stron dużego formatu) „Romansie ahistorycznym" czytałem te strony, na których wprowadza do fabuły np. sławnego muzyka Ady Rosnera czy snującą swą rodzinną historię Lodę Halamę.

Ale nie oni są głównymi bohaterami „Political fiction…", lecz – uchodzący dziś za bodaj najpopularniejszego polskiego prozaika XX stulecia – Tadeusz Dołęga-Mostowicz, twórca takich bestsellerów jak „Znachor" czy „Kariera Nikodema Dyzmy". Na kartach powieści Danielewicza błyszczy on nie tylko jako świetny pisarz, lecz także wyborny gawędziarz, opowiadający taką np. historię z… Leninem w tle:

„Pamiętam każde słowo opowieści mojego znajomego ze Lwowa, znanego i szanowanego farmaceuty, Adama Butrymowicza. Jego ojciec przed Wielką Wojną czternastego roku był komisarzem policji w Poroninie, a więc ważną figurą ówczesnego austriackiego urzędu. »Ojciec miał dobre serce«, mówił zawsze Adam, gdyśmy wspominali nasze dzieciństwo i zastanawiali się nad tym, jak bardzo jego różniło się od mojego. Otóż ojciec Adama, właśnie z powodu owego dobrego serca, umożliwił przebywającemu w Poroninie Włodzimierzowi Ulianowowi, znanemu potem ludzkości jako Lenin, wyjazd do Szwajcarii. Gdyby nie dobre serce owego poczciwego komisarza, losy świata mogłyby pójść w inną stronę. Może byliby dziś z nami ci moi koledzy, którzy polegli w wojnie z Sowietami w roku dwudziestym? A wojny wcale by nie było, gdyż bolszewicy bez Lenina, wysłanego w zaplombowanym wagonie ze Szwajcarii do Rosji, nie sięgnęliby po władzę?".

FOT. STANISŁAW DANIELEWICZ/FACEBOOK

No tak, ale w tej powieści Tadeusz Dołęga-Mostowicz odgrywa naprawdę pierwszorzędną rolę. I to historyczną! Otóż pisarz nie mniej, nie więcej, a 17 września 1939 r. fałszuje rozkaz Naczelnego Wodza, by nie podejmować walki z Sowietami, i przeciwnie – wzywa do rozprawienia się z nimi i to pod każdym względem: militarnym, ale i psychologicznym, i propagandowym. Nie chcę streszczać książki, ujawnię więc jedynie, że Polska z wojny wychodzi zwycięsko, bolszewia zostaje rozbita, a najpopularniejszy polski pisarz nie traci życia w potyczce z Sowietami, lecz ma się dobrze i pięć lat po wojnie publikuje w odcinkach „Political fiction". I mamy powieść w powieści.

Mamy tutaj także całkiem ciekawie zapowiadający się wątek miłosny, szkoda, że niewygrany do końca, ale cóż – wojna na to nie pozwala czy wiele wydarzeń całkiem fantastycznych i równie wiele rozważań politycznych, tych akurat bardzo mocno trzymających się realiów. Mnogość poruszanych kwestii jest ogromna, rozsadzając nawet ramy powieściowe. Przeróżne wątki sklejają autorska fantazja, humor (czasem czarny, ale nie inny przecież dominował w czasie wojny) i więcej niż dobra znajomość historii najnowszej, także tej zakulisowej.

Kończąc lekturę tej powieści, wielu czytelników westchnie zapewne: „Ech, pomarzyć dobra rzecz", ale nie zabraknie i tych, którzy sięgną i po inne lektury – z tymi najpoważniejszymi na czele, by przeanalizować np., czy rzeczywiście marszałek Piłsudski postawił swego czasu na dobrego konia, pozbawiając w 1919 r. polskiego wsparcia armię Denikina, którą w końcu pobili bolszewicy. Stało się tak – peroruje w powieści Stanisława Danielewicza autor „Dyzmy" – bo Piłsudski „za większego wroga uważał »białych« Rosjan niż »czerwonych«. No i okazało się niezadługo, bo za niecały rok, że to »mniejsze zło« omal nas nie powaliło, a ocaliła nas w Bitwie Warszawskiej tylko wiedza, jaką mieli nasi kryptolodzy". Czyżby więc nie był to Cud nad Wisłą? No bo skoro nie zadecydował tu geniusz Marszałka, to może warto szukać innych powodów naszej wiktorii w roku 1920?

Dołęga-Mostowicz, który był przeciwnikiem sanacji, a Piłsudskiego krytykował, twierdził, że choć w tej wielkiej politycznej grze, jaka się toczyła, nie kto inny, a Komendant rozdawał karty, akurat to rozdanie mu się jednak nie udało. Z całą pewnością takie pisanie wielbicielom wielkości Marszałka i jego czcicielom nie będzie się podobało. Niemniej jednak trudno nie zgodzić się z przywoływanym przez Danielewicza słynnym już zdaniem innego Józefa – Mackiewicza – że „jedynie prawda jest ciekawa". ©℗

★★★★☆

STANISŁAW DANIELEWICZ „POLITICAL FICTION. ROMANS AHISTORYCZNY" BOOKEDIT 2022

eprasa.pl 660f69da97

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

„Duchy i ludzie”

Czytając książki, rozmawiamy z duchami. Ludzie, którzy je napisali, zwykle już dawno temu odeszli, w najlepszym przypadku są żywi, ale z dala od nas, ich obecność zapewnia magiczny wynalazek druku. Możliwe są i inne rozmowy z duchami, wierzyli w to szczerze Mickiewicz i Rymkiewicz.

Duchy mówią do nas, tylko czasem zdajemy sobie z tego sprawę, bo nie znamy tajników ich mowy. Ale czujemy. „Pamiętam jeden, gorący sierpniowy dzień na Woli, gdy wyszedłem w oślepiające słońce, dopadła mnie głucha cisza w centrum miasta, jakby wszystko stanęło w złowieszczym bezruchu. Poczułem przeszłość – tych wszystkich, którzy tam umierali za życia, w piekle na Ziemi. Przeszłość dosłownie wylała mi się pod nogi” – pisze Marcin Bełza w swojej recenzji powieści Vereny Kessler „Duchy z miasteczka Demmin” w „Kulturze Liberalnej”. Przydarzyło mi się coś bardzo podobnego. Mieszkałem kiedyś kilka miesięcy na pograniczu Woli i Muranowa. W drodze do pracy mijałem każdego ranka Pawiak. Po pewnym czasie zaczęły męczyć mnie duszne, przerażające sny. Ludzie wyciągali do mnie ręce spod ziemi, śniły mi się wiadomości, które zapisywali na odwrotnej stronie płyt chodnikowych.

Cóż ma to wszystko wspólnego z fantastycznym literackim debiutem niemieckiej pisarki? Demmin to prawdziwe miasteczko. Stoi tam głaz upamiętniający zbiorowe samobójstwo. Mieszkańcy na wieść o zbliżającej się Armii Czerwonej woleli zadać sobie śmierć własną ręką i potopili się w rzece.

Powieść Kessler koncentruje się na dwóch postaciach: starej pani Dohlberg, która straciła całą rodzinę owej zimy roku 1945, a dziś odkrywa, że żyje na pożyczonym czasie. Oraz 17-latce imieniem Larra, która marzy o karierze wojennej reporterki; choć stoi dopiero u progu życia, to jej głowa pełna jest dziwnych przemyśleń na rozmaite związane ze śmiercią tematy.

Toczą się te dwa wątki równolegle, oba pięknie napisane, ten dotyczący Larry przeważa i jest szczerze wzruszający oraz prawdziwie zabawny, bo to książka o dojrzewaniu, o budzeniu się do pierwszej miłości. A zarazem o pożegnaniu, o odchodzeniu nie tylko pani Dohlberg, która umarła „nieprawdziwie” (jak mówi mama Larry, „zmarli zawsze wyglądają jakoś tak nieprawdziwie”), jednocześnie doganiając przeznaczenie sprzed wielu, wielu lat. Duch przeszłości, niewidzialne ślady dawnej tragedii, cień wyborów dawno zmarłych ludzi – wszystko to kieruje naszym losem, odciska piętno na naszym życiu. Nie tylko w miasteczku Demmin. ©℗

Piotr Gociek

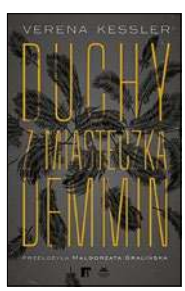

★★★★★☆
VERENA KESSLER „DUCHY MIASTECZKA DEMMIN”
KSIĄŻKOWE KLIMATY 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Tym, co wyróżnia Greka, jest nieustannie świadomość bliskości bóstwa” – pisze niemiecki filolog (autor m.in. „Dionizos. Mit i kult”). Książka o boskości w zwierciadle greckiego ducha to polska premiera po niemal stu latach.

WALTER F. OTTO „BOGOWIE GRECJI” PIW

Coś dla miłośników cyklu kryminałów Donny Leon, która zresztą opatrzyła ten przewodnik po Wenecji krótką przedmową. Ale także turyści, którzy jeszcze tych książek nie znają, znajdą w nim morze inspiracji do zwiedzania.

TONI SEPEDA „WENECJA KOMISARZA BRUNETTIEGO” NOIR SUR BLANC

Czas był najwyższy, by autor „Solaris” trafił do serii „Biblioteka Narodowa”. Paweł Majewski (wybór) proponuje Lema dla zaawansowanych, prócz utworu tytułowego i „Kongresu futurologicznego” wybiera teksty filozoficzne.

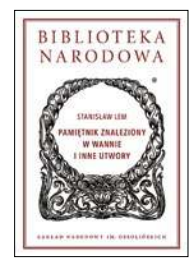

STANISŁAW LEM „PAMIĘTNIK ZNALEZIONY W WANNIE” OSSOLINEUM

Na letnie upały – lodowate szpony lęku (i zimne zęby w szyi). Antologia opowiadań gwiazd literatury young adult. Wśród autorów m.in. V.E. Schwab, autorka cyklu „Odcienie magii”, a także Tessa Gratton czy Mark Oshiro.
©℗ *Piotr Gociek*

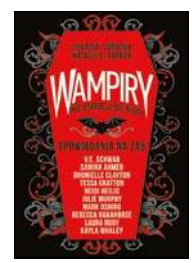

AUTORZY RÓŻNI „WAMPIRY NIE STARZEJĄ SIĘ NIGDY” ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „GIANT”

Oto ręce, które zbudowały Amerykę – ręce Irlandczyków harujących za psie pieniądze w środku wielkiego kryzysu. Nawet ci, którzy przybyli w samym środku krachu, i tak mogli liczyć na więcej niż rodziny pozostawione w dotkniętej skrajną biedą Irlandii. Mikaël, kanadyjski francuskojęzyczny twórca powieści graficznych, zainspirował się do narysowania tej opowieści słynną fotografią reklamową z czasu budowy Rockefeller Center w Nowym Jorku: grupa robotników je śniadanie, siedząc na stalowej belce, setki metrów nad ziemią. ©℗

MIKAËL „GIANT” TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 660f69da97

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Skarbiec na nowo

Choć dzisiejsza ekspozycja na Wawelu może jedynie nawiązywać do dawnej świetności Skarbca Koronnego – w 1795 r. został on obrabowany przez Prusaków, którzy zabrali niemal całą jego zawartość, a zrabowane nam regalia królewskie przetopili na monety (!) – to i tak musi robić i robi wrażenie. Obecna kolekcja obejmuje część pamiątek historycznych, które przed wiekami w skarbcu przechowywano (na czele ze Szczerbcem). Wzbogacana sukcesywnie od 1930 r. o różne nabytki i dary, liczy już ponad tysiąc eksponatów. Wśród nich m.in. kosztowności: klejnoty, wyroby ze srebra i złota, kamienie jubilerskie, rzeźby w kości słoniowej i bursztynie, stare numizmaty.

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Ta jedna z najważniejszych ekspozycji stałych na Wawelu powróciła niedawno po trwającej ponad pół roku modernizacji, obejmującej północno-wschodni narożnik zamku. Nowy Skarbiec Koronny to teraz trzykrotnie większa powierzchnia, która pomieściła wiele eksponatów dotychczas nieeksponowanych tam z powodu braku miejsca. Modernizacja na Wawelu nie ograniczyła się do Skarbca, z początkiem lipca w nowej odsłonie prezentowane są także Komnaty Królewskie. ©℗

GDZIE? ***Kraków, Zamek Królewski na Wawelu***
KIEDY? ***ekspozycja stała***

FOT. WWW.DOMJP2.PL

STARSZY BRAT PAPIEŻA

Starszy o 14 lat od Karola Wojtyły jego brat Edmund żył zaledwie 26 lat. Doskonale zapowiadający się lekarz zmarł, zarażając się od jednej ze swoich pacjentek szkarlatyną. Niedawno ukazała się pierwsza książkowa biografia Edmunda, a w Wadowicach można oglądać poświęconą mu wystawę. Ze wzruszającym wątkiem dotyczącym miłości Edmunda i Jadwigi Urbanówny. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Dom Rodzinny Ojca Świętego Jana Pawła II w Wadowicach***
KIEDY? ***do końca czerwca 2023 r.***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Niedoszła rewolucja

Niepublikowany materiał zrealizowany w Polskim Radiu na przełomie lat 1987 i 1988 udowadnia, że ówczesna jazzowa „młodzież" nosiła w sobie wspaniałą dozę szaleństwa.

Liderem Green Revolution był klawiszowiec/kompozytor Wojciech Konikiewicz, który współpracował w latach 80. zarówno z jazzmanami, jak i przedstawicielami rockowej alternatywy. Chłonął wszystkie dźwięki, przetwarzając je na fuzję odmiennych stylistyk. Stąd na płycie rozbrzmiewają electro spod znaku Billa Laswella, funkowy klimat z „Future Shock" Hancocka, harmolodyczny jazz Ulmera, wczesny rap czy kosmiczne reggae. W sesjach wzięli udział wirtuozi o otwartych głowach: wokalista Jorgos Skolias, trębacz Andrzej Przybielski, saksofoniści Marek Kazana i Michał Kulenty, gitarzysta Krzysztof Szmigiero oraz basiści Marcin Pospieszalski i Zbigniew Heflich. Rozbrzmiewa również pożyczona od Grzegorza Ciechowskiego yamaha DX7 oraz słychać donośne zawodzenie młodego Kamila Konikiewicza.

Ten niesamowity wybuch energii, a nawet szaleństwa został zignorowany przez establishment polskiego jazzu. Płyta broni się i dziś, choć jej wydanie przed ponad 30 laty mogło dokonać tak potrzebnej rewolucji na krajowej scenie. Dopiero kilka lat później scena yassowa dokonała rebelii, która na krótko wstrząsnęła wielbicielami modern jazzu. ©℗

★★★★★☆

GREEN REVOLUTION
„REWOLUCJA ZIELONA"
GAD

★★★★☆☆

KEITH RICHARDS
„MAIN OFFENDER"
VIRGIN

Reedycja drugiego solowego albumu gitarzysty z 1992 r. Wprawdzie nie dorównuje on debiutowi, ale dodatkowa płyta z zapisem koncertu w klubie Town & Country robi wrażenie. Byłem wśród publiczności, która wraz z Keithem świętowała jego 49. urodziny.

★★★★☆☆

NENEH CHERRY
„THE VERSIONS"
EMI

Neneh Cherry poprosiła artystki, które podziwia, o nagranie z nią jednej piosenki pochodzącej z jej repertuaru. Usłyszymy m.in. Anohni, Sia, skrzypaczkę Sudan Archives oraz córkę Neneh – Tyson. Zaangażowane, społeczne teksty Brytyjki nie straciły na aktualności, a muzyka wciąż inspiruje. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

Na sianie

Kadr z programu „Kabaret na żywo. Młodzi i Moralni" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Masłoń

Pół wieku temu Jacek Kleyff napisał piosenkę, mocno w tamtym czasie niecenzuralną. Zatytułowana była, po prostu, „Telewizja", a swoją aktualność zachowała do dziś. Zaczynała się tak:

Telewizja pokazała
a uczeni podchwycili
iż jednemu psu gdzieś w Azji
można przyszyć łeb od świni.
Wykrył pies bimbrownię na czas
wycinanki robi wujek,
Jak smarować margaryną
Telewizja transmituje.

W 1972 r. była to telewizja wczesnogierkowa (kto to był Gierek, młodzież wie z Netflixa), przaśna i technicznie niepełnosprawna, ale w sprawach zasadniczych świadoma swych celów najważniejszych. Reżyser Jerzy Gruza, który o tym, co dzieje się na szklanym ekranie, wiedział wszystko, z pełnym przekonaniem wywodził, że telewizja kłamie, bo… powinna kłamać: „Z nudnego robić interesujące, ze smutnego jeszcze smutniejsze, z wesołego jeszcze weselsze". Czasem jednak robiło się już tak wesolutko, że odnosiliśmy wrażenie, jakby ktoś się z… na łby pozamieniał. I bynajmniej nie chodzi mi o wymienione w tekście Kleyffa psa i świnię.

Cytowany evergreen zagrał mi w duszy w trakcie oglądania w Telewizji Puls popisów wykonawców Mazurskiej Nocy Kabaretowej. W zamierzeniu miało to być widowisko ekologiczne i może i takie było, ale jeśli miałbym je z czymś porównać, to jedynie z pokazywanym w tych dniach w Polsacie „Kabaretem na żywo. Młodzi i Moralni". Ta sama rozpacz. TVN w tej rywalizacji zawodowych rozśmieszaczy udziału nie bierze, bo sam jest największym kabaretem w Polsce, jeśli zaś chodzi o TVP, to telewizja publiczna startuje w odrębnej konkurencji, urządzając kabaretony patetyczne, w czym osiąga perfekcyjność.

Jak sobie człowiek, oglądając te wszystkie produkcje, przypomni Kleyffa i cały Salon Niezależnych, z jego niepowtarzalnymi skeczami i żółtymi rymami, jeden z najinteligentniejszych kabaretów polskich ostatnich dziesięcioleci, to dojść może do jedynie słusznego wniosku, że wszystko się nam w życiu zmieniło – poza telewizją. Po staremu wujowie z ciotkami pospołu robią wycinanki, prezenterzy programów śniadaniowych wywracają oczami z zachwytu po posmakowaniu kolejnego hadztwa testowanego na nich przez wynajętych gastronomów, tylko psy nie tropią już bimbrowników, lecz producentów amfetaminy. Oto miara postępu.

Produkująca się na kabaretowej scenie artystka Bujakiewicz jest jednak dobrej myśli: „Dzięki, Boże, za kabarety, bo byśmy oszaleli od tego napięcia, nadęcia, powagi, absolutnej poprawności na każdy temat. W sytuacjach, kiedy jest trudno i tracimy poczucie humoru, kabarety są odpowiedzią i lekarstwem na przebicie tego balonu. Szczęśliwie świetnie sobie radzą i są dobrze dokarmieni przez naszą rzeczywistość". Istotnie sprawiają wrażenie utoczonych, nawet nadmiernie.

Najwyraźniej artyści kabaretowi wyciągnęli wnioski ze sloganu dawno temu ukutego przez Wojciecha Młynarskiego: „Ludzie to kupią", nie zwracając uwagi na zawarte w nim szyderstwo. I od 23 lat serwują publiczności w Mrągowie ten sam ubaw po pachy. Robiący w tym felietonie za klasyka Jacek Kleyff w innej swojej piosence odnotowywał:

Ha, ha, do rozpuku; Jezusie, jakie śmieszne!
Połyskują złote zęby, krzyczą: „Jeszcze, jeszcze!".

Złocone szczęki bardzo rzadko się już widzi, może nie dlatego, że wyszły z mody, ale że stomatologia i protetyka w ciągu minionych 50 lat dokonały jakiegoś postępu. Telewizja jakby nie. Wciąż dominuje: „Usia-siusia cepeliada, w ogródeczku panna Mania…", a jak nie Mania, to Nowa Maja, a jak nie cepelia, to zabawa, niczym u Krzysztofa Krawczyka, w stylu folk. Może i zachodzą pewne zmiany, w końcu za wczesnego Gierka chłop szkolił się na kombajnie, a teraz rolnik szuka żony, ale efekt jest podobny. Ten okropny Kleyff popełnił kiedyś i taki utwór:

Gdy kobyłka pohukuje
siano dobrze się ładuje –
gdy kobyłka pierdzi
siano się nie mieści. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

Paweł Chmielewski

Polska bez księży

Zamknięte kościoły, niemożność uczestnictwa w Mszy Świętej, brak sakramentów – doświadczenia religijnego lockdownu z okresu restrykcji związanych z COVID-19 mogą wkrótce stać się polską codziennością. Powód: brak chętnych do seminariów

W maju w kościołach archidiecezji warmińskiej odczytano list rektora olsztyńskiego seminarium, ks. Huberta Tryka. Poinformował, że w tym roku – po raz pierwszy od 72 lat – w seminarium nie będzie w ogóle święceń kapłańskich. Nie dotrwał do nich żaden z kandydatów. Olsztyn nie jest wyjątkiem – kleryków zaczyna brakować w całym kraju. W czerwcu zamknięte zostały seminaria w Świdnicy i Legnicy, bo chętnych było za mało (kandydaci z obu diecezji będą uczyć się we Wrocławiu). W 2004 r. w seminariach diecezjalnych i zakonnych w Polsce uczyło się 7465 alumnów. W roku 2008 – 5583. W roku 2019 – już tylko 2853. W 2021 r. na pierwszy rok seminariów przyjęto 438 kandydatów, co w skali rok do roku oznacza spadek o 20 proc. Do kilku seminariów nie przyjęto nikogo. Jeżeli nic się nie zmieni, to wkrótce lata bez święceń będą normą. Dlaczego tak się dzieje?

ZEŚWIECCZENIE KULTURY

Rektor olsztyńskiego Hosianum w liście do diecezjan wskazał na przyczyny, które – w jego ocenie – odpowiadają za problem. Zdaniem ks. Huberta Tryka młodzi mężczyźni nie chcą dziś „odpowiadać na Boże wezwanie", często nie będąc nawet w stanie go usłyszeć; ma im też „brakować odwagi", by poświęcić swoje życie poprzez rezygnację z rodziny. W tym kontekście można według rektora mówić o „kryzysie powołanych". Wyjaśnienia te zwracają niewątpliwie uwagę na istotne zagadnienie: zeświecczenie dominującej kultury. Dotyczy to nie tylko Polski, lecz także całej przestrzeni zachodniej, którą można już w pełni słusznie określać jako postchrześcijańską.

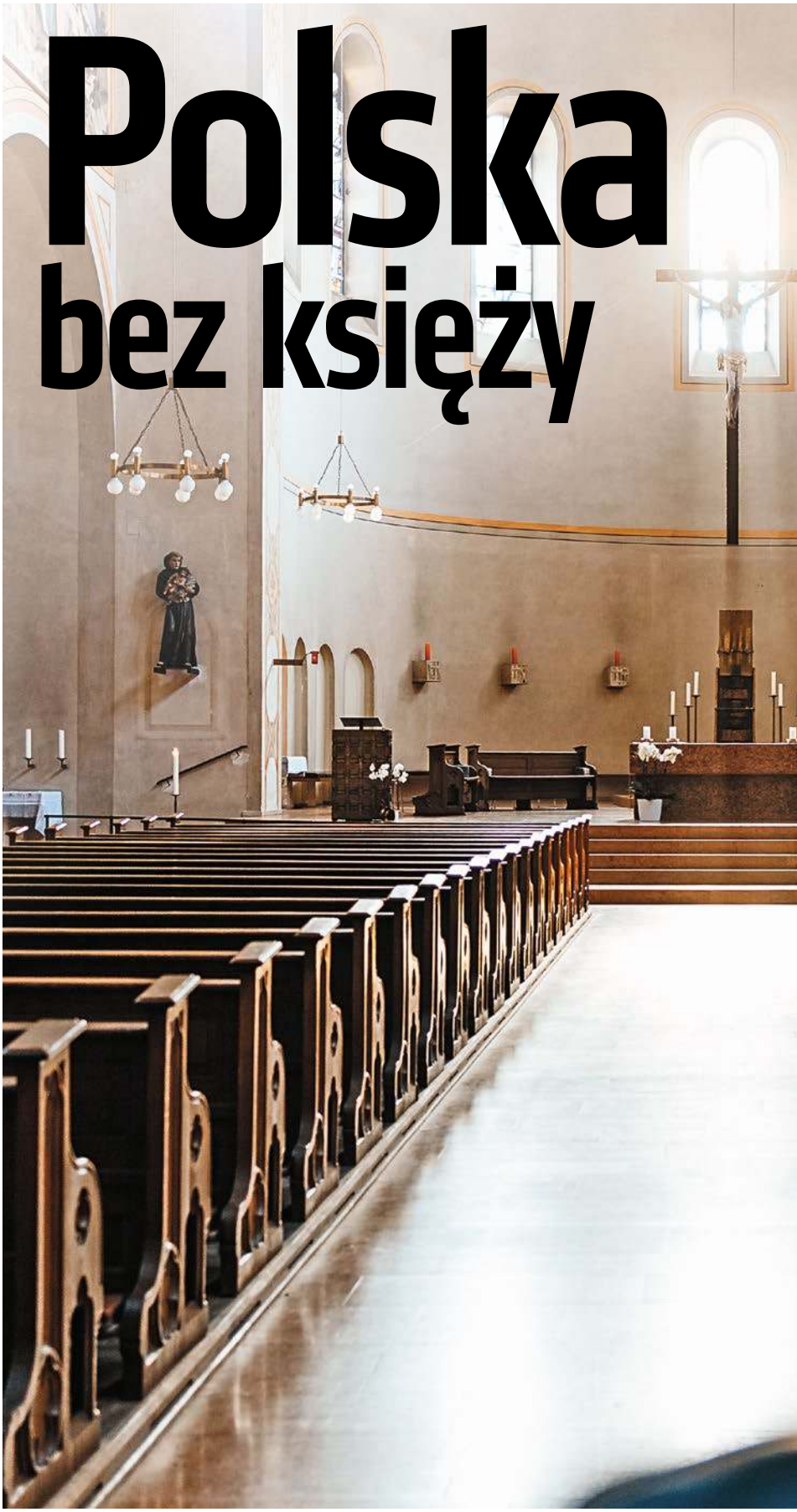

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 660f69da97

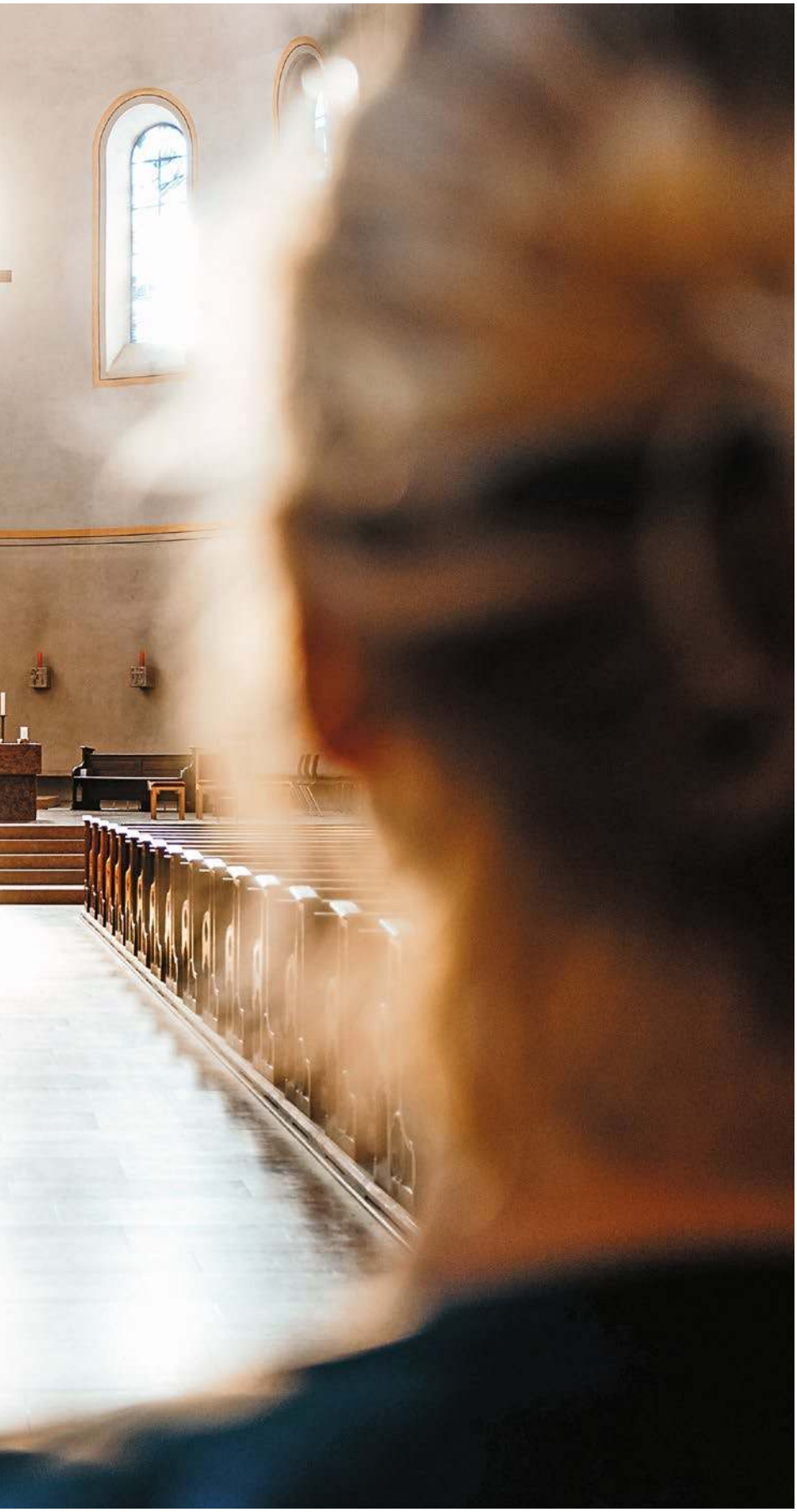

To, z czym Niemcy, Francuzi, Włosi czy Hiszpanie zmagają się od kilkudziesięciu lat, dzisiaj dotyka także Polski: mamy do czynienia z potężną kulturową rewolucją

Podobnie do ks. Tryka przyczyny braku kandydatów do seminariów przedstawił mi ks. Martin Priller, rektor seminarium diecezjalnego w bawarskiej Ratyzbonie. Wskazał na zmiany społeczne, które nacechowane są w jego ocenie „indywidualizmem, relatywizmem, sekularyzmem i ogólnym spadkiem religijności, a przynajmniej spadkiem religijności związanej z Kościołem". – W związku z tym zanika przekazywanie wiary w kontekście rodziny, brakuje oczywistości socjalizacji w strukturach kościelnych, zmniejsza się obecność i znaczenie Kościoła oraz jego pozycji w polityce i dyskusji społecznej – mówi ks. Martin Priller. – Wiara chrześcijańska nie jest już tak jak dawniej przejawem oczywistego konsensusu światopoglądowego, ale jest postrzegana jako jedna z wielu możliwości, tracąc na znaczeniu w obliczu zmieniających się poglądów i wartości. Z tych względów zawód księdza traci na znaczeniu i atrakcyjności – wskazuje. To, z czym Niemcy, Francuzi, Włosi czy Hiszpanie zmagają się od kilkudziesięciu lat, dzisiaj dotyka także Polski: mamy do czynienia z potężną kulturową rewolucją, która całkowicie przeobraziła podstawowe zasady funkcjonowania społeczeństwa.

Do tego dochodzi dramatyczny spadek dzietności. Trudno wymagać, by w jakimkolwiek kraju zachodnim do seminariów wstępowało tyle samo mężczyzn, co jeszcze w latach 70. czy 80., skoro rodzi się dzisiaj wyraźnie mniej dzieci. Kryzys ten jest szczególnie głęboki w przypadku Polski i innych krajów słowiańskich. Jeżeli polskie rodziny nadal będą budować się w oparciu o dotychczasowy model zakładający posiadanie jednego, dwojga lub – w rzadszych wypadkach – najwyżej trojga dzieci, to według szacunków ONZ w roku 2100 będzie nas zaledwie kilkanaście milionów.

eprasa.pl 660f69da97

Polska wymiera i dotyka to w sposób nieunikniony także Kościoła, przy czym Kościół ponosi za ten stan rzeczy poważną odpowiedzialność. Polscy biskupi – nie są w tym wprawdzie wyjątkowi w przestrzeni zachodniej – przyglądają się dość biernie zarówno katastrofie demograficznej, jak i przyczynom tej katastrofy, wśród których poczesne miejsce zajmują hedonizm oraz odrzucenie przez wiernych kościelnego nauczania moralnego. Decydenci kościelni zdają się w znacznym stopniu przeniknięci duchem, który Mary Eberstadt w głośnej książce „Adam i Ewa po pigułce" określiła mianem mentalności antykoncepcyjnej. Co istotne, czynniki kulturowe niszczą nie tylko kapłaństwo, lecz także życie zakonne: przykładowo, podczas gdy w roku 2000 odnotowano ponad 1,4 tys. postulantek i nowicjuszek, to w roku 2020 – niespełna 400.

Decydenci kościelni zdają się w znacznym stopniu przeniknięci duchem, który Mary Eberstadt w głośnej książce „Adam i Ewa po pigułce" określiła mianem mentalności antykoncepcyjnej. Co istotne, czynniki kulturowe niszczą nie tylko kapłaństwo, lecz także życie zakonne

FATALNY WIZERUNEK

Kluczową rolę w braku powołań odgrywa jednak co innego: fatalny wizerunek Kościoła. W Polsce nie zostało już nic z dawnego szacunku wobec sutanny. Zwraca na to uwagę ks. prof. Andrzej Kobyliński, prorektor seminarium w Płocku ds. wychowawczych w latach 1999–2004, a w latach 1998–2011 tamtejszy profesor filozofii. – Moim zdaniem główną przyczyną gwałtownego kryzysu powołań kapłańskich i zakonnych w Polsce jest negatywny obraz księży i biskupów w domenie publicznej – mówi ks. Kobyliński. – Gdy wstępowałem do seminarium w 1986 r., kapłaństwo było kojarzone z męczeńską śmiercią ks. Jerzego Popiełuszki, dzisiaj kojarzone jest z pedofilią klerykalną. W mentalności biskupów i księży nic się nie zmieniło – dodaje z goryczą.

Tę ocenę podziela ks. Martin Priller. – Konfrontacja z przypadkami nadużyć seksualnych popełnianych przez duchownych doprowadziła do bardzo silnego spadku poszanowania zawodu księdza w społeczeństwie – twierdzi. Według rektora seminarium w Ratyzbonie mogło to „przyspieszyć i wzmocnić oddziaływanie" opisanych wcześniej procesów laicyzacyjnych.

W Polsce na kwestię nadużyć seksualnych patrzy się zwykle w sposób głęboko błędny. Z jednej strony część duchownych i świeckich uważa, że sprawy nie powinno się ruszać, bo została sztucznie rozdmuchana przez wrogów Kościoła, którzy celowo manipulują faktami, by niszczyć katolicyzm. Z drugiej strony ci, którzy uznają winy katolickich duchownych, podkreślają często, że nawet jeżeli problem występował, to w Kościele nie jest wcale gorzej niż w innych miejscach – i krytycy po prostu przesadzają. Nie neguję oczywiście złych intencji tych, którzy w największych mediach uderzają w katolicyzm; byłoby to naiwnością czy zgoła głupotą. Z drugiej strony nie sposób zaprzeczyć, że hierarchia kościelna solidnie zapracowała na swoją fatalną opinię. Wbrew tezom, które kolportują pośpiesznie niektórzy apologeci Kościoła, stan moralny szeregów duchowieństwa był i pozostaje zły, pod wieloma względami rzeczywiście znacząco gorszy niż w innych – przepraszam za określenie – grupach zawodowych.

Problem klerykalnej pedo- i efebofilii nie jest bowiem problemem rozdmuchanym. Z badań przeprowadzonych w Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Irlandii czy Australii wynika, że po drugiej wojnie światowej osoby nieletnie wykorzystywało nawet do 5 proc. duchownych (w większości byli to homoseksualiści). W rzetelnie przeprowadzonym niemieckim badaniu znanym jako MHG-Studie, które opublikowały w 2018 r. niezależne ośrodki eksperckie, wykazano, że w latach 1946–2014 aż 4,4 proc. niemieckiego duchowieństwa dopuściło się seksualnych napaści wobec niepełnoletnich. Autorzy badania zastrzegli, że nie są to pełne dane: ze względu na naturę zbrodni nie wszystkie przypadki zostały zgłoszone, dlatego rzeczywista liczba sprawców jest niewątpliwie jeszcze większa. Jak analogiczne liczby wyglądają w przypadku Polski, tego nie wiemy i biorąc pod uwagę głęboką niechęć zarówno Kościoła, jak i polityków do przyjrzenia się sprawie, prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy. Nie ma jednak żadnego powodu zakładać, że u nas było lepiej. Nawet jeżeli w Polsce po 1968 r. nie szerzyły się idee permisywizmu seksualnego, to swoje zrobiło uwikłanie duchowieństwa we współpracę z komunistyczną bezpieką. Historie takich postaci jak ks. kard. Henryk Gulbinowicz czy ksiądz prałat Henryk Jankowski dobitnie pokazują, jak potężny był to problem. Do przypadków tuszowania dochodzi cały czas. Co najgorsze, część wiernych w imię fałszywie pojętej solidarności z Kościołem zdaje się tym nie przejmować. Akceptacja dla zgorszeń w Kościele jest wciąż zbyt wysoka.

HOMOSEKSUALIZM DUCHOWIEŃSTWA

A przecież przestępstwa przeciwko dzieciom to tylko wierzchołek góry lodowej kryzysu moralnego w Kościele. Jeszcze silniej skrywany jest problem homoseksualizmu duchowieństwa. Wielu wiernych zna osobiście księży i byłych kleryków, którzy zetknęli się w seminariach z tą patologią. Dla części z nich wiązało się to z poważnym kryzysem zaufania do Kościoła. Doszło do tego, że w roku 2018 zamknięte zostało seminarium w Kaliszu, właśnie w związku ze skandalami homoseksualnymi.

Problem jest strukturalny, a pod pewnymi względami wręcz konstytutywny dla współczesnej hierarchii Kościoła katolickiego. Jak w soczewce patologię homoseksualnej rozpusty duchowieństwa skupia w sobie sprawa abp. Juliusza Paetza. Jego skłonności były doskonale znane tym, którzy w Watykanie podjęli decyzję o uczynieniu go biskupem w Polsce. Dalsza kariera Paetza nad Wisłą wiąże się ściśle ze strukturami wewnątrzkościelnego lobby homoseksualnego. Do dzisiaj nie odpowiedział za zgorszenie: ani on sam, ani ci, którzy go wspierali. Ludzie z kręgu Paetza wciąż pełnią w Kościele w Polsce kluczowe funkcje i odpowiadają za, mówiąc brzydko, reprodukcję homolobby w naszym kraju. A przecież Paetz i okalająca go sieć to nie jakaś plama na skądinąd białej szacie kościelnej; to drobna w sumie część systemu.

Dla Kościoła homoseksualizm kleru nie jest niczym nowym. W 1049 r. św. Piotr Damiani ogłosił słynną Księgę

eprasa.pl 660f69da97

Gomorry, „Liber Gomorrhianus", w której opisał – nierzadko bardzo szczegółowo – bezecne praktyki, jakim oddawali się kapłani. Nie wiemy dokładnie, jak ten problem wyglądał w kolejnych wiekach; dziś jest w każdym razie śmiertelnie poważny.

Papieże zdali sobie z tego sprawę dopiero w ostatnich latach. Dzięki wysiłkowi kard. Józefa Ratzingera w 2005 r. Stolica Apostolska wydała instrukcję zabraniającą przyjmowania do seminariów kandydatów, którzy wykazują tzw. głęboko zakorzenione skłonności homoseksualne. Stanowiło to przełom, niestety – niewykorzystany. W wielu krajach Europy Zachodniej biskupi mówią zupełnie otwarcie, że nie respektują tego zakazu i homoseksualiści są w ich seminariach mile widziani. W Polsce wokół sprawy panuje zmowa milczenia. W niektórych seminariach kandydaci rzeczywiście są przepytywani pod kątem ich skłonności, w innych niestety nie. Nie pomaga nawet to, że przeciwko kształceniu homoseksualistów na księży wypowiadał się kilka razy papież Franciszek, który zresztą potwierdził regulacje wprowadzone przez Stolicę Apostolską w roku 2005. Trudno jednak na poważnie traktować oficjalne stanowisko Kościoła w tej sprawie, skoro na najwyższych urzędach w Watykanie wprost roi się od hierarchów regularnie zabiegających o względy tzw. społeczności LGBT.

Problem ma tymczasem ogromne znaczenie również z perspektywy doktrynalnej. Jeżeli księdzem katolickim może zostać homoseksualista, to jaki jest sens celibatu? W bezżenności nie chodzi jedynie o rezygnację z kontaktów seksualnych, ale również o rezygnację z rodziny. W kategoriach na poły humorystycznych można stwierdzić, że problem ten nie dotyczy tych państw, w których Kościół de facto zaakceptował już ideologię gender, a gdzie prawo świeckie zezwala na homozwiązki i adopcję – tam również homoseksualny ksiądz rezygnuje z posiadania „męża" i zakupu dzieci od surogatki! Schodząc jednak na ziemię, kwestia jest zasadnicza: jaki jest związek między kapłaństwem i celibatem? Dalej: Jaki jest związek między kapłaństwem i orientacją seksualną? Jaki jest związek między męskością a orientacją seksualną? Jeżeli księdzem może zostać homoseksualny mężczyzna, to w jaki sposób wpływa to na kościelny zakaz udzielania święceń kapłańskich kobietom? O tym wszystkim w Polsce się nie dyskutuje, podczas gdy w krajach zachodnich – zdecydowanie tak, udzielając często odpowiedzi, które oznaczają radykalne zerwanie z nauczaniem Kościoła. W Polsce wnikliwa refleksja teologiczna nie będzie jednak możliwa w sytuacji, w której o problemie homoseksualizmu w Kościele nikt nie chce mówić.

CHAOS DOKTRYNALNY

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze poważny kryzys doktrynalny, który trwa co najmniej od zakończenia II Soboru Watykańskiego. Kościół sam nie wie, czego chce nauczać; panuje olbrzymi chaos w ocenie wielu fundamentalnych zagadnień stanowiących o samej tożsamości katolicyzmu. Nie chodzi jedynie o kwestie moralności seksualnej, lecz także o tak ważkie zagadnienia jak to, czy droga do zbawienia wiedzie wyłącznie poprzez Chrystusa czy też raczej wszystkie główne religie światowe są równoprawnymi ścieżkami do tego samego celu.

Ten drugi pogląd, z gruntu błędny i wielokrotnie potępiany przez Urząd Nauczycielski Kościoła, jest dziś w różnych formach powszechnie głoszony przez wielu księży, biskupów, kardynałów – a nawet przez samego papieża. W tej sytuacji wielu młodych mężczyzn może zasadnie pytać, dlaczego mieliby zostawać księżmi. Tożsamość kapłańska jest dziś podważana również przez zamieszanie wokół liturgii. Zgodnie z nauką Kościoła kapłan podczas Mszy Świętej, działając w osobie Chrystusa, składa Bogu Najświętszą Ofiarę. Jednak wskutek posoborowej reformy liturgicznej w powszechnej świadomości ofiarny charakter Mszy Świętej uległ zatarciu, wyparty przez celebrację wspólnotowości. W efekcie kapłaństwo radykalnie traci siłę przyciągania: młody wierzący chłopak chce być jak Chrystus na Golgocie, ale niekoniecznie chce stawać się „liderem wspólnoty ucztujących".

Większych trudności nie mają z powołaniami instytuty tradycyjne, skupione wokół liturgii przedsoborowej. Wbrew pozorom nie chodzi tu jedynie o zamiłowanie do łaciny. Współczesna kościelna kultura ukształtowana wokół Mszy Świętej w rycie trydenckim ma niezwykle ważne cechy: jasną tożsamość kapłańską i klarowność doktryny. Katolik związany ze wspólnotami tradycyjnymi wie, po co jest uczniem Chrystusa. To rodzi powołania. W takich krajach jak Niemcy czy Francja to właśnie seminaria tradycyjne tętnią życiem, podczas gdy zwykłe powoli zamierają. Dotyka to również Polski; młodzi mężczyźni z naszego kraju coraz częściej decydują się na formację w zagranicznych tradycjonalistycznych seminariach, a kapłani coraz częściej przechodzą do tradycyjnych instytutów.

Nie oznacza to, oczywiście, że jedynym ratunkiem dla Kościoła katolickiego w naszym kraju jest powrót do liturgii przedsoborowej. Samo w sobie to nie wystarczy. To, co trzeba zrobić przede wszystkim, to przywrócić zdrową naukę i wypowiedzieć zdecydowaną walkę pladze przestępstw seksualnych – nie tylko pedo- i efebofilskich, lecz także homoseksualnych. Jeżeli młodzi Polacy nadal będą myśleć o Kościele jako o siedlisku nadużyć, a o seminariach jako o rozsadnikach homoseksualizmu, to nic się nie zmieni. Trzeba pokazać, że jest inaczej. Można i należy wskazywać na głębokie przyczyny kulturowe kryzysu powołań, ale są one w dużej mierze poza naszym zasięgiem. To, co możemy zrobić, dotyczy dwóch zasadniczych sfer: doktryny i moralnej czystości. Główna praca należy do biskupów; jednak i wierni świeccy nie mogą być bierni. Potrzeba zdecydowanej postawy wobec gorszycieli; nasze milczenie jest bowiem częścią problemu. Zatroszczmy się pilnie o przyszłość. Polska, w której nie będzie wierzących księży, będzie o wiele gorszym miejscem.

Zgodnie z nauką Kościoła kapłan podczas Mszy Świętej, działając w osobie Chrystusa, składa Bogu Najświętszą Ofiarę. Jednak wskutek posoborowej reformy liturgicznej w powszechnej świadomości ofiarny charakter Mszy Świętej uległ zatarciu, wyparty przez celebrację wspólnotowości

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

Ukraina i Christianitas: nadzieje i złudzenia

Marek Jurek

Wojny zawsze zmieniają świat. Oddziałując na przebieg zmagań, już dziś należy zastanawiać się, jak wojna Ukrainy z Rosją wpłynie na kształt Europy, polityczny i kulturowy. Nadzieje budowane na solidarności polsko-ukraińskiej w obliczu rosyjskiego najazdu zainspirowały nawet do snucia wizji unii obu naszych państw. Ostudził je niedawno ambasador Andrij Melnyk

Z kolei perspektywa wejścia Ukrainy do Unii Europejskiej mrożąco wpływa na Niemców i Francję. Niezależnie bowiem od finansowych kosztów integracji oznaczałaby – z punktu widzenia niemiecko-francuskiego tandemu – demograficzną i polityczną destabilizację Unii, radykalne zmniejszenie jej „sterowności". Z tych obaw unijnego establishmentu niektórzy wyprowadzają wniosek, że jeśli Ukraina znalazłaby się jednak w Unii, to mogłaby poważnie wzmocnić opinię chrześcijańską w Europie, tym samym przyczyniając się do powstrzymania dekadencji naszej cywilizacji. Niezależnie od teoretycznego charakteru tej perspektywy – warto poważnie rozważyć jej realność choćby z tego względu, że Ukraina jest przecież członkiem Rady Europy.

JUŻ TO SŁYSZELIŚMY

Każdy to chyba pamięta. Takie nadzieje, a nawet program formułowano już 20 lat temu w związku z przygotowywanym włączeniem Polski do unijnych struktur. Najdobitniej sformułował je św. Jan Paweł II 18 maja 2003 r., w czasie kanonizacji abp. Pelczara i matki Ledóchowskiej w Rzymie: „Wejście w struktury Unii Europejskiej, na równych prawach z innymi państwami, jest dla naszego

eprasa.pl 660f69da97

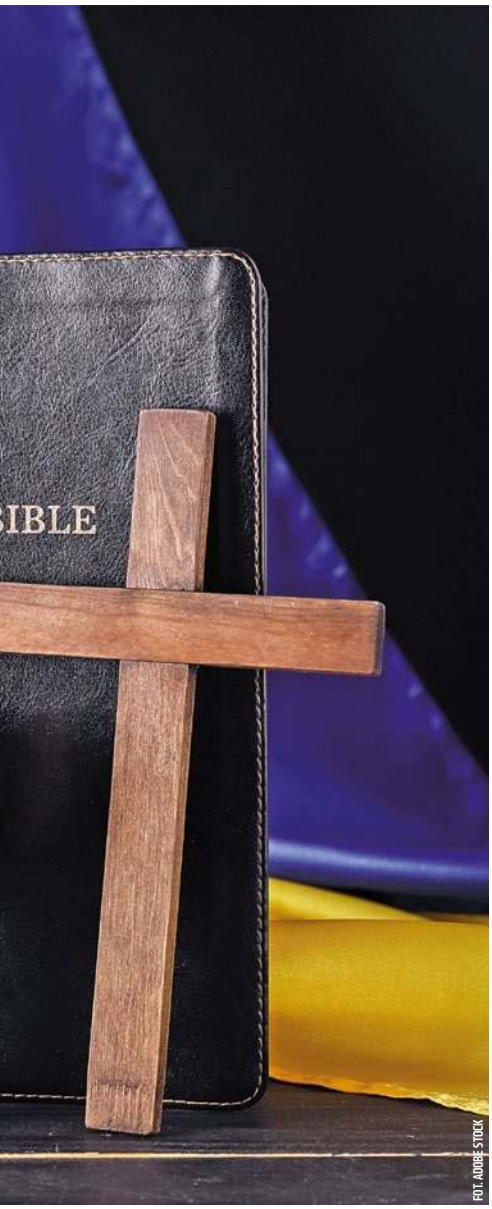

FOT. ADOBE STOCK

narodu i bratnich narodów słowiańskich wyrazem jakiejś dziejowej sprawiedliwości […]. Nie będzie jedności Europy, dopóki nie będzie ona wspólnotą ducha […], te kraje mają do spełnienia ważną misję na Starym Kontynencie […] od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej!".

W tej wizji Polska, wspierana przez inne narody Europy Środkowej, miała spełnić teraz tę samą rolę wobec Europy Zachodniej, co niegdyś wobec wschodniej, poprzez dynastyczną unię z Litwą i kościelną z Rusią. Dzieląc się swą suwerennością – podzielić miała się swymi wartościami. Politycy do tej wizji „spełnienia ważnej misji" nawiązywali chętnie, jednak nie po to, aby zmieniać Unię, ale by przekonać Polaków, że Unia zmieni się sama.

Tymczasem Jan Paweł II zakładał co innego. W art. 7 adhortacji „Ecclesia in Europa" (ogłoszonej miesiąc po zacytowanym przemówieniu) pisał, że ma dziś miejsce próba „nadania Europie oblicza wykluczającego dziedzictwo religijne, a w szczególności głęboką duszę chrześcijańską, przez stanowienie praw dla tworzących ją ludów, w oderwaniu od ich życiodajnego źródła, jakim jest chrześcijaństwo". Ojcu Świętemu nie chodziło więc o odwrócenie anonimowego procesu społecznego, zamianę kulturowego „klimatu", ale o powstrzymanie „stanowienia praw" niszczących chrześcijańską duszę Europy. Nadzieje te pogrzebano razem z papieżem.

W czasie negocjacji traktatu lizbońskiego Polska nie domagała się ani klauzul o szacunku Unii dla życia chrześcijańskiego narodów Europy, ani wpisania praw rodziny do katalogu wartości unijnych. Władze Rzeczypospolitej nawet nie rozważały realnych działań politycznych na rzecz praw opinii chrześcijańskiej w Unii Europejskiej, żyły jedynie złudnymi marzeniami o dobrym miejscu przy liberalnym stole. W imię tego zgodziły się na włączenie do katalogu „wartości" Unii Europejskiej (w zmodyfikowanym art. 2 traktatu UE) nieokreślonych „mniejszości" i równie nieokreślonej „niedyskryminacji". Te enigmatyczne hasła stanowiły jedynie mandat dla rewolucji, nie oznaczały zaś żadnych uzgodnień w zakresie naturalnych praw społeczności żyjących w sytuacji mniejszościowej, np. edukacyjnych uprawnień Polaków w Niemczech, formalnie gwarantowanych przez traktat z 1991 r. Dominujące siły polityczne oficjalnie uznały, że Polska uzyskała w traktacie lizbońskim „wszystko, czego chciała". Jak z tej prezydenckiej formuły jasno wynikało – w sferze zasad podstawowych nie chciała niczego.

ROZBIEŻNY ODRUCH

Odruch wolności, towarzyszący wyzwoleniu narodów zniewolonych przez Związek Sowiecki, uruchomił dwa, z czasem coraz bardziej rozbieżne, prądy. Oczywiście najpierw organizację własnych państw, powrót symboli narodowych, odrodzenie życia politycznego i jego tradycji, przywrócenie wolności Kościoła i obecności chrześcijaństwa w życiu publicznym. Drugą tendencją był zwykły głód konsumpcyjny i tęsknota do otwartych granic. Ich zew jednak czasami zagłuszał odpowiedzialność za suwerenność i tożsamość narodową, powodował zwykłą uległość wobec sugestii i nacisków zagranicy. Tylko najbardziej świadoma część opinii publicznej potrafiła dostrzec napięcie między odbudową własnego państwa i społeczeństwa a polityką Unii Europejskiej i ewolucją współczesnego liberalizmu. Z reguły problemy te beztrosko bagatelizowano.

W wypadku państw, które oderwały się od Związku Sowieckiego, dochodziły do tego lęk przed izolacją i zrozumiałe przekonanie, że udział w strukturach Zachodu jest konieczną gwarancją ich niepodległości. To właśnie podczas debaty nad Konstytucją dla Europy wpływało na zupełnie pasywną postawę państw bałtyckich, mimo wielu elementów konserwatywnych w ich ustawodawstwie. Skrajnym przykładem tej postawy było potem przeforsowanie – mimo oporów społeczeństwa i parlamentu – ratyfikacji konwencji stambulskiej przez estońskiego prezydenta Toomasa Ilvesa.

Napięcie tych dwóch tendencji ujawniło się bardzo wyraźnie na Ukrainie w ubiegłym miesiącu. Unia Europejska wykorzystała toczącą się wojnę, by wymusić na Ukrainie ratyfikację genderowej konwencji stambulskiej po 10 latach sprzeciwu. Ratyfikację przeprowadzono w ukraińskim parlamencie 90-procentową większością głosów. Wydarzenie to pokazuje zarówno, jak długotrwałe było odruchowe przywiązanie do naturalnego porządku społecznego, który przez lata był oparciem dla społecznego oporu wobec komunizmu, jak i jednocześnie łatwo Ukraina zgodziła się na jego naruszenie, w imię dalszego zbliżenia z Zachodem.

UKRAINA CHRZEŚCIJAŃSKA

W 2003 r. rozmawiałem w Gnieźnie z kard. Lubomyrem Huzarem. Jego rodzina emigrowała, gdy był dzieckiem, a na Ukrainę wrócił dopiero po odzyskaniu niepodległości. Opowiadał mi o kontraście między życiem ukraińskim na emigracji i w kraju, o swym przygnębieniu spustoszeniem, którego sowiecki totalitaryzm dokonał w ukraińskim społeczeństwie, nawet wśród inteligencji w jego rodzinnej Galicji.

A przecież nie mogło być inaczej. Komunizm był nie tylko polityczną tyranią, lecz także konsekwentnym totalitaryzmem, niszczącym życie społeczne aż do najbardziej elementarnych obyczajów, przekonań, tradycji. Skutki tego szczególnie mocno uderzyły w życie chrześcijańskie zniewolonych narodów, utrudniając (już po odzyskaniu wolności)

eprasa.pl 660f69da97

odbudowę jego reprezentacji politycznych. Tym bardziej na Ukrainie, która miała minimalne tradycje państwowe i w większej części przez 70 lat żyła pod władzą sowiecką.

Natomiast w planie społecznym Ukraina miała na czym się oprzeć. Arcybiskup Światosław Szewczuk z dumą przypominał, że według szeroko podzielanej opinii historyków „wśród społeczeństwa Związku Sowieckiego po drugiej wojnie światowej Kościół greckokatolicki stanowił najliczniejszą grupę opozycji społecznej, która sprzeciwiała się sowieckiemu państwu".

Współczesne ukraińskie dziedzictwo obejmowało nie tylko opór społeczny, lecz także bardzo ciekawą katolicką myśl polityczną. Za czasów II Rzeczypospolitej ważnym zjawiskiem we wschodniogalicyjskim życiu politycznym był ukraiński konserwatyzm, którego duchowym patronem był bł. bp Grzegorz Chomyszyn, a ideowym – Wiaczesław Łypynski (Wacław Lipiński), jeden z najciekawszych europejskich myślicieli politycznych tamtych czasów. Adolf Bocheński nazywał Lipińskiego ukraińskim Maurrasem i zwracał uwagę, że uruchomiony przez niego „katolicki i patriotyczny" kierunek zwalcza „z całą bezwzględnością próby postawienia norm narodowych ponad normy etyczne, tym bardziej uprawianie terroru, wszelkiego rodzaju pogromów". Jego walka z niechrześcijańskim nacjonalizmem „przejawia się w nieustającej polemice między »Wistnykiem« Doncowa a znajdującymi się pod auspicjami Lipińskiego »Dzwonami« oraz »Nową Zorją«. Przejawia się ona również niekiedy w sposób bardziej obrazowy, jak na przykład w czasie bojkotu manifestacji katolicko-patriotycznej »Ukraińska Młodzież Chrystusowi« przez integralnych nacjonalistów. […] Czasem można nawet zazdrościć myśli ukraińskiej uczciwości, z jaką zdołała rozstrzygnąć tę sprawę. Ani Doncow nie zdawał się ukrywać oczywistej niezgodności swego nacjonalizmu z chrystianizmem, ani katolicy nie uprawiali strusiej polityki niedostrzegania tych różnic".

Wszystko to autor „Między Niemcami a Rosją" opatrywał jedynie melancholijnym zastrzeżeniem, że pozostaje „tylko pytanie, czy zwolennicy myśli Lipińskiego będą jeszcze kiedyś mieli okazję do wykonania wszystkich tych przykazań honoru, rycerskości, wierności, owianych duchem chrześcijańskim i czy będą mieli możność zrealizowania kiedykolwiek ideału państwa takiego, o jakim marzył zmarły, potężny teoretyk". Trzeba bowiem pamiętać, że konserwatyści stanowili mniejszość na ukraińskiej prawicy w dzielnicy, która stanowiła mniejszą część kraju, włączonego w większości do ZSRS.

WSPÓŁPRACA JEDNOWYMIAROWA

W naszym najlepiej pojętym interesie leżało od lat wspieranie opinii chrześcijańskiej na Ukrainie. To stanowiło dodatkowy argument, by niezwłocznie po odsunięciu Platformy od władzy wypowiedzieć konwencję stambulską i zachęcić odrzucające ją państwa do zawarcia Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny.

Ukraina pozostawiona sama sobie będzie krajem poddanym takiej samej ideologicznej presji jak kraje środkowoeuropejskie

Reakcją premiera na wielokrotnie powtarzane apele była w końcu zapowiedź, złożona dopiero w czerwcu 2020 r., przedstawienia projektu konwencji na forum międzynarodowym. Wszystko pozostało jednak – jak często w polityce PiS – jednodniowym „wydarzeniem" medialnym.

Tymczasem nie ulega wątpliwości, że fakt nieratyfikowania genderowego paktu przez połowę środkowoeuropejskich państw Unii (Litwa, Łotwa, Czechy, Słowacja, Węgry, Bułgaria) stanowi najbardziej realne oparcie dla każdego z nich z osobna. Na forum międzynarodowym znacznie łatwiej bronić stanowiska podzielanego przez inne państwa niż odosobnionego. Razem najłatwiej wykazać uzurpację i fikcyjność rzekomych standardów. Włączenie się Polski do grona państw przeciwstawiających się genderowej konwencji, zachęcenie ich do zajmowania wspólnego stanowiska na forum europejskim jednocześnie wspierałoby życie chrześcijańskie Ukrainy i byłoby przez Ukrainę wzmacniane. Uniwersalizm działa z reguły na zasadzie relacji zwrotnej.

A Ukraina tego bardzo potrzebowała, cała Ukraina. To w jej imieniu wypowiadała się Wszechukraińska Rada Kościołów. Stanowisko tego gremium było niezwykle budującym przykładem solidarności chrześcijańskiej wolnej od jakiegokolwiek relatywizmu. Wielokrotnie do wspólnego stanowiska Rady odwoływał się metropolita Epifaniusz, zwierzchnik Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, jeden z najbardziej aktywnych orędowników ukraińskiej niepodległości na forum międzynarodowym.

Metropolita ciągle wzywał do „przeciwstawienia się ideologii gender, a szczególnie – konwencji stambulskiej", ostrzegał przed „przekształceniem Ukrainy w państwo, gdzie w imię walki o wolność i prawa będzie się prześladować i ograniczać i wolność, i prawa", skarżył się „na ciągłą presję, aby Ukraina ratyfikowała konwencję", przypominał, że zagraniczne próby narzucenia ideologii gender gwałcą „generalną normę ukraińskiej konstytucji, która zakazuje ustanawiania obowiązującej ideologii". Czy można było więcej i mocniej?

Po wydarzeniach ostatniego miesiąca widać jasno, że Ukraina pozostawiona sama sobie będzie krajem poddanym takiej samej ideologicznej presji jak kraje środkowoeuropejskie. Co gorsza, jako kraj bardziej potrzebujący pomocy, a wcześniej bardziej zniszczony społecznie, będzie na nią bardziej podatna. Mogłaby, owszem, być czynnikiem opinii chrześcijańskiej w Europie, gdyby Polska – jako największe państwo w Europie Środkowej – podejmowała realne działania polityczne, by europejską opinię chrześcijańską organizować. Nie chcieliśmy jednak tego robić z państwami Europy Środkowej, co było najprostsze. W żadnym też momencie zasadą naszej polityki wschodniej nie stała się dewiza „ani Putin, ani Soros", mimo że perspektywa rozszerzania zaawansowanego liberalizmu na wschód i na południe otwierała bardzo groźną perspektywę moralnego okrążania i izolacji Polski.

Wobec Ukrainy nie robiliśmy zaś nic, by w jakimkolwiek stopniu wyjść poza ramy demokratyczno-liberalnej rutyny. Nic również dziś nie wskazuje, by miało się to zmienić. Jeśli nasi przywódcy tak łatwo i skwapliwie zapomnieli apele Jana Pawła II, to czemuż miałby ich zainteresować ginący w zgiełku wojny głos chrześcijańskiej Ukrainy?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Rozmowa z byłym agentem KGB Olegiem Kaługinem!

Jurij Felsztinski – **Tak zabija Putin!**
Grzegorz Janiszewski – **Polowanie na wrogów Kremla**
Tymoteusz Pawłowski – **Trucizny i skrytobójstwa**
Piotr Zychowicz – **Polska hrabianka w Abwehrze**
Gerald Blaine – **Byłem ochroniarzem Kennedy'ego**
Arkadiusz Karbowiak – **Komandosi Hitlera atakują!**
Tomasz Stańczyk – **Kresowa saga Weyssenhoffów**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Rzeczpospolita Narodów**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 660f69da97

Rafał Łatka

W latach 80. miało miejsce kilkanaście spotkań prymasa Glempa i Wojciecha Jaruzelskiego. Niejednokrotnie miały one bardzo istotne znacznie dla relacji państwo – Kościół, a także dla kształtu sytuacji społeczno-politycznej

Wokół rozmów

Wbrew pozorom i faktu, że obydwie strony znajdowały się w konflikcie, hierarcha i I sekretarz KC PZPR umieli znaleźć wspólny język. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że Jaruzelski potrafił wpływać na decyzje następcy kard. Stefana Wyszyńskiego, ale już w drugą stronę tak to nie działało.

Nowy arcybiskup gnieźnieński i warszawski już 11 lipca 1981 r. spotkał się z pełniącym wówczas funkcje premiera Jaruzelskim. Przebiegu rozmowy nie znamy, ale można stwierdzić, że miała ona kurtuazyjny i zapoznawczy charakter. Równie mało wiemy o ich kolejnej rozmowie, z 22 października 1981 r., która odbyła się raptem cztery dni po nominacji dygnitarza na stanowisko I sekretarza KC PZPR. Sekretariat Episkopatu wydał komunikat, w którym stwierdzono potrzebę „kontynuowania współdziałania Kościoła i państwa w imię dobrze pojętego interesu narodu, spokoju wewnętrznego i pomyślnej realizacji procesu odnowy […]. Wyrażono przekonanie, że najważniejszą potrzebą dla pokonania piętrzących się trudności jest tworzenie się szerokiej płaszczyzny porozumienia narodowego".

Arcybiskup Glemp starał się intensywnie od jesieni 1981 r. zmniejszyć stan napięcia społecznego. Jednym z najważniejszych elementów tych zabiegów była koncepcja słynnego „Spotkania Trzech", czyli prymasa, Jaruzelskiego i Lecha Wałęsy. Doszło do niego 4 listopada. Prymas zrelacjonował je w czasie Konferencji Plenarnej Episkopatu, która odbyła się trzy tygodnie później. Mówił m.in.: „Obecność prymasa Polski w tym spotkaniu nie była obecnością partnera, ale obecnością tego, który ma inspirować wysiłki na rzecz porozumienia czy też dawać osąd etyczny co do propozycji spierających się stron. Kościół nie ma programu politycznego. Kościół ma program Ewangelii, pokoju, porozumienia i ocen moralnych do danych sytuacji. I z tym programem idzie w miarę możliwości do wszystkich, aby rozmawiać, aby doszukiwać się dobra, aby wzniecać nadzieję". Wypowiedź ta wskazuje, że prymas zaklinał rzeczywistość i liczył na to, że Kościół nie będzie musiał uczestniczyć w polityce, formułując tylko oceny moralne. Jeszcze dobitniej ujął to w dalszej części posiedzenia EP: „Stawiamy zasadę apolityczności hierarchii. Biskupi więc i kapłani nie mogą się angażować bezpośrednio w politykę. Prymas rozmawia z władzami z racji urzędu […]".

ROZMOWY W CZASIE WOJNY POLSKO-JARUZELSKIEJ

Pierwsze spotkanie prymasa z Jaruzelskim po 13 grudnia 1981 r. miało miejsce już 9 stycznia 1982 r. Jego dokładnego przebiegu nie znamy. Komuniści chcieli móc podkreślać w propagandzie, że Kościół nie wzywa do oporu, abp Glemp z kolei pragnął zaakcentować stanowisko episkopatu i wagę porozumienia społecznego.

eprasa.pl 660f69da97

Prymas Polski kard. Józef Glemp i Wojciech Jaruzelski podczas III pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny, Warszawa, 14 czerwca 1987 r. FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/PAP

na szczycie

W tym samym czasie minister Czesław Kiszczak polecił wszystkim strukturom MSW „nasilenie – we współdziałaniu z organami administracji państwowej – przedsięwzięć polityczno-operacyjnych zobowiązujących Kościół do przestrzegania prawa i respektowania zarządzeń stanu wojennego". Rozmówca hierarchy był więc całkowicie nielojalny, choć należy zaznaczyć, że w zasadzie relacje państwo – Kościół układały się w okresie stanu wojennego poprawnie, a atakowano głównie duchownych znanych ze wspierania opozycji. Arcybiskup Glemp w dalszym ciągu prowadził działania, które w jego przekonaniu miały przynieść porozumienie narodowe. Jednym ze sposobów tego rodzaju myślenia były tzw. tezy Prymasowskiej Rady Społecznej, w których zawarto krytykę zarówno władz komunistycznych, jak i „ekstremalnych sił" w opozycji. Nie spotkały się one z życzliwym podejściem ani kierownictwa PZPR, ani solidarnościowego podziemia. Prymas nie miał jednakże zamiaru porzucać swojej optyki.

26 kwietnia 1982 r. abp Glemp po raz kolejny spotkał się z Jaruzelskim. W czasie rozmowy zaakcentował, że należy tworzyć korzystny klimat do zawarcia porozumienia społecznego i przyspieszyć prace nad normalizacją, przede wszystkim w kontekście związków zawodowych. Nie udało mu się przekonać I sekretarza KC PZPR, by drugą pielgrzymkę Jana Pawła II do Polski zorganizować w sierpniu 1982 r. Dygnitarz partyjny mnożył problemy. Na skutek tej rozmowy abp Glemp miał stracić jakiekolwiek złudzenia co do możliwości reaktywacji Solidarności. Już wtedy zresztą, na forum episkopatu, wyrażał w tej sprawie zdanie, że wspomniany ruch społeczny nie jest elementem niezbędnym do zawarcia ugody społecznej. Z kolei w czasie swojego rzymskiego spotkania z abp. Agostino Casarolim i abp. Achille Silvestrinim miał stwierdzić, że „gen. J[aruzelski] wydał mu się ostatnio mniej twardy niż w przeszłości, informując o obiektywnych trudnościach sytuacji i motywach, dla których nie można uchylać stanu wojennego, i że przedsięwzięcia polepszające sytuację mogą być tylko stopniowe. Glemp przedstawił gen. J[aruzelskiego] jako człowieka umiarkowanego, który znajduje się pod stałym naciskiem »represji radzieckich«".

Publicznie i w listach kierowanych do władz biskupi domagali się w kolejnych miesiącach: uwolnienia Wałęsy, stopniowego przywracania działalności wszystkich zawieszonych związków zawodowych oraz zwolnienia aresztowanych i internowanych. Te postulaty potwierdzono w liście Episkopatu Polski do Jaruzelskiego z 30 września 1982 r.

Równocześnie jednak reakcja hierarchów na delegalizację Solidarności była dość umiarkowana i mocno stonowana. W homilii wygłoszonej 16 października w Warszawie prymas właściwie ograniczył się do pocieszania zgromadzonych. W tym czasie podziemie opozycyjne przygotowywało manifestacje z protestem wobec działań komunistów. Władze planowały wykorzystać Kościół do ograniczenia zasięgu protestów. Bez wątpienia jednym ze środków do tego celu było ogłoszenie publiczne, że 8 listopada będzie miało miejsce spotkanie abp. Glempa z Jaruzelskim. W tym kontekście istotny jest fakt, że do rozmowy doszło z inicjatywy prymasa, który liczył, że uda mu się uzgodnić kilka kluczowych dla Kościoła kwestii. Na pierwszy plan wysuwały się wcześniej zgłaszane postulaty, ale już bez reaktywacji Solidarności oraz uzgodnienia dotyczącego drugiej pielgrzymki Jana Pawła II.

eprasa.pl 660f69da97

Spotkanie z 8 listopada przyniosło kilka konkretnych efektów – władze zapewniły, że zwolnią z internowania Wałęsę oraz zakończą stan wojenny. W komunikacie z rozmowy zapowiedziano też przyjazd papieża do Polski w 1983 r. Spotkanie „na szczycie" i zapowiedź wizyty Ojca Świętego przyczyniły się do osłabienia manifestacji, które miały miejsce 10 listopada. Prymas nie przejmował się krytyką wysuwaną przez działaczy opozycji ani negatywnymi opiniami padającymi ze strony bp. Ignacego Tokarczuka czy części duchowieństwa warszawskiego. Był przekonany, że postąpił słusznie, a zgoda władz na pielgrzymkę była znaczącym osiągnięciem.

W latach 1982–1983 abp Glemp niewątpliwie wierzył w dobre intencje I sekretarza KC PZPR, a w przekonaniu tym utwierdzały go kolejne spotkania i wymiana korespondencji z Jaruzelskim. Tak było m.in. w sprawie Fundacji Rolniczej, gdy najwyższy dygnitarz partyjny zapewniał hierarchę o swojej życzliwości w tej kwestii, a w rzeczywistości przy pomocy różnych środków ją sabotował.

4 czerwca 1983 r. kard. Glemp w rozmowie spytał Jaruzelskiego o morderstwo Grzegorza Przemyka. I sekretarz zwyczajnie skłamał – nie tylko powtórzył stwierdzenia komunistycznej propagandy, lecz także wyjątkowo obraźliwie wypowiedział się o tragicznie zmarłym i jego matce. Prymas tak opisał słowa Jaruzelskiego: „Śledzę działania prokuratury i sprawa nie jest łatwa. Zmarły Grzegorz był narkomanem, matka alkoholiczką, środowisko rodzinne nieciekawe. Prawdopodobnie ugodzony śmiertelnie w karetce, rzucał się, stosował japońskie chwyty, pielęgniarz jako były bokser nie mógł sobie dać rady, wezwał na pomoc kierowcę, wiele faktów trzeba wyjaśnić […]".

W czasie tego spotkania kard. Glemp poruszył także problematykę relacji państwo – Kościół. Dość jasno stwierdził: „Niepokoi także niekonsekwencja w polityce wyznaniowej, z jednej bowiem strony przygotowuje się wizytę Ojca Świętego, a z drugiej strony w telewizji puszcza się filmy o charakterze antyreligijnym […]". Odpowiedź Jaruzelskiego była niezwykle symptomatyczna i pokazywała elastyczność jego polityki wobec Kościoła w całych latach 80.: „Działanie władz, a także instytucji państwowych, jak np. telewizji, jest reakcją na postawę Kościoła. Jeżeli ta postawa będzie życzliwa dla państwa, to uszczypliwości będą się zmniejszać. Wiemy, że wielu księży jest czynnie zaangażowanych po stronie opozycji. […] Zresztą dziwię się, że Kościół pozwala do siebie przyklejać się różnym elementom, rozwodnikom i ateistom, którzy znajdują schronienie w Kościele tylko dlatego, że są przeciw władzy. Dlaczego np. stuprocentowy katolik, bardzo zasłużony, jak p. Dobraczyński, jest pogardzany, natomiast różni aktorzy, których niemoralne życie znamy, występują w kościołach i dobrze zarabiają? To samo prawo reakcji widzimy przy związkach zawodowych pracowników kościelnych. Z jednej strony Kościół domaga się pluralizmu związkowego, a gdy ten pluralizm dotyka Kościoła – wycofuje się".

FALUJĄCY DIALOG

Ocena efektów papieskiej pielgrzymki przyniosła zaostrzenie polityki wyznaniowej władz PRL. Było to również widoczne w czasie kolejnych spotkań Wojciecha Jaruzelskiego z prymasem. Pierwsza rozmowa po oficjalnym zniesieniu stanu wojennego miała miejsce 5 stycznia 1984 r. Stała pod znakiem rozlicznych pretensji I sekretarza KC PZPR pod adresem Kościoła. Jak relacjonował kard. Glemp w czasie posiedzenia episkopatu, Jaruzelski obciążał winą stronę kościelną za wzrost napięcia w relacjach wzajemnych. Wskazywał także, że biskupi zbyt enigmatycznie odnosili się do amerykańskich sankcji gospodarczych zamiast wprost wezwać do ich zniesienia. Prymas upomniał się o ustawę o osobowości prawnej Kościoła, której przyjęcie władze PRL postanowiły zatrzymać. Nie osiągnął pod tym względem rezultatu, a Jaruzelski mnożył trudności. Kardynał Glemp miał również nadzieję, że władze zgodzą się, aby Fundacja Rolnicza działała pod kontrolą episkopatu. I sekretarz KC PZPR tonował entuzjazm prymasa w tym zakresie: „Generał dość sceptycznie zapatruje się na tę imprezę. Nie wierzy, żeby zagranica dała zapowiedziane 2 mld dolarów".

Najbardziej konfrontacyjny charakter miała kolejna rozmowa „na szczycie", do której doszło po morderstwie ks. Jerzego Popiełuszki przez funkcjonariuszy SB. Spotkanie odbyło się 18 czerwca 1985 r. z inicjatywy Jaruzelskiego. Wymiana zdań momentami przebiegała wręcz drastycznie, jak to określił w swoich notatkach kard. Glemp. W interesujący sposób jej przebieg zrelacjonował kard. Henryk Gulbinowicz: „[Jaruzelski miał] uwagi do kard. Glempa, że sprawę ks. Popiełuszki Kościół wykorzystuje do działań politycznych.

Jaruzelski oświadczył także Glempowi, że księża będą wyjęci spod ochrony prawnej i będą ponosić odpowiedzialność jak każdy obywatel, […] dalej

eprasa.pl 660f69da97

Generał Wojciech Jaruzelski z prymasem Glempem w kwietniu 1989 r.
FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/PAP

Jaruzelski miał powiedzieć Glempowi, że członkowie KC PZPR negatywnie odbierali publiczną wypowiedź kard. Glempa, że Kościół bronić będzie każdego księdza bez względu na jego winę. Jaruzelski miał powiedzieć Glempowi, że on osobiście musi hamować członków KC, bo rwą się do walki z Kościołem".

Sam prymas przebieg rozmowy przedstawił szczegółowo na czerwcowej sesji plenarnej EP. Wskazał, że po raz pierwszy jego spotkanie z Jaruzelskim nie było spokojne – I sekretarz KC PZPR najpierw podkreślił, że Kościół, wypowiadając się w sprawach społecznych i o zaangażowaniu politycznym duchownych, nie ma pełnych informacji. Zasugerował, że w związku z poczynaniami Michaiła Gorbaczowa w bloku wschodnim nastąpią istotne zmiany, w tym o charakterze moralnym. Nawiązał do słynnego wystąpienia prymasa na Skałce o modelach relacji państwo – Kościół, opowiadając się za współpracą z Kościołem, niemniej stwierdził, że przełom mógłby przynieść dopiero czwarty, „nieopracowany jeszcze model". Kardynał Glemp, w odpowiedzi, po raz pierwszy w rozmowie z Jaruzelskim użył bardzo ostrego tonu: „Nie akceptujemy socjalizmu w tym modelu, jak się nam przedkłada, bo on zmierza do totalitaryzmu. Obserwujemy też rozziew między deklaracjami góry a praktyką dołów. Przeglądy kadr są przecież poniżaniem ludzi. Nie można się dziwić, że powstaje opozycja. A na świecie socjalizm realny rozszerza się siłą. Kościół widzi pozytywy, ale zmiana w czasie procesu toruńskiego zaszkodziła. Nie możemy również zaakceptować krytykowania papieża w oparciu o informacje zaczerpnięte z prasy zachodniej. Uważam, że mówienie o klerykalizmie polega na wyolbrzymieniu incydentów lokalnych".

I sekretarz KC PZPR zasugerował, że w powołaniu Fundacji Rolniczej może chodzić o inwestowanie w opozycję, dlatego władze są w tej sprawie sceptyczne. Oznaczało to w istocie ostateczny sabotaż kościelnej inicjatywy. Jaruzelski zachęcał, by episkopat zaangażował się w wybory do Sejmu w październiku 1985 r. Prymas zdecydowanie odrzucił tego rodzaju sugestie, zaznaczając, że rolą duchowieństwa nie jest aktywność polityczna.

Kolejne spotkanie kard. Glempa i Jaruzelskiego miało miejsce 24 kwietnia 1986 r. Rozmowa trwała tym razem pięć godzin i toczyła się w znacznie lepszej atmosferze niż poprzednia. Głównym tematem były relacje państwo – Kościół. Na początku I sekretarz KC PZPR zaakcentował, jak głębokie zmiany zachodzą w Związku Sowieckim pod rządami Gorbaczowa. Zwrócił też uwagę na problemy ekonomiczne PRL. Prymas odparł: „W tej uciążliwej sytuacji gospodarczej walka ideologiczna upokarza i dodatkowo pognębia ludzi. Pod świeckością szkoły kryje się ateizm. Co państwowe, staje się obce". Jaruzelski odpowiedział, że tych oskarżeń nie można kierować tylko w jedną stronę: „Utrwala się nowe zjawisko kazań objazdowych, które są dalekie od Ewangelii". Następnie doszło do charakterystycznej wymiany zdań, którą warto przytoczyć w całości. Kardynał Glemp zaznaczył: „W naszym obozie partia chce Kościół zinstrumentalizować, a nawet oderwać lub separować od Rzymu".

Jaruzelski: „Bo też potrzeba jasnej deklaracji Kościoła. Do socjalizmu Kościół jest powolny, rozumiem, ale postępy w tym procesie muszą być widoczne".

Prymas: „Każdą opozycję uważa się za wroga, a przecież opozycję można też cenić".

Jaruzelski: „Nas nie stać na opozycję".

Poruszono również kwestię najważniejszą dla komunistów – udziału Kościoła w inicjatywach, w których strona rządowa chciałaby go widzieć. Jaruzelski oskarżył episkopat o niechęć do wszystkich posunięć władz PRL: „Kościół podtrzymuje nastroje okupacyjne. Kościół wszystko czyni na nie". I wymieniał: „PRON nie, wybory nie, sejm nie, w ruchu pokoju nie, w walce [o] odnowę nie, a gdy który się wciągnie, to go piętnujecie jak Dobraczyńskiego". W relacji prymasa niestety brakuje informacji o tym, jak odniósł się on do oczekiwań Jaruzelskiego. W kontekście generalnego podejścia kard. Glempa do sytuacji politycznej można jednak założyć, że zdystansował się od kolejnej próby uwikłania Kościoła w popieranie słabnącej ekipy partyjnej.

Następne spotkanie „na szczycie" miało miejsce już niecałe pół roku później, 22 grudnia 1986 r. Prymas i generał dyskutowali o relacjach państwo – Kościół, nadchodzącym wyjeździe Jaruzelskiego do Watykanu, a przede wszystkim o przygotowaniach do pielgrzymki Ojca Świętego. Na wstępie kard. Glemp wygłosił dłuższe przemówienie (zwyczajowo wprowadzeniem zaczynał Jaruzelski, ale tym razem z niego zrezygnował). Prymas wskazał na trudną sytuację społeczno-polityczną, ale dostrzegł też pozytywy: zwolnienie więźniów politycznych, powstanie Rady Konsultacyjnej, poprawa działalności urzędów. Dodał, że nie rekompensują one jednak atmosfery przygnębienia. Jaruzelski w odpowiedzi zaznaczył: „Chcemy więcej demokracji, ale bez naruszania równowagi i zmiany ustroju. Ksiądz prymas mówił o ideale socjalizmu. Mamy do tego dążyć. Nasz ustrój jednak wyciągnął lud z brudu i wiekowego zacofania. Chcemy sięgnąć do czystej koncepcji socjalizmu, aby w polskich warunkach socjalizm był z ludzką twarzą". Znowu wskazał, że rządzący nie nagłaśniają zamożności i grzechów duchowieństwa. W czasie tego spotkania uzgodniono również najważniejsze warunki trzeciej pielgrzymki papieskiej i to mimo wielu oskarżeń, że duchowni, tacy jak ks. Jankowski, wykorzystują ambonę do ataków na władze.

W trzech ostatnich latach istnienia PRL stosunki państwo – Kościół na poziomie centralnym były więcej niż dobre – władze uświadomiły sobie, że Kościół jest dla nich strategicznym, choć wymagającym partnerem, bez którego reżim Jaruzelskiego nie jest w stanie się uwiarygodnić ani uzyskać legitymizacji społecznej. Z tego powodu dbałość o relacje z episkopatem stała się jednym z najważniejszych założeń polityki wyznaniowej.

eprasa.pl 660f69da97

Dobre relacje wzajemne pozwoliło podtrzymać kolejne spotkanie kard. Glempa z Jaruzelskim z 25 maja 1987 r. Na początku w kontekście stosunków państwo – Kościół I sekretarz KC PZPR zaznaczył, że „siły ekstremalne po obu stronach słabną". Wskazał, że na poziomie wojewódzkim bardzo owocnie współdziałają biskupi, wojewodowie i I sekretarze KW PZPR. Sugerował, by po zakończeniu pielgrzymki zastanowić się, jak wykorzystać doświadczenia uzyskane dzięki wizycie.

Jaruzelski podkreślił, że władze dążą do porozumienia, wskazał na aktywność PRON oraz zaakcentował rolę katolików wspierających rząd. Podkreślił, że zmiany w kraju wpisują się w szersze tendencje w ZSRS, który Kościół w Polsce traktuje poważnie, o czym świadczy m.in. wywiad kard. Glempa dla prasy sowieckiej. Jaruzelski zaznaczył także: „W kraju chcemy przyjąć Ojca Świętego z honorem. Będą wyłapywali wszystko, co się u nas dzieje i co się mówi. Już dzisiaj są jakieś przygotowania do manifestacji przy grobie ks. Popiełuszki. Na ekscesy sobie nie możemy pozwalać. Podobnie z przykrością dowiaduję się o jakichś planach spotkania Ojca Świętego pod krzyżami w Gdańsku. Gdańsk jest trudny, zgodziliśmy się na to miasto. A teraz występują nowe trudności już po uzgodnieniach". Kardynał odrzucił sugestię, by zmienić program pobytu w tym mieście, i wskazał: „Owszem, są zauważalne wzmożone ruchy opozycyjne, które idą obok Kościoła, reprezentują bowiem nurty polityczne. Staramy się naszych księży przekonywać i ostrzegać. Nie zawsze to jednak ma swój skutek". Prymas, odnosząc się do utrudnień w dialogu państwa i Kościoła, zaznaczył: „Tak samo boli nas, że mianowany został dzisiaj ministrem do spraw wyznań p. Loranc, który karierę swoją zdobył na walce z religią, był bowiem organizatorem i aktywnym członkiem Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli, dzisiaj jest bardzo czynnym działaczem Towarzystwa Kultury Świeckiej. I taki człowiek staje ze strony rządu na czele do załatwiania spraw Kościoła, który obejmuje ogromną większość społeczeństwa. Dla nas to jest przykry zabieg".

Mimo wielu zachęt ze strony komunistów duchowni in gremio w dalszym ciągu dystansowali się od kolejnych inicjatyw ekipy Jaruzelskiego mających zapewnić jej legitymizację społeczną, i to mimo obietnic, że władze pójdą na ustępstwa w zakresie postulatów Kościoła. Krytyczną opinię episkopatu wobec referendum zapowiedzianego przez władze na 29 listopada potwierdził kard. Glemp w rozmowie z Jaruzelskim z 16 listopada 1987 r. I sekretarz KC PZPR zaznaczył, że inicjatywa ta wpisuje się w program zmian gospodarczych i społecznych – jeśli się one nie powiodą, to nastąpi klęska. Wskazał, że według sondaży frekwencja wyniesienie ok. 70 proc. Prymas odparł: „Nie mogę podzielać optymistycznych nastrojów na temat referendum. Obywatele z ulicy szumią, są rozdrażnieni, upraszczając sprawę, mówią: chcą, abyśmy zgodzili się na podwyżkę cen. Są przypierani do muru. Perspektywa kilku lat trudniejszych, niż są, nie może nikogo nastrajać pogodnie. Dużo się mówi o sprawach gospodarczych – wyraźnie jest to neokapitalizm z tą różnicą, że menedżerem jest państwo. Silni będą silniejsi, a biedni jeszcze zubożeją".

Arcybiskup Glemp miał znacznie mniejsze rozeznanie w sprawach społeczno-politycznych niż kardynał Stefan Wyszyński

Do kolejnego spotkania kard. Glempa z Jaruzelskim doszło 12 sierpnia 1988 r. Przede wszystkim rozmawiano o sytuacji społeczno-politycznej oraz stosunkach państwa i Kościoła. Na wstępie I sekretarz KC PZPR zaznaczył, że władze są zdeterminowane, by przeprowadzić reformy, i podkreślił wyjątkowość zmian, które zaszły w latach 1980–1988 (stwierdził, że w tym okresie wydarzyło się więcej niż w całym poprzednim czterdziestoleciu, co można uznać za ideologiczną herezję). Zaakcentował, że rząd troszczy się o pluralizm. Zadeklarował wolę współdziałania z osobami z kręgów Kościoła w pracach nad ustawą o stowarzyszeniach. Poinformował o przygotowaniach do wyborów do parlamentu, które miałyby się odbyć jesienią 1989 r. I zaznaczył: „W naszych rozwiązaniach chcemy znaleźć takie formuły, które by zachowywały system i nie imitowały innych systemów. Obserwujemy na Zachodzie bijatyki parlamentarne. Niby to wybory są demokratyczne, ale ile w tym sztuczności. Możemy się zdobyć na autentyzm przedstawicielski, na kreowanie proporcji reprezentacji, na wydobycie zasad polskiego parlamentaryzmu. Polska powinna być przykładem, a nie straszakiem. Będziemy chcieli konsultacji z Kościołem. Powstanie prawdopodobnie druga izba parlamentu". Jaruzelski chciał więc stworzyć pozory demokratyzacji systemu, co Kościół miałby legitymizować. Prymas nie był tą ofertą zainteresowany. Dodał, że stan gospodarki jest katastrofalny, a jej naprawa powinna być jednym z głównych celów rządu. W odpowiedzi I sekretarz przedstawił długi wywód dotyczący reform ekonomicznych – w ich ramach zaplanowano m.in. specjalne seminaria z udziałem katolików. Prymas podkreślił, że w tej odnowie należałoby uwzględnić opozycję i związki zawodowe, czyli Solidarność. Po raz pierwszy kard. Glemp tak stanowczo domagał się od Jaruzelskiego miejsca w sferze publicznej dla zdelegalizowanego związku.

Kolejne miesiące stały pod znakiem udziału Kościoła w rozmowach zmierzających do zawarcia porozumienia między władzami a opozycją. Rola delegatów episkopatu była tu kluczowa. Prymas osobiście nie uczestniczył w tego rodzaju spotkaniach, w tym czasie nie prowadził także rozmów z Jaruzelskim. Co ciekawe, spotkał się z nim kilkukrotnie już po wyborach z czerwca 1989 r. zakończonych klęską władz PRL (było ich co najmniej cztery: 28 lipca 1989 r., 16 sierpnia 1989 r., 25 listopada 1989 r. i 13 kwietnia 1990 r.). Musiały toczyć się w dobrej atmosferze, gdyż – jak wynika z materiałów z Sekretariatu Prymasa Polski – kard. Glemp swoje notatki z rozmów przekazał w kopii Jaruzelskiemu.

Rozmowy abp. Glempa i Jaruzelskiego z lat 1981–1989 pokazywały, że metropolita gnieźnieński i warszawski miał znacznie mniejsze rozeznanie w sprawach społeczno-politycznych niż kard. Wyszyński. Równocześnie trzeba podkreślić, że prymas bardziej koncentrował się na realizacji postulatów kościelnych, mniej niż jego wielki poprzednik uwzględniając optykę opinii publicznej i ewentualne reakcje społeczeństwa. Wydaje się także, że stroną bardziej dominującą w czasie „spotkań na szczycie" był I sekretarz KC PZPR, który potrafił przekonać hierarchę do swojego spojrzenia na niektóre kwestie polityczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym, pracownikiem naukowym BBH IPN.

eprasa.pl 660f69da97

WYBÓR NIE NALEŻY DO CIEBIE

lubimyczytać.pl

CRIME+ INVESTIGATION POLSAT

iNverso.pl KSIĘGARNIA INTERNETOWA

Prószyński i S-ka

eprasa.pl 660f69da97

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Anders i jego czasy

Gdyby we wrześniu 1914 r. powiedzieć młodemu Władysławowi Andersowi, jak potoczą się jego losy – pewnie byłby szczerze zdumiony. Był wówczas chorążym kawalerii Jego Cesarskiej Wysokości Mikołaja II Romanowa. I wyruszał na wojnę z Niemcami. Gdy w 1970 r. umierał w Londynie, był generałem Wojska Polskiego. Byłym Naczelnym Wodzem i przywódcą emigracji niepodległościowej.

Za jego życia powstała i upadła Rzeczpospolita. Widział krach wielkich, wielonarodowych monarchii starego świata. I eksplozję małych nacjonalistycznych państewek. Dwie mordercze rewolucje – bolszewicką i narodowosocjalistyczną. Największe ludobójstwa i wojny w dziejach ludzkości.

Anders nie był jednak tylko biernym świadkiem XX w. W wielu ważnych wydarzeniach sam brał udział. Przypomina o tym kapitalny album Jerzego Kirszaka, Bogusława Polaka i Michała Polaka. Na jego kartach możemy zobaczyć Andersa jako dziewięcioletniego chłopca pozującego do fotografii w atelier fotograficznym. Potem jako studenta w czapce korporacji Arkonia.

Wojna z bolszewikami, II RP, Wrzesień '39, sowiecka niewola, Monte Cassino, emigracja. Piękne kobiety, konie, wojna i polityka. Wielcy tego świata. O życiu Andersa można powiedzieć i napisać wiele, ale na pewno nie to, że było nudne.

Autorzy albumu postanowili ukazać Andersa nie tylko jako żołnierza. Możemy zobaczyć obrazy z jego prywatnego życia. Na fotografiach często towarzyszą mu żona Irena i dzieci. Możemy zobaczyć jego dom, spotkania towarzyskie, podróże.

Książka została poprzedzona ciekawym wstępem. Autorzy przypominają w nim, że Anders był nie tylko świetnym dowódcą, lecz także człowiekiem rozsądnym. Świadczyć może o tym depesza, którą wysłał 23 sierpnia 1944 r.

„Żołnierz nie rozumie celowości powstania w Warszawie – pisał. – Nikt nie miał u nas złudzenia, żeby bolszewicy, pomimo ciągłych zapowiedzi, pomogli stolicy. W warunkach tych stolica mimo bezprzykładnych w historii bohaterstw z góry jest skazana na zagładę. Wywołanie powstania uważamy za ciężką zbrodnię i pytamy się, kto ponosi za to odpowiedzialność".

Cześć Jego pamięci! ©℗

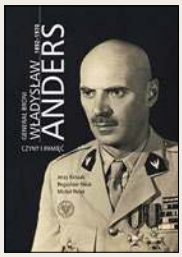

★★★★★★

JERZY KIRSZAK, BOGUSŁAW POLAK, MICHAŁ POLAK
„GEN. WŁADYSŁAW ANDERS. CZYNY I PAMIĘĆ"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Przed bitwą pod Grunwaldem

W 1409 r. wybuchło kolejne powstanie na Żmudzi i wielki książę litewski Witold udzielił pomocy rebeliantom. W odpowiedzi Krzyżacy zamierzali uderzyć na ziemie litewskie, gdy w sprawę wtrącił się Jagiełło, ostrzegając, że „wojna z Litwą będzie oznaczała wojnę z Polską". Nie powstrzymało to jednak wojowniczych mnichów i wielki mistrz uroczyście ogłosił stan wojny z Królestwem Polskim.

Szybko okazało się, że obie strony nie są do niej przygotowane. Wprawdzie zakonowi udało się zdobyć kilka miast na Kujawach, ale oddziały polskie większość z nich szybko odbiły. Nie zanosiło się na walną bitwę i jesienią zawarto rozejm, który miał obowiązywać do czerwca następnego roku.

Jagiełło obawiał się tylko, że Krzyżacy dojdą do porozumienia z Zygmuntem Luksemburczykiem i z dwóch stron uderzą na Polskę. Wprawdzie nie miał specjalnie wysokiego mniemania o królu Węgier, jako o wodzu i polityku, jednak dysponował on realną siłą.

Tym razem jednak nikt już nie zamierzał przekładać ostatecznego starcia i ruszyły przygotowania. Jagiełło przygotował zakonnikom przykrą niespodziankę, gdyż postanowił zaskoczyć wroga, pojawiając się w miejscu przez niego nieoczekiwanym. Na jego polecenie w tajemnicy przygotowano rodzaj drewnianego mostu pontonowego, po którym armia miała przekroczyć Wisłę. Jagiełło nie zamierzał bowiem czekać na rywala, tylko planował uderzyć wprost na jego ziemie. Nie zaniedbywał też działalności propagandowej – władcy zachodniej Europy otrzymywali pisma ujawniające prawdziwe oblicze zakonu.

Ostatniego dnia czerwca 1410 r. wojska polskie przeszły przez most pontonowy pod Czerwińskiem i skierowały się na północ. Dwa dni później dołączyli do nich Litwini pod Witoldem i sprzymierzeni Mazowszanie z księciem Januszem I. Upozorowano atak na zajętą przez Krzyżaków rok wcześniej ziemię dobrzyńską, aby po kilku dniach skierować się prosto na Malbork.

Polski król konsekwentnie realizował plan wojny, chociaż zaskoczyła go reakcja Zygmunta Luksemburskiego. Trzy dni przed bitwą pod Grunwaldem królowi doręczono akt wypowiedzenia wojny przez Węgry. Zapowiadała się walka na dwa fronty.

Sprawy zaszły zbyt daleko, aby rezygnować z decydującego starcia z Krzyżakami, tym bardziej że zakonnicy zostali całkowicie zaskoczeni marszem sił polsko-litewskich i w popłochu przegrupowywali swoje siły. Ostatecznie zastąpili drogę siłom polsko-litewskim w okolicach wsi Grunwald, Łodwigowo i Stębark. O przyszłości unii i państwa zakonnego miała zadecydować walna bitwa. Miało do niej dojść pod Grunwaldem 15 lipca 1410 r. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

FOT. JAN WEST/PA IMAGES/FORUM

TYLKO NIE MÓW O ROWLING

Pisarka J.K. Rowling, która odważyła się mówić, że na świecie istnieją tylko dwie płcie u człowieka, została już całkowicie pochłonięta przez tzw. cancel culture. Do tego stopnia, że nie wolno nawet o niej wspominać. Do takiej sytuacji doszło podczas wydarzenia prasowego w studiu filmowym Warner Bros, gdzie ludzie mogą oglądać wystawę o filmach z „Harrym Potterem". Kiedy reporter Sky News dopytywał aktora Toma Feltona, czy nie jest dziwne, że w takich wydarzeniach nie bierze już udziału twórczyni Pottera, firma PR poprosiła o pominięcie odpowiedzi na to pytanie. A potem przekazano informację, że Rowling nie jest w żaden sposób powiązana z Warner Bros.

TOKSYCZNA MĘSKOŚĆ PUTINA?

Premier Wielkiej Brytanii w wywiadzie dla niemieckiej telewizji ZDF stwierdził, że Putin nie najechałby Ukrainy, gdyby był kobietą. Ocenił, że agresja Rosji jest „doskonałym przykładem toksycznej męskości". Na szczęście nie dodał, że obrońcy nie powinni bronić kraju, okazując „toksyczną męskość". Jednak i tak zdenerwował polityków we własnym kraju. Członek jego gabinetu – Liz Truss – powiedziała brytyjskim mediom, że kobiety również zdolne są do popełniania przerażających czynów.

ZNIKAJĄCE WIADOMOŚCI VON DER LEYEN

„New York Times" jeszcze w ubiegłym roku ujawnił, że Ursula von der Leyen i dyrektor generalny Pfizera Albert Bourla miesiącami dzwonili do siebie i pisali SMS-y przed finalizacją zakupu 1,8 mld dawek szczepionki Pfizer/BioNTech przeciw COVID-19. Komisja Europejska odmówiła dziennikarzom ujawnienia tych wiadomości. Interweniowała unijna rzeczniczka praw obywatelskich Emily O'Reilly. Nic nie wskórała. KE stwierdziła, że nie jest w stanie odszukać takich wiadomości, bo były one „krótkotrwałe i efemeryczne".

BITWA O ŁUPY

Według ukraińskiego wywiadu w okolicy miejscowości Tokmak zginęło ostatnio czterech żołnierzy z Rosji, a 10 odniosło rany. Strzelać mieli do siebie członkowie tego samego rosyjskiego oddziału. Był to jeden ze sporów, w którym pijani okupanci kłócili się między sobą o łupy zrabowane mieszkańcom Ukrainy.

10 LAT ZMYŚLANEJ HISTORII

Jedno z największych oszustw w Wikipedii zostało ujawnione w Chinach. Pisarka fantasy, która interesowała się historią Rosji, przypadkowo odkryła, że w chińskojęzycznej wersji istnieją opisy bitew, miast i osób, które w rzeczywistości nigdy nie istniały. Okazało się, że nieistniejące wątki przez dekadę umiejętnie do Wikipedii wplatała użytkowniczka ukrywająca się pod pseudonimem Zhemao – gospodyni domowa ze średnim wykształceniem i bujną fantazją. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nadchodzi wielki kryzys

Wprawdzie wielu polityków w różnych krajach, mówiąc o zagrożeniach gospodarczych, odmienia przez przypadki słowo „inflacja" – i już nikt o zdrowych zmysłach nie nazywa jej zjawiskiem tymczasowym – to coraz wyraźniej widać, że szybki wzrost cen to tylko jeden z wielu problemów, przed którymi staną wkrótce przeciętny Kowalski, Smith czy Müller.

Przybywa bowiem ekonomistów, którzy ostrzegają przed zbliżającą się recesją. Według analityków banku Nomura agresywna polityka banków starających się stłumić szalejącą inflację sprawi, że w ciągu najbliższych 12 miesięcy w recesję wejdą najważniejsze gospodarki świata: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, kraje strefy euro, Kanada, Australia oraz Korea Południowa. Przed ryzykiem recesji w Niemczech ostrzegał w ubiegłym tygodniu minister gospodarki Robert Habeck.

Daleki od optymizmu jest też Nouriel Roubini. Słynny amerykański ekonomista – określany przydomkiem Doktor Zagłada – trafnie przewidział potężny kryzys w 2008 r. Tym razem Roubini ostrzega nie tylko przed powtórką z krachu sprzed dekady, lecz także przed „największym kryzysem od pokoleń". Do fatalnej sytuacji światowych gospodarek ma doprowadzić nie jeden kryzys, ale kilka nakładających się na siebie kryzysów, łączących w sobie najgorsze cechy załamań gospodarczych z lat 70. XX w. oraz kryzysu z roku 2008. Nadchodzące połączenie recesji z wysoką inflacją ma doprowadzić do utraty wartości wielu aktywów: od akcji i kryptowalut do nieruchomości.

Ten pesymizm podziela wielu ekspertów, w tym szef Fed Jerome Powell. O „miękkie lądowanie" może być trudno. Trzeba więc szykować się na stagflację i wzrost bezrobocia. Lepiej już było. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

Władimir Putin wziął udział w odbywającym się pod koniec czerwca wirtualnym szczycie państw BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, RPA) FOT. SPUTNIK/REUTERS/FORUM

Egzotyczny miks BRICS

Piotr Włoczyk

Rosja upatruje w BRICS tarczy przeciw zachodnim sankcjom. Chiny mają wobec tej grupy państw jeszcze ambitniejszy cel: chcą zamienić ją w obóz anty-Zachodu, który pod wodzą Pekinu obali amerykański ład na świecie. Czy jednak Indie, Brazylia i RPA będą chciały zagrać przypisane im w ten sposób role?

Chociaż wszystko odbyło się on-line i Władimir Putin brał udział w spotkaniu, siedząc w swoim własnym gabinecie, to i tak bez wątpienia przywódca Rosji znów mógł się poczuć mile widziany na światowych salonach. W trakcie odbywającego się pod koniec czerwca wirtualnego szczytu państw BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, RPA) nikt nie potępiał Putina, nikt nie upominał się o prawo Ukraińców do spokojnego życia we własnym państwie. Szczyt BRICS był dla Putina najważniejszym spotkaniem na szczeblu międzynarodowym, od kiedy 24 lutego rozpoczął swoją pełnoskalową inwazję na Ukrainę.

Putin musiał się uśmiechać pod nosem, gdy prezydenci pozostałych państw jak ognia unikali słów „Ukraina" i „wojna". Co najwyżej mówili o „sytuacji na Ukrainie". Pojawiły się wprawdzie narzekania na przyspieszającą inflację, zawirowania na rynku surowców energetycznych i żywności, ale nikt nie mówił o Putinie per „agresor" i nikt nie wzywał go do natychmiastowego wycofania armii.

Pełniący funkcję gospodarza spotkania Xi Jinping nie ustępował Putinowi kroku w krytyce zachodniej odpowiedzi na rosyjską agresję, choć unikał bezpośredniego wskazywania Stanów Zjednoczonych. „Musimy porzucić zimnowojenną mentalność i konfrontację bloków. Musimy też sprzeciwiać się jednostronnym sankcjom oraz nadużywaniu sankcji. Upolitycznienie globalnej gospodarki, przekształcanie jej w broń i nakładanie sankcji, wykorzystując swoją wiodącą pozycję w światowym systemie finansowym, zaszkodzi interesom wszystkich, również tych, którzy je nakładają" – grzmiał chiński prezydent. Jak zwykle Xi

eprasa.pl 660f69da97

podkreślał, że Chiny nie zgadzają się na hegemonię żadnego z państw, przekonując, że chodzi im jedynie o stworzenie „zrównoważonego" świata (z centrum w Chinach, ale akurat tej myśli nie wypowiedział głośno).

Komunistyczny lider przekonywał też, że konfiskując rosyjskie mienie za granicą oraz obejmując sankcjami majątki rosyjskich oligarchów, Zachód łamie prawo własności i depcze fundamenty współpracy międzynarodowej, które sam ustanowił. Tymczasem Xi ma dla państw BRICS wyjątkowo ambitne zadanie: stworzenie wielkiego bloku wolnego handlu. Zapowiedź ta zdominowała gospodarczy aspekt szczytu. Kraje BRICS mają swoją wagę: to 40 proc. światowej populacji i 25 proc. globalnego PKB, ale jednak pod względem siły gospodarczej wciąż daleko im do państw G7 (10 proc. ludności Ziemi i 43 proc. światowego PKB).

Przywódcy pozostałych państw grupy BRICS bardzo ostrożnie wypowiadali się o wojnie na Ukrainie, absolutnie nie paląc się zanadto do opowiadania się za jedną bądź drugą stroną.

ZWROT NA AZJĘ

Putin podkreślał w swoim przemówieniu, że sankcje nałożone przez „niektóre państwa" sprawiają, iż Rosja poszerza współpracę handlową z „wiarygodnymi partnerami międzynarodowymi".

„Aktywnie angażujemy się w reorientację naszych przepływów handlowych i zagranicznych kontaktów gospodarczych w kierunku wiarygodnych partnerów międzynarodowych, przede wszystkim krajów BRICS" – powiedział Putin na szczycie BRICS.

Putin z zadowoleniem odnotował, że wymiana handlowa między Rosją a resztą krajów BRICS w pierwszym kwartale tego roku wzrosła o 38 proc., sięgając 45 mld dol. Z kolei handel Rosji z całą UE wart był w zeszłym roku średnio kwartalnie 64 mld dol. Putin zapowiedział na szczycie BRICS, że już niedługo te proporcje będą wyglądały zupełnie inaczej.

Na razie największe zmiany widać w przekierowaniu rosyjskiej ropy na rynek azjatycki. W maju Rosja wyprzedziła Arabię Saudyjską na liście największych dostawców tego surowca do Państwa Środka (a tym samym Chiny wyprzedziły Niemcy jako największy odbiorca rosyjskich surowców energetycznych). Ogromnie wzrósł też eksport rosyjskiej ropy do Indii – rok do roku o ponad 500 proc. Trzeba jednak pamiętać, że oba kraje korzystają z gospodarczej izolacji Rosji i dostały duże zniżki na zakup ropy (wiadomo, że w przypadku Indii wynosi ona ponad 30 dol. za baryłkę).

Od maja ponad połowa rosyjskiej ropy eksportowana jest już do Chin i Indii. Prawdziwy test dla trwałości tego nowego układu będzie miał miejsce pod koniec roku, gdy w pełni zacznie obowiązywać zachodnie embargo na zakup rosyjskiej ropy. Wtedy okaże się, czy Indie i Chiny zaryzykują sankcyjny rykoszet i wciąż będą zainteresowane handlem rosyjską ropą.

Rosja desperacko próbuje ściągnąć do siebie z Azji towary, których pozbawił ją Zachód. Stąd zapowiedzi ogromnego wzrostu importu aut z Chin, a także otwarcia się na indyjskie sieci supermarketów, mające już niedługo oferować od Kaliningradu do Władywostoku szeroki wachlarz produktów „made in India". Awaryjne plany ratunkowe dla tonącej rosyjskiej gospodarki to nie koniec agendy Rosji w kontekście BRICS. Putin planuje wraz z Xi mocne uderzenie w amerykański ład.

Tuż po ostatnim szczycie Iran ogłosił, że z chęcią przystąpi do tej inicjatywy, co zresztą zostało zapowiedziane w trakcie spotkania on-line przez prezydenta Chin

„Wspólnie z partnerami z BRICS opracowujemy niezawodne alternatywne mechanizmy rozliczeń międzynarodowych" – zapowiedział Putin. Ta „alternatywa" oznacza oczywiście próbę odejścia od dolara, który – jak pokazały to sankcje wymierzone w Rosję – stanowi w rękach Amerykanów potężne narzędzie do utrzymywania pożądanego przez siebie światowego ładu.

Również Brazylia i RPA nie są zainteresowane przecięciem gospodarczych więzi z Rosją (oba kraje importują przede wszystkim coraz więcej rosyjskich nawozów), ale jednak trudno je zapisać do grona sprzymierzeńców Moskwy. Brazylia i RPA chcą odgrywać jak największą rolę w swoich regionach tzw. globalnego Południa, ale w ich interesie nie jest tworzenie jednoznacznie antyzachodniego bloku. Wygodniejsze – i bardziej intratne – będzie z ich perspektywy siedzenie na geopolitycznym płocie. O ile jednak Chiny, Indie i RPA wstrzymały się od głosu w trakcie marcowego głosowania w ONZ w sprawie uznania Rosji za agresora, o tyle Brazylia poparła ten symboliczny gest.

ZASTRZYK ŚWIEŻEJ KRWI

Chociaż Indie mocno angażują się w zacieśnianie relacji handlowych w ramach BRICS, to jednak Chinom i Rosji bardzo trudno będzie wciągnąć ten kraj do obozu twardego „anty-Zachodu". Mimo współpracy gospodarczej z Chinami Indie wciąż mają z tym krajem konflikt graniczny i obawiają się rosnącej potęgi czerwonego mocarstwa. Dlatego drugim okiem New Delhi spogląda z zainteresowaniem na Waszyngton. Miesiąc przed szczytem BRICS odbyło się w Japonii spotkanie grupy QUAD (USA, Japonia, Indie, Australia), która jest z kolei forum dla utrzymywania bezpieczeństwa w rejonie Azji i Pacyfiku, czyli mówiąc wprost – trzymania w ryzach ekspansjonistycznych ambicji Xi Jinpinga. Chińczycy obawiają się oczywiście tego „czwórporozumienia", nazywając je (z bardzo dużą przesadą) „azjatyckim NATO". Jak widać, Indie do mistrzostwa opanowały strategiczne siedzenie na płocie, doprowadzając do frustracji dyplomatów zarówno chińskich, jak i amerykańskich.

Czy niedługo BRICS zmieni się w BRICSIA? Tuż po ostatnim szczycie Iran ogłosił, że z chęcią przystąpi do tej inicjatywy, co zresztą zostało zapowiedziane w trakcie spotkania on-line przez prezydenta Chin. „Wstrzyknięcie trochę świeżej krwi ożywi współpracę w ramach BRICS, zwiększając reprezentatywność i wpływ BRICS" – stwierdził Xi Jinping podczas ostatniego szczytu. Również Argentyna jest zainteresowana wstąpieniem do tego grona. Zapowiedzi te wyjątkowo uszczęśliwiły kierownictwo rosyjskiego MSZ, które upatruje w tym kolejny krok na drodze do przełamania międzynarodowej izolacji.

„Podczas gdy Biały Dom zastanawia się, co jeszcze wyłączyć, czego zakazać lub co zepsuć na świecie, Argentyna i Iran składają wniosek o dołączenie do BRICS" – powiedziała Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

Ambasador Bandery

Andrij Melnyk jako szef MSZ Ukrainy byłby dla Polski kłopotliwy

FOT. STEFAN BONESS/PANOS PICTURES/FORUM

Maciej Pieczyński

Dyplomata o temperamencie agresywnego publicysty. Ostry krytyk polityki Niemiec wobec wojny na Ukrainie. Piewca Bandery i negacjonista wołyński. A niedługo być może wiceszef ukraińskiego MSZ. Kim jest Andrij Melnyk?

Ambasadorem Ukrainy w Niemczech został na początku prezydentury Petra Poroszenki. Zawodowy dyplomata z wieloletnim stażem. Karierę zaczął w 1997 r. jako 22-letni pracownik kancelarii prezydenta Łeonida Kuczmy. Następnie był m.in. sekretarzem ambasady w Wiedniu czy konsulem generalnym Ukrainy w Hamburgu, kierował jednym z departamentów w MSZ. Pełnił też funkcję sekretarza Komitetu Konsultacyjnego Prezydentów Polski i Ukrainy. Specjalista od prawa międzynarodowego i stosunków międzynarodowych.

Nazywa się tak samo jak przywódca jednej z dwóch brutalnie się nawzajem zwalczających frakcji Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Różnice między melnykowcami i banderowcami były raczej personalne i taktyczne niż ideologiczne. Oba odłamy chciały wykorzystać III Rzeszę do realizacji swoich celów. To jednak melnykowcy byli bardziej lojalnymi sojusznikami Hitlera. Konsekwentnie opowiadali się za formowaniem regularnych oddziałów u boku Niemiec, poparli też utworzenie SS-Galizien, a sam Melnyk współpracował z Abwehrą. Banderowcy z kolei woleli samodzielną walkę partyzancką – i to właśnie oni założyli UPA i zorganizowali ludobójstwo na Wołyniu.

Współcześnie żyjący Andrij Melnyk nigdy nie chwalił się, by miał rodzinne związki z przywódcą OUN-M (w jego pracy to mogło mu raczej przeszkodzić niż pomóc), ukraińskie media nigdy się na ten temat nie rozpisywały. Zgadza się nazwisko (dość jednak popularne na Ukrainie), związki z Niemcami i to, że obaj pochodzą z Galicji („starszy" – z Woli Jakubowej pod Drohobyczem, „młodszy" – ze Lwowa). To jednak zbyt mało, by spekulować o powiązaniach z jednym z dwóch najsłynniejszych ukraińskich nacjonalistów.

„POLACY TAKIMI SAMYMI WROGAMI"

O ile nie wiadomo, co poza imieniem i nazwiskiem dyplomata może mieć wspólnego z przywódcą melnykowców, o tyle wiadomo, że sam chętnie broni czci banderowców. Nie milkną echa skandalicznych wypowiedzi Melnyka, które padły w wywiadzie przeprowadzonym przez niemieckiego dziennikarza Tilo Junga. W odpowiedzi na pytanie o zbrodnie banderowców na Wołyniu i w Galicji dyplomata stwierdził: „Zachodnia Ukraina była częścią Polski […]. Przyczyną tej wrogości między Polską a Ukrainą było to, że Ukraińcy byli największą grupą mniejszościową w państwie polskim. Stanowili jedną czwartą ludności, a mimo to byli uciskani w taki sposób, że trudno to sobie wyobrazić. I dlatego Ukraina była przeciwko Polsce. Polacy byli dla nas takimi samymi wrogami jak nazistowskie Niemcy czy Sowieci". Tilo Jung ripostował, podkreślając, że ówczesna polityka Warszawy nie może usprawiedliwiać masakry na ludności cywilnej. „Tak, ale takiej samej masakry na Ukraińcach dokonali Polacy. Dziesiątki tysięcy Ukraińców zostało zamordowanych przez Polaków, to była wojna. A teraz Polska stara się upolitycznić tę historię" – stwierdził Andrij Melnyk.

Nie powiedział nic nowego. Tak naprawdę wpisał się w forsowaną od lat przez sporą część ukraińskich elit naukowych i politycznych narrację o rzekomej symetrii win pomiędzy Polską a Ukrainą. W jego tezach pobrzmiewa wyraźne echo poglądów Wołodymyra Wiatrowycza. Były szef Ukraińskiego IPN forsował niedopuszczalną z punktu widzenia Warszawy interpretację zbrodni wołyńskiej jako niewiele znaczącego epizodu w trwającej od 1942 do 1947 r. „wojny polsko-ukraińskiej", w której to strona polska była tą bardziej agresywną. Jego następca, Anton Drobowycz, wyznaje podobne poglądy,

eprasa.pl 660f69da97

tyle że wyraża je w sposób bardziej stonowany i sprzeciwia się oficjalnej, odgórnej heroizacji OUN-UPA (mówił o tym w wywiadzie, który przeprowadziłem z nim w „Do Rzeczy" w nr 28/2021).

W głośnym wywiadzie Melnyk zaprzeczył również, jakoby banderowcy wymordowali setki tysięcy Żydów. „To jest narracja, którą narzucają Rosjanie i która w Niemczech, Polsce i Izraelu też jest wspierana" – przekonywał. Według Melnyka Bandera „nie dokonywał masowych mordów na Żydach". Na uwagę dziennikarza, że nawet jeśli nie mordował osobiście, to robili to jego ludzie, odpowiedział: „Nie ma na to żadnych dowodów".

„Wypowiedzi ukraińskiego ambasadora są wypaczeniem faktów historycznych, bagatelizują Holokaust i obrażają tych, którzy zostali zamordowani przez Banderę i jego ludzi" – tak skandaliczne wynurzenia Melnyka skomentowała w oficjalnym oświadczeniu ambasada Izraela w Berlinie, dodając przy tym, że stwierdzenia ambasadora „nie tylko podważają wartości, które wszyscy cenimy i w które wierzymy, lecz także podkopują odważną walkę narodu ukraińskiego o życie zgodne z wartościami demokratycznymi". Ta reakcja odniosła częściowy skutek. Melnyk, co prawda, nie odwołał swoich słów o Banderze, zapewnił jednak: „Każdy, kto mnie zna, wie: zawsze potępiałem Holokaust w najostrzejszych słowach! Nazistowska zbrodnia Szoah jest powszechną izraelsko-ukraińską tragedią". Adresowany do „żydowskich przyjaciół" wpis na Twitterze zilustrował zdjęciami, na których wymienia uśmiechy i serdeczne uściski z grupą chasydów.

Do tej części wywiadu, która mogła urazić Polaków, już się Melnyk nie odniósł. Być może też dlatego, że reakcja Warszawy nie była tak ostra jak oświadczenie ambasady Izraela. Zbigniew Rau poinformował, że „w związku z fałszującymi historię wypowiedziami ambasadora Ukrainy w Niemczech" odbył rozmowę ze swoim „przyjacielem Dmytrem Kułebą". MSZ Ukrainy oświadczyło, że słowa Melnyka „są jego osobistym zdaniem i nie odzwierciedlają stanowiska" resortu. Z jednej strony, komentarz był lakoniczny i, w porównaniu z tym, co powiedział ambasador, aż nadto dyplomatyczny. Zabrakło nazwania rzeczy po imieniu i jasnego określenia, jakie w sprawach poruszanych przez Melnyka jest stanowisko Kijowa. Z drugiej jednak strony, łatwo sobie wyobrazić, że gdyby nie wojna – albo gdyby prezydentem dalej był neobanderowiec Poroszenko – nawet na tak nieśmiałe dementi Warszawa nie mogłaby liczyć.

PODSZCZYPUJĄC BERLIN

Ambasador Ukrainy w Niemczech od dawna znany jest z ciętego języka. Zanim wywołał „banderowski" skandal, dawał się we znaki głównie elicie rządzącej państwa przyjmującego. Regularnie i ostro krytykował Berlin za zbyt wolne dostarczanie broni Ukrainie, niektórym politykom zarzucając wręcz działalność na rzecz Moskwy. O „tworzenie pajęczyny kontaktów z Rosją" oskarżył prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera. „Chce pan dalej przytulać się do swojego kumpla Putina. Pańska służalczość wobec tego zbrodniarza wojennego pozostanie wieczną hańbą" – tak swego czasu Melnyk zwrócił się do premiera Saksonii Michaela Kretschmera, gdy ten publicznie wypowiedział się przeciwko wysyłaniu czołgów na Ukrainę. Wpływowego polityka SPD Michaela Rotha nazwał wprost „dupkiem". Ambasador nie oszczędzał też samego Olafa Scholza. Pod koniec maja stwierdził, że niemieckiemu kanclerzowi brakuje przywództwa i odwagi, by bardziej zdecydowanie wesprzeć Ukrainę. Gdy Scholz oświadczył, że nie planuje wizyty na Ukrainie, ponieważ Zełenski odmówił przyjęcia Steinmeiera w Kijowie, Melnyk komentował: „Granie w obrażoną pasztetową niezbyt przystoi politykowi na takim szczeblu […]. To nie jest przedszkole". Nazwanie kanclerza „obrażoną pasztetową", rzecz jasna, musiało wywołać w Niemczech burzę. Wielu polityków i komentatorów domagało się nawet wydalenia ambasadora. Pojawiły się głosy, że Melnyk swoją niedyplomatyczną retoryką, przypominającą raczej agresywną publicystykę, Ukrainie nie pomaga. Były też zabawne reakcje – pewien rzeźnik w reakcji na barwną wypowiedź przysłał Melnykowi pasztetową własnej roboty. Panowie się nawet spotkali i ponoć zaprzyjaźnili. Według relacji lokalnych mediów „trzy dni w towarzystwie ambasadora zmieniły życie rzeźnika na zawsze". Narzuca się złośliwe porównanie do historycznego idola Melnyka…

CZAS NA AWANS?

W Niemczech wzbudzał kontrowersje, ale wielu polityków i komentatorów zaczęło przyznawać mu rację. W przeprowadzonym w połowie maja dla „Die Zeit" badaniu połowa Niemców stwierdziła, że Melnyk słusznie krytykuje władze federalne. Ostatecznie Berlin zaczął wreszcie dostarczać Ukrainie obiecane haubicoarmaty. Fakty są takie, że ambasador skandalista okazał się skuteczny.

Być może dlatego – jeśli wierzyć doniesieniom „Bilda" – Melnyka czeka awans. Według informatorów tabloidu w ukraińskim rządzie dyplomata jeszcze latem ma opuścić placówkę w Berlinie i wrócić do Kijowa, by objąć stanowisko wiceministra spraw zagranicznych. Taką propozycję złożyć miał Melnykowi sam Zełenski, ponoć bardzo zadowolony ze skuteczności dyplomaty. Jak dowiedziałem się w MSZ Ukrainy, na razie nie zapadły w tej sprawie żadne decyzje. Melnyk jako wiceminister byłby dla Polski potencjalnie o wiele większym problemem niż obecnie. Wizerunkowym, bo oznaczałoby to, że Kijów nie do końca się liczy ze zdaniem Warszawy. Ale też praktycznym, bo na nowym stanowisku zyskałby o wiele większe możliwości kreowania polityki Kijowa.

Można oczywiście stwierdzić, że skandaliczne wypowiedzi Melnyka szkodzą Ukrainie. Ale to raczej naiwne myślenie. Melnyk wciąż jest wpływowym ukraińskim dyplomatą, a ani Polska, ani Niemcy, ani żaden inny kraj Zachodu nie zmienił ani nie zmieni z tego powodu frontu. A już tym bardziej Melnyka nie ukarze Kijów, widząc, że nikt tego głośno nie oczekuje. Zawsze przecież MSZ Ukrainy może się „odciąć". Ani Kułeba, ani Zełenski nie są wyrazicielami kultu OUN czy UPA. Jednak za krzewienie tego kultu nie będą nikogo dymisjonować, jeśli nikt tego od nich nie zażąda. A jeśli zażąda zbyt ostro, to też niekoniecznie żądanie spełnią, w obawie przed zarzutami o uleganie obcym wpływom. Nawet jeśli to wpływy „polskich przyjaciół".

Warszawa powinna w tej sprawie nacisnąć na ekipę Zełenskiego. I spróbować ewentualny awans Melnyka zablokować. Albo przynajmniej wymusić na „naszych przyjaciołach", aby pyskatemu dyplomacie zabronili wypowiadać się na tematy historyczne. Inna sprawa, że Melnyk, twardo forsujący interesy Kijowa na Zachodzie, zapewne miałby spore szanse zawojować serca ukraińskich wyborców, gdyby – co niewykluczone – karierę dyplomaty zamienił na karierę polityka z tak „heroiczną" kartą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

Dlaczego nie brać dotacji?

Tomasz Cukiernik

Niezależnie od prowadzonej na Ukrainie wojny Polska zyskałaby na wstrzymaniu przez Brukselę wszystkich dotacji

FOT. ADOBE STOCK

Mogę czuć się jak prekursor. Mam ogromną satysfakcję, bo to, o czym pisałem już 18 lat temu, czyli zanim Polska wstąpiła do Unii Europejskiej, choć powoli, to w końcu przebija się do mainstreamu. Chodzi o świadomość tego, że unijne dotacje są szkodliwe i że nie są manną z nieba, którą dostaje się za darmo. Moje wyliczenia i analizy, które prezentowałem w moich książkach i artykułach na temat UE, wskazywały na to, że Polsce nie opłaca się brać dotacji.

Wcześniej, poza wąskim gronem środowisk wolnościowych, nikt w ogóle nie dopuszczał do siebie takich myśli. Przecież bilans Ministerstwa Finansów, który podawał te wpływające miliardy, był taki jednoznaczny… Euroentuzjaści i eurorealiści – politycy, publicyści, ekonomiści głównego nurtu i zwykli ludzie – zachłyśnięci szpecącymi krajobraz unijnymi tablicami propagandowymi na każdym rogu ulicy zarzekali się, że dotacje są wspaniałe i umożliwiają Polsce rozwój – no i jak można nie brać „darmowej" kasy? Taki był przekaz we wszystkich wiodących stacjach telewizyjnych i pozostałych mediach mainstreamowych. Wątpliwości były zakazane. Nawet zatwardziali zwolennicy wolnego rynku i część eurosceptyków twierdzili, że unijne dotacje należy brać jako zwrot za wpłaconą składkę członkowską.

Otóż nie, bo branie dotacji powoduje kolejne olbrzymie koszty, których by nie było, gdyby zrezygnować z unijnych srebrników.

POMNIKI ROZRZUTNOŚCI

W 2021 r. prounijny portal businessinsider.com.pl opublikował listę pomników państwowej rozrzutności. Autor wskazał, że publiczne podmioty wydały setki milionów na różne projekty, a teraz trzeba te obiekty utrzymywać z pieniędzy podatników. Zamiast wspierać budowę dobrobytu obiekty te obciążają gospodarkę. W artykule nie jest oczywiście powiedziane to wprost (to nie przeszłoby autorowi ani portalowi przez gardło), ale część z tych nietrafionych projektów współfinansowanych było z funduszy unijnych: Opera i Filharmonia Podlaska, lotnisko w Łodzi czy lotnisko w Świdniku.

Takie pomniki można wymieniać w nieskończoność: Muzeum Śląskie w Katowicach (budowa kosztowała 261,3 mln zł, w tym unijna dotacja wyniosła 178,2 mln zł, ale jego utrzymanie to kilkadziesiąt milionów złotych rocznie), hala

eprasa.pl 660f69da97

sportowo-widowiskowo-wystawiennicza w Bielsku-Białej, Galeria Sztuki Współczesnej „Elektrownia" w Czeladzi (woj. śląskie), aquapark w Suwałkach, filharmonia w Kielcach, Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku, lotniska w Zielonej Górze i Szymanach czy stadion w Lublinie. W wielu przypadkach przychody z działalności tego typu obiektów pokrywają nie więcej niż 20 proc. kosztów, a niektóre z nich przez okres pięciu lat mają w ogóle zakaz pobierania jakichkolwiek opłat. Nieżyjący już europoseł Michał Marusik tłumaczył, że Unia Europejska wspiera właśnie takie przedsięwzięcia, które nie będą przynosić zysków, a są kulą u nogi, generującą koszty, gdyż trzeba je utrzymywać z pieniędzy podatników. Na przykład dopiero po latach miasto Żory przyszło po rozum do głowy i sprzedaje wybudowane za dotacje unijne miasteczko westernowe Twinpigs, do którego nie zamierza dalej dopłacać.

Niestety, nie są to jedyne koszty związane z unijnymi dotacjami. Mamy koszty biurokratyczne związane z rozdysponowywaniem funduszy, przygotowywaniem wniosków przez beneficjenta lub specjalnie wynajętą firmę (profesjonalne przygotowanie wniosku o dotację inwestycyjną kosztuje od kilku do kilkunastu procent wartości dotacji) oraz z kontrolą właściwego ich wydawania. Ludzie ci wykonują całkowicie nieproduktywną, nieprzynoszącą dobrobytu pracę. Tony formularzy i dokumentów nie powodują zwiększania dochodu narodowego, a jedynie stratę czasu, surowców i energii. Zdarzały się tak popularne konkursy, w których łączny koszt przygotowania wniosków przez zainteresowanych przekraczał pulę pieniędzy do rozdysponowania w danym konkursie, a pieniądze ostatecznie dostawało kilka procent ubiegających się! To bezpowrotnie stracone wydatki. Ponadto dotacje unijne z reguły wymagają wkładu własnego, a warunkiem niejednokrotnie jest wzięcie kredytu, nawet jeśli beneficjent nie ma takiej potrzeby. Ostatecznie nie tylko musi utrzymywać wybudowany obiekt, lecz także spłacać niepotrzebny dług. Efekt urzędniczej bezmyślności w „absorbowaniu" unijnej „pomocy" jest taki, że zadłużenie samorządów wzrosło z 16,6 mld zł w 2003 r. do 92,7 mld zł na koniec 2021 r., czyli o 458 proc.! Zachodniopomorska gmina Ostrowice już z tego powodu zbankrutowała.

Na dodatek zwykle inwestycje realizowane przy współudziale unijnych dotacji są znacznie droższe niż cena rynkowa. Warto przypomnieć nie tylko jedne z najdroższych w Europie budowane w Polsce autostrady i drogi ekspresowe. W ramach innowacyjnych e-usług pomysłodawcy serwisów internetowych otrzymywali po kilkaset tysięcy złotych dotacji na projekty, których wartość rynkowa nie sięgała 10 proc. tych sum. Likwidowane były po upływie roku, bo tyle musiały działać, by nie było konieczności zwrotu pieniędzy. Z kolei Wojewódzki Urząd Pracy w Opolu ogłosił, że na szkolenie osób 50+ z obsługi smartfona wyda niemal 12 tys. zł na osobę! „Na wolnym rynku takie szkolenia kosztują w polotach 1000 zł. Za 11k zł można kupić specjalistyczne szkolenia programistyczne języka Python i tworzenia aplikacji WEB z użyciem frameworka Django. Takie są efekty, gdy urzędnicy wydają nieswoje pieniądze na nieswoje potrzeby!" – skomentował na FB Łukasz Chrząszcz, radny Wodzisławia Śląskiego.

INGERENCJA W RYNEK

Dotacje unijne zaburzają funkcjonowanie mechanizmów rynkowych. Mamy do czynienia nie tylko z nieuczciwą konkurencją (jedna firma dostanie pieniądze, a druga – nie), opóźnianiem inwestycji (firma nie może rozpocząć procesu inwestycyjnego, zanim nie zostanie przyznana subwencja, a to może trwać długie miesiące), lecz także dochodzi do nieoptymalnej alokacji zasobów. – Stosuje się z zewnątrz takie metody wspierania tzw. działalności gospodarczej, która nie przynosi zysku i dochodu. Gdyby te pieniądze zostawić polskim konsumentom i producentom [nie brać składki – T.C.], to konsumenci kupowaliby to, co jest im potrzebne, producenci by produkowali to, co chcą konsumenci, i zarabiali. Rozwijałby się ten biznes, który jest Polakom potrzebny. Wtedy stawalibyśmy się potentatami. A żeby tak nie było, żebyśmy cały czas byli dziadami i parobkami pracującymi na obcych, u nas instaluje się takie przedsięwzięcia gospodarcze, które nazywają się gospodarczymi, ale nie są nastawione na zysk i zysku nie przynoszą – mówił Marusik. Wyniki kontroli NIK pokazały, że ogromne wsparcie unijne w woj. lubelskim nie przełożyło się na zwiększenie liczby trwałych miejsc pracy, a 2,5 roku od uzyskania wsparcia finansowego nadal funkcjonowała mniej niż połowa firm.

Te niepotrzebne koszty ingerencji w gospodarkę rozlewają się na inne branże (te niebiorące dotacji), bo rynek to niezwykle skomplikowany system naczyń połączonych i od siebie współzależnych. Co gorsze, celem przedsiębiorców staje się nie zadowolenie klientów, lecz przypodobanie się urzędnikom, którzy rozdają dotacje. Ten przymusowy transfer zabija inicjatywę i rynkową czujność.

ZATRUTY PIENIĄDZ

Fundusze unijne oznaczają przesunięcie decyzyjności w gospodarce z sektora prywatnego na urzędnika. W rezultacie politycy i biurokracja mają większy udział w funkcjonowaniu kraju. Działa to podobnie jak na uczelniach, gdzie granty dostają tylko właściwe projekty, a nieprawomyślni naukowcy mogą co najwyżej zostać zwolnieni z pracy. Dotacje unijne przyznawane są nie na to, co jest potrzebne, a na to, co urzędnikowi wydaje się, że jest potrzebne. – Każda dotacja jest zła, bo o alokacji środków decyduje urzędnik. Nie wie absolutnie, co dzieje się na rynku. Gdyby miał być przedsiębiorcą, to nie byłby urzędnikiem. Dotacje to są pieniądze zabierane przedsiębiorcom. Zabiera się pieniądze przedsiębiorcom, którzy odnieśli sukces i wiedzą, jak to robić, i przeznacza się je na inwestycje, zatrzymując połowę na biurokrację – mówi ks. dr Jacek Gniadek SVD, werbista misjonarz w Afryce, pracujący w Werbistowskim Centrum Migranta Fu Shenfu w Warszawie, który ma dotacyjne doświadczenia.

W ten sposób pojawiają się niepotrzebne inwestycje. Pomijając promowanie LGBT i gender, typowym przykładem są tarasy i wieże widokowe w absurdalnych miejscach czy ścieżki rowerowe. Na jednej z nich w ciągu trzech lat widziałem dwóch rowerzystów. Rowerowe ścieżki zdążyły już popękać, a nadal są puste. Czy na tym polega rozwój? Czy to jest opłacalne? Czy tak zbudujemy dobrobyt? Przecież w tej sytuacji lepiej by było, gdyby Polska nie współpłaciła za taki projekt nawet w jednym proc. Szkoda każdej tak wydanej złotówki, a gdzie dopiero kilkanaście czy kilkadziesiąt procent wartości inwestycji. Ma to taki sens jak to, że po 10 latach dopłat do ekologicznych upraw sadowniczych i jagodowych (na co wydano ponad 708 mln zł) wydajność upraw spadła z 15 ton do jednej tony owoców na hektar.

Podobnych przykładów z udziałem unijnych dotacji można wymieniać na pęczki. Urzędnicy z Aleksandrowa Łódzkiego zdecydowali o termomodernizacji komunalnych domów, wielu drewnianych,

eprasa.pl 660f69da97

z których część znajdowała się w tak złym stanie technicznym, że nadawała się co najwyżej do… wyburzenia. W Gorzycach (woj. podkarpackie) wyasfaltowano drogę… donikąd. Niejednokrotnie gmina może dostać pieniądze z UE na remont ulicy, pod warunkiem że ją… zwęzi. A czy sensownie wydane są dotacje na parki przemysłowe czy obszary gospodarcze, gdzie infrastruktura leży w ziemi, ale nie ma chętnych inwestorów, a budynki trzeba utrzymywać? – Unijne dotacje to jest zatruty pieniądz. Kiedy wpłacamy te pieniądze w ramach składki, są one czyste. Możemy je wydać na cokolwiek, jak chcemy. I nie jest obciążony żadnymi służebnościami czy wadami prawnymi. To, co dostajemy z powrotem w postaci dotacji, to jest tak naprawdę tylko bon towarowy, który możemy wydać zgodnie z rozporządzeniami i zaleceniami tego, kto nam go daje. Nawet wtedy, kiedy zupełnie nie potrzebujemy kupować tych rzeczy, albo bardziej potrzebujemy innych, to musimy wydać w taki sposób, jak zostało to przewidziane – tłumaczy poseł Dobromir Sośnierz.

ZACHĘTA DO KORUPCJI

Dotacje unijne to zachęta do korupcji i nadużyć. Na przykład NIK informowała, że ten sam wózek widłowy został rozliczony trzykrotnie w trzech projektach. Z kontroli Izby przeprowadzonej w woj. lubelskim wynika, że wiele osób wykorzystało dotacje, otwierając firmę, ale bez zamiaru zajmowania się biznesem przez dłuższy czas, a część osób brała dotacje tylko po to, by wesprzeć finansowo działalność członków rodziny. Jedynym sposobem, żeby likwidować korupcję, nie jest „lepszy" nadzór i kontrola (kto będzie kontrolował kontrolujących?), a likwidacja okazji do korupcji, czyli samych dotacji.

CBA regularnie na swoich stronach publikuje informacje na temat zatrzymań osób podejrzanych o wyłudzenia unijnych dotacji i podobne nieprawidłowości. Na przykład w maju 2021 r. funkcjonariusze Biura zatrzymali trzy osoby, które były związane z podmiotem realizującym zamówienie publiczne na rzecz Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie w ramach współfinansowanego z Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka projektu pn. „E-administracja warunkiem rozwoju Polski. Wzrost konkurencyjności przedsiębiorstw z wykorzystaniem innowacyjnych modeli referencyjnych procesów administracji publicznej". Jak ustalono, koszt dostarczonego oprogramowania przewyższał o ponad 1,3 mln zł jego realną wartość. Z kolei gmina Ciechanowiec (woj. podlaskie) dopuściła się – zdaniem CBA – naruszenia prawa zamówień publicznych przy przetargu na montaż paneli solarnych, realizowanym przy dofinansowaniu z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Podlaskiego. Również konieczność zwrotu całej lub części wcześniej otrzymanej dotacji nie jest czymś rzadkim.

Fundusze UE nie wzięły się z powietrza. Są to pieniądze wcześniej zabrane pod przymusem unijnym podatnikom

UTRATA SUWERENNOŚCI

Na dodatek dotacje oznaczają utratę suwerenności i niezależności, bo ten, kto daje, ten wymaga. Pieniądze są przekazywane, by realizować cele dającego. Za niezamknięcie kopalni w Turowie, czego żąda TSUE, już wstrzymano Polsce część funduszy. Co więcej, Bruksela dopuszcza się szantażu. Grozi Polsce odbieraniem pieniędzy, jeśli nie zastosuje się do unijnych dyrektyw, a nawet pozaprawnych wytycznych. Samorządy musiały wycofywać się ze swoich uchwał „anty-LGBT", a Polsce wstrzymywane są fundusze pod wydumanym pretekstem braku praworządności. – Te fundusze to nie jest żaden prezent wynikający z głębokiej troski o stan rozwoju niektórych krajów, tylko to jest łapówka za uległość polityków tego kraju – mówił podczas konferencji prasowej poseł Sośnierz. – Kiedy Unia Europejska nie jest zadowolona ze stopnia uległości danego kraju, grozi odbieraniem tych pieniędzy. […] Stała ekspansja kompetencyjna ze strony Brukseli odbywa się właśnie za pośrednictwem szantażu odbierania pieniędzy, które wcześniej obiecała i którymi politycy już zdążyli się w swoich krajach pochwalić. Jest to oczywisty dowód na instrumentalne traktowanie Unii Europejskiej przez Niemcy i Francję, kraje, które tym projektem zarządzają, które traktują protekcjonalnie kraje nowej Unii – dodał, podkreślając wasalny status Polski.

Fundusze UE nie wzięły się z powietrza. Są to pieniądze wcześniej zabrane pod przymusem unijnym podatnikom, także polskim (w tym roku unijna składka wraz z budżetowym współfinansowaniem projektów z udziałem środków UE wynosi prawie 1,2 tys. zł na osobę!). Na unijne projekty płacą wszyscy, a najczęściej ci, którzy z nich nigdy nie skorzystają. – Dotacje to kierowanie pieniędzy od ludzi, którzy wiedzieli, jak je wypracować, do tych, którzy nie wiedzieli, jak je wypracować; od tych, którzy lepiej nimi zarządzali, do tych, którzy zazwyczaj zarządzają nimi gorzej – podkreśla Sośnierz.

FUNDUSZ ZADŁUŻENIA

Identyczna sytuacja jak z unijnymi dotacjami jest w przypadku nowego bożka w postaci Funduszu Odbudowy. Urzędnicy z Brukseli i Warszawy zdecydowali, na co mają zostać wydane pieniądze. Będą uskuteczniane nieefektywne inwestycje państwowe. Ze strony rządu nie ma rzetelnej analizy, jakie są plusy, a jakie minusy, czy nam się to opłaca czy nie, jakie są potencjalne zyski, a jakie straty, jakie koszty, ryzyka i jakie niebezpieczeństwa. Czy nam to w ogóle jest potrzebne? Słyszeliśmy tylko prymitywną propagandę: miliardy euro, miliardy euro, miliardy euro (które sami de facto sfinansujemy nowymi podatkami oraz jeszcze bardziej się zadłużając). Jak dziecko w piaskownicy. Ale to w oczach większości skutecznie zamyka usta wszelkim przeciwnikom. Merytoryczne argumenty nie są potrzebne. Publice wystarczają proste hasła.

Banksterzy prawdopodobnie nie musieli zbyt długo namawiać eurokratów na stworzenie Funduszu Odbudowy, ponieważ korzyści są i dla jednej, i dla drugiej strony. Ci pierwsi będą zarabiali na kredytach, a ci drudzy i ich poplecznicy przy rozdzielaniu tych miliardów – oficjalnie czy też mniej legalnie jako osoby, które za łapówki przyznają grubą kasę nie tym, co trzeba. A cały koszt tej zabawy poniosą przyszli podatnicy.

Stymulacja i wzrost wydawania pieniędzy publicznych nie są właściwą drogą odbudowy gospodarki. Przede wszystkim im państwo ma mniej pieniędzy do wydania, tym lepiej, bo politycy i urzędnicy mniej rozkradną i zmarnotrawią. Państwo w ogóle nie powinno wydawać dużo, a szczególnie więcej, niż ma – to powinna być zasada fundamentalna, za złamanie której groziłyby poważne konsekwencje – niezależnie od tego, czy te dodatkowe pieniądze pochodzą z zewnętrznych dotacji, emisji obligacji czy zaciągniętych kredytów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Dlaczego u nas nie ma paniki?

Ostatnio Niemcom coraz bardziej udziela się panika. Niemcom rozumianym zarówno jako państwo, jak i jako naród.

W rezultacie wojny na Ukrainie i narastającego szantażu gazowego Putina, w tym niedawnego ograniczenia przez Moskwę o 40 proc. dostaw gazu gazociągiem Nord Stream, który 11 lipca ma zostać „tymczasowo" całkowicie zamknięty, Niemcy ulegają coraz większej panice związanej z nadchodzącym kryzysem energetycznym.

W niemieckiej przestrzeni publicznej mnożą się wypowiedzi o nadciągającym energetycznym armagedonie, rozważa się najczarniejsze scenariusze, a rząd w Berlinie wprowadził drugi stopień z trzypoziomowego planu awaryjnego, dopuszczający racjonowanie gazu.

Zresztą podobne reakcje zdarzają się nie tylko w Niemczech. Pierwszy stopień stanu kryzysowego ogłosiły Holandia, Austria, Finlandia i Łotwa. We Włoszech rząd wprowadził obwarowany karami program oszczędzania energii w budynkach publicznych – latem klimatyzatory nie mogą być ustawione na mniej niż 27 st. C, a zimą systemy grzewcze na więcej niż 19 st. C.

Z kolei w Wielkiej Brytanii rząd mówi o problemie niedoborów mocy – aż 6 mln gospodarstw domowych może mieć tej zimy ograniczone dostawy, rozważa też konieczność zamknięcia u progu 2023 r. elektrowni gazowych i zmuszenia dużych firm do zaprzestania zużywania gazu. I tak niemal państwo po państwie, bo nawet w dalekiej Japonii kreśli się scenariusze, z których wynika, że jesienią i zimą ich system grzewczy może nie sprostać dostarczaniu energii aż do 1,1 mln gospodarstw domowych.

Natomiast w Polsce zachowujemy się tak, jakby nadchodząca zima miała się nie różnić od poprzednich dosłownie niczym. I teraz zasadnicze pytanie brzmi:

Czy zachowujemy się w ten sposób dlatego, że przygotowując się od kilku lat do uwolnienia się od gazowego (i naftowego) szantażu Moskwy, mając świnoujski Gazoport i prawie gotową Baltic Pipe, jesteśmy na to – i oby tak właśnie było – aż tak dobrze przygotowani?

Czy jednak zachowujemy się tak dlatego, że jakaś dziwaczna, opacznie rozumiana skłonność do urzędowego optymizmu i niesiania defetyzmu w czasach zagrożenia bierze u nas górę nad zdrowym rozsądkiem, który wszak nakazywałby szczere zdanie sprawy z wiedzy o tym, co nas jesienią i zimą może czekać, i jak najlepiej do tego teraz – póki być może jeszcze jest na to czas – się przygotować?

Tym bardziej że jeśli nawet (oby) nasze magazyny gazu pozostaną do jesieni zapełnione w niemal 100 proc. – jak to jest dziś – to zważywszy, że mogą pomieścić ok. 3 mld m sześc. – przy rocznym zużyciu Polski na poziomie 23 mld m sześc. i w warunkach ostrej walki konkurencyjnej o każdą dostawę, która już trwa, a jesienią jeszcze się nasili – to czy rezerwy te na pewno wystarczą nam na całą zimę? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Fastrygowanie ustawy sankcyjnej

Za sprawą ustawy sankcyjnej udało się zniszczyć podwarszawskiego producenta sałatek i soków, firmę Maga Foods. Pracę straci ok. 200 osób, z czego połowa to Ukraińcy. Brawo MSWiA! Uderzono także w firmę Medmix Polska, która zaopatruje w wyspecjalizowane pojemniki czy mieszalniki największe i najważniejsze światowe korporacje. Między innymi temu poświęcono posiedzenie sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych. Argumentom kierownictwa polskiego oddziału firmy przysłuchiwał się wiceminister spraw wewnętrznych Maciej Wąsik, który po zakończeniu spotkania podszedł do przedstawiciela Medmiksu i powiedział, że o pewnych sprawach nie wiedział. Oznacza to, że MSWiA podejmuje decyzje o zniszczeniu firm, „nie wiedząc o pewnych sprawach".

Po kilku miesiącach działania na oślep (Maga Foods, Novatek Green Energy – czyli odcięciu gazu kilkunastu tysiącom ludzi, GoSport, Medmix i wiele innych przypadków) rząd połapał się, że może jednak coś tu nie gra, i postanowił ustawę sankcyjną zmienić. Projekt jest już w Sejmie. Zakłada m.in. ustanowienie przymusowego zarządu w firmie wciągniętej na listę sankcyjną, jeśli jest to niezbędne w celu „utrzymania miejsc pracy w tym przedsiębiorstwie lub utrzymania w zakresie działalności tego przedsiębiorstwa świadczenia usług użyteczności publicznej lub wykonywania innych zadań o charakterze publicznym". Ponieważ trudno sobie wyobrazić, żeby można było zamknąć firmę bez utraty miejsc pracy, oznacza to, że teraz praktycznie w każdym przypadku objęcia podmiotu sankcjami rząd będzie mógł ustanowić zarządcę komisarycznego (decyzja należy do ministra gospodarki). Teoretycznie jego zadaniem ma być sprzedaż firmy. Teoretycznie. Mamy tu jednak do czynienia z czymś niepokojąco zaczynającym przypominać lekko zamaskowaną nacjonalizację. Dodatkowo przewidziano możliwość wystąpienia do Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych o pieniądze na zaspokojenie należności wobec pracowników – czyli za strzelanie sankcjami na oślep zapłacimy wszyscy.

Czyli najpierw stworzono ustawę, w wyniku której zadeptano na ślepo ileś uczciwie działających firm, płacących w Polsce podatki i tworzących miejsca pracy. Teraz natomiast próbuje się rozwiązywać problemy, które się samemu stworzyło, wychodząc przed szereg. Bo przecież istnieje unijna lista sankcji – ale Polska, jak zwykle, musiała być prymusikiem, dokładając własną, autorską ustawę. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

Holenderska eutanazja rolnictwa

Łukasz Warzecha

Klimatystyczne lobby wzięło sobie rolnictwo za cel. W Holandii pod pręgierzem stawia się przede wszystkim duże gospodarstwa, te, które można zaliczyć do przemysłu rolniczego. Ma być ekologicznie, czyli mało wydajnie i drogo

W ubiegły wtorek o godz. 22.40 w Heernveen, niewielkiej miejscowości na zachodzie Holandii, na węźle dróg A32 i A7 policja ostrzelała traktor. Według komunikatu sił porządkowych kierujący próbował przejechać funkcjonariuszy i staranować policyjne pojazdy. Jednak na filmie z zajścia, który można znaleźć na Facebooku, wygląda to inaczej. Czerwony ciągnik z przyczepą został zablokowany na poboczu przez policję. Kierowca postanowił się jednak wyrwać z okrążenia, wjechał z pobocza na jezdnię, omijając policyjne samochody i funkcjonariuszy, po czym ruszył przed siebie. Jeden z policjantów strzelał od tyłu, gdy ciągnik już go minął. Z całą pewnością nie była to reakcja na jakiekolwiek zagrożenie.

Ten nieco absurdalnie wyglądający epizod (nagrywający film śmieją się nawet z niedowierzaniem zza kadru) to nie przypadek szalonego traktorzysty, ale jeden z aktów niemal już otwartej wojny pomiędzy holenderskim rządem Marka Ruttego a rolnikami w tym kraju. Wojny, o której w polskich mediach niemal się nie mówi, a która ma ogromne wręcz rozmiary, zwłaszcza jak na skalę państwa, w którym się rozgrywa.

PROTESTY NA DUŻĄ SKALĘ

W 2020 r. w Holandii było ok. 11 tys. gospodarstw rolnych. W 2018 r. 54 proc. gruntów w Holandii stanowiły ziemie uprawne (dla obecnego konfliktu ma to znaczenie, co wyjaśni się dalej). Holandia od lat jest jednym z największych eksporterów żywności. W rolnictwie pracuje jednak niecałe 2 proc. zatrudnionych (dla porównania – w 2019 r. w Polsce, według Banku Światowego, było to 9 proc.). Wiele holenderskich gospodarstw to duże farmy i widoczna jest tam trwała tendencja do powiększania ich obszaru. Według spisu rolnego z 2010 r. 13 proc. farm miało między 50 a 100 ha, stanowiąc aż 32 proc. całej ziemi uprawnej.

W pierwszym z holenderskich protestów, trochę ponad dwa tygodnie temu, wzięło udział 60 tys. ludzi, nie tylko zresztą rolników. Pojawiło się 20 tys. ciągników rolniczych. Ponieważ jednak ze strony rządu nie było gotowości do rozmów, a wręcz przeciwnie – premier Rutte nazwał rolników „agroterrorystami", z którymi nie podejmuje się dialogu – rolnicy zmienili nieco strategię. Wciąż odbywają się duże wiece, ale poza tym farmerzy starają się utrudniać funkcjonowanie kraju, gdzie się da, często spontanicznie, organizując np. nagłe blokady dróg. W ostatnim czasie zablokowali również centra dystrybucji produktów spożywczych, co błyskawicznie spowodowało, że w sklepach zaczęło brakować towarów. Rolnicy postarali się, żeby zadbać o swój PR – zaczęli umieszczać w sieci informacje, gdzie brakujące w sklepach produkty można kupić bezpośrednio od farmera, aby pokazać, kto faktycznie wytwarza żywność.

WYRZUCANIE ROLNIKÓW Z ICH GRUNTU

Stosunek koalicyjnego rządu Marka Ruttego do protestów przypomina stosunek premiera Justina Trudeau do protestów kierowców ciężarówek przeciwko covidowym restrykcjom kilka miesięcy temu. Jest równie nieprzejednany i arogancki. O co jednak właściwie chodzi?

Są dwa poziomy wyjaśnień – bardziej i mniej oficjalny. Ten bardziej oficjalny to tlenki azotu, których emisję w sektorze rolniczym trzeba podobno ograniczyć w imię walki ze zmianami klimatu. W holenderskim rządzie jest nawet stanowisko ministra do spraw natury i polityki azotowej, które zajmuje Christianne van der Wal z partii VVD premiera Ruttego, jako minister bez teki. Oprócz tego jest jeszcze „normalne" ministerstwo rolnictwa, natury i jakości żywności, którego szefem jest Henk Staghouwer z koalicyjnej Unii

eprasa.pl 660f69da97

Premier Holandii Mark Rutte nazwał protestujących rolników „agroterrorystami", z którymi nie podejmuje się dialogu FOT. ROBIN VAN LONKHUIJSEN/EPA/PAP

Chrześcijańskiej. O ograniczenie emisji azotu walczy głównie pani van der Wal.

Rzekoma konieczność wprowadzenia ostrzejszych norm wynika z tego, że część terenów uprawnych w Holandii objęły doskonale nam znane z Polski i problematyczne obszary programu Natura 2000, na których Holandia jednostronnie wprowadziła ostre normy emisji tych związków chemicznych – stukrotnie wyższe niż obowiązujące w sąsiednich Niemczech. Skutek jest taki, że część rolników miałaby zredukować emisję nawet o 95 proc., co jest oczywiście niewykonalne, szczególnie że w ciągu ostatnich 30 lat holenderskie rolnictwo i tak dokonało już redukcji o blisko 70 proc., podczas gdy od innych sektorów nie wymagano praktycznie niczego w tej dziedzinie i nie wymaga się nadal. Stąd również oburzenie rolników i poczucie braku równego traktowania. Kary za przekroczenie poziomów emisji z gospodarstw mają zaś być horrendalne.

Skoro norm nie da się spełnić, a kar rolnicy nie będą w stanie płacić, to pozostaje jedno: likwidacja farm i rezygnacja z hodowli zwierząt, co może dotknąć nawet jedną trzecią sektora. Rząd przygotował dla farmerów program odchodzenia z rolnictwa, wart ok. 750 mln euro. Rolnik może zatem po prostu sprzedać swoją ziemię. Możliwy jest też wykup całego majątku gospodarstwa przez państwo z wykorzystaniem wspomnianego funduszu za 100 proc. rynkowej wartości (wcześniej było to 65 proc. – rząd podwyższył ostatnio tę stawkę), co wiąże się z zobowiązaniem, że już nigdy nie będzie się w Holandii pracowało w rolnictwie. Natomiast gdy farmer nie ma ochoty współpracować, może zostać wywłaszczony – to jednak długotrwała procedura sądowa, dlatego rząd liczy na dobrowolne rezygnacje z pracy w rolnictwie.

Może się przeliczyć, ponieważ holenderscy rolnicy są może niewielką, ale bardzo spójną i zdeterminowaną grupą zawodową, w której działa bardzo silna zasada solidarności i – podobnie jak w Polsce – mocny jest etos przywiązania do ziemi. Dlatego w protestach biorą udział również ci farmerzy, którzy nie są obecnie zagrożeni. Zapewne rozumieją, że i na nich w końcu przyjdzie czas. Przypomina o tym bardzo elegancka nazwa rządowego programu: krajowy program terminacji lokalizacji gospodarstw hodowlanych. Może lepsze i bardziej holenderskie w duchu byłoby określenie „eutanazja".

Rolników z Holandii do wspólnego oporu może motywować również świadomość drugiej, mniej oficjalnej przyczyny działań rządu Marka Ruttego: deficyt ziemi. O tym sam premier mówi właściwie otwarcie. Nie mają też wątpliwości członkowie rolniczych związków, takich jak Farmers Defence Force. Przewodnicząca związku Sieta van Keimpema tłumaczy, że chodzi po prostu o wyrzucenie rolników z ich gruntu, a klimat jest tu tylko pretekstem. Rząd uważa, że Holandii brakuje miejsca pod przemysł, transport (rozbudowa amsterdamskiego lotniska Schiphol), usługi czy po prostu deweloperkę. Rolnicy posiadają zdaniem władzy za dużo gruntów, więc trzeba ich tej ziemi pozbawić. Van Keimpema, występując w ubiegłym tygodniu na jednym z rolniczych protestów, wskazywała, że nowe normy emisji tlenków azotu dla gospodarstw nie zostały uzasadnione żadnymi wyliczeniami. Nie wiadomo, co w praktyce miałyby dać i jaki miałyby odnieść skutek, gdy idzie o klimat. Można spokojnie założyć, że żaden, jako że mówimy o bardzo niewielkiej redukcji w skali globu. W zasadzie pomijalnej.

ABSURDALNE DZIAŁANIA RZĄDU

Holenderscy rolnicy są w bardzo trudnej sytuacji politycznej. Spośród ugrupowań zasiadających w holenderskim parlamencie tylko jedno wciąż dba o ich interesy – to utworzony w 2019 r. przez dziennikarkę Caroline van der Plas Ruch Rolniczo-Obywatelski (Boer Burger Beweging). Tyle że BBB ma zaledwie jednego posła – właśnie panią van der Plas.

Media nie wykazują dla rolników niemal żadnego zrozumienia. Sheila Sitalsing, publicystka „De Volkskrant", stwierdza, że większości ludzi nie interesują emocjonalne fantazje o jakimś „obywatelskim oporze", a poparcie dla władzy pozostaje stabilne.

Tom-Jan Meeus w „NRC Handelsblad" grzmi, że lobby rolnicze nie może wygrać tego starcia. „Jakiekolwiek zawahanie po stronie polityków zasygnalizuje rolnikom i agrobiznesowi: wasza taktyka blokowania [dróg i centrów dystrybucji] przynosi skutek". Meeus dodaje, że rolnictwo hodowlane szkodzi klimatowi, naturze i zatruwa wodę – z tym trzeba skończyć.

Dziennik apeluje też, aby premier Rutte wykazał się większą determinacją i działał twardo. „Ma być jasne – pisze gazeta – że przemoc i zagrożenie publicznego porządku będą skutkować konfiskatą traktorów, grzywnami i wyrokami pozbawienia wolności".

Przypomina to do złudzenia sytuację z Kanady, gdzie protestujących w Ottawie kierowców media nazywały „terrorystami", żądały ostrego rozprawienia się z nimi i przyklaskiwały agresywnym działaniom władzy.

Postępowanie holenderskiego rządu wydaje się tym bardziej absurdalne, że nikt nie ma dzisiaj wątpliwości, iż stoimy w obliczu kryzysu żywnościowego. „Terminacja" gospodarstw hodowlanych akurat teraz może mieć szczególnie fatalne skutki.

Trudno jednak nie widzieć holenderskiego konfliktu w szerszych kategoriach. Rolnicy z Holandii skarżą się, że na działania ich władzy nakłada się jeszcze Zielony Ład dla rolnictwa. A tego podwójnego obciążenia na pewno już nie wytrzymają. Klimatystyczne lobby wzięło sobie rolnictwo za cel. W Holandii, podobnie jak w Polsce w przypadku partii rządzącej, pod pręgierzem stawia się przede wszystkim duże gospodarstwa, te, które można zaliczyć do przemysłu rolniczego. Ma być ekologicznie, czyli mało wydajnie i drogo.

Nie wolno też lekceważyć faktu, że w istocie mamy do czynienia z lekko zakamuflowanym zamachem na prywatną własność. Holenderski casus, gdzie drugim dnem sprawy jest chęć odebrania rolnikom ziemi, pokazuje, że w tym wszystkim nie chodzi wcale o ratowanie planety, ale po prostu o brutalne interesy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

Otwieramy się na potrzeby społeczne

– Lasy Państwowe wprowadzają nowe regulacje w lasach wokół dużych miast i takich, w których ludzie chcą przede wszystkim wypoczywać. Wychodzimy naprzeciw społecznym oczekiwaniom – mówi Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych

Właśnie ruszyliśmy na pierwsze wakacje po pandemii, która pokazała nam, jak ważną rolę dla naszego zdrowia pełnią lasy. Czy Polacy chętnie jadą na wakacje do lasu?

Czy wybieramy się nad morze czy w góry lub nad jeziora, las będzie nam tam towarzyszył. Bo lasy porastają jedną trzecią kraju. Właśnie w lasach lub w ich bezpośrednim sąsiedztwie powstały ośrodki wypoczynkowe, ustawiane są domki letniskowe, lokowane kempingi i pola namiotowe. W naszym kraju w ogromnej większości będą to lasy zarządzane i zagospodarowywane przez Lasy Państwowe. Otwarte dla społeczeństwa, dostępne bez większych ograniczeń.

W opinii większości Polaków las sam rośnie i nie potrzebuje żadnego zarządzania. Co to znaczy, że jest „zarządzany"?

Warto to wyjaśnić, bo faktycznie z niezrozumienia roli lasów i leśnictwa bierze się sporo nieporozumień. Lasy

eprasa.pl 660f69da97

w naszym zarządzie są wielofunkcyjne. Służą letniej rekreacji i wypoczynkowi, od czego zaczęliśmy naszą rozmowę. Ale są także ostoją przyrody i filarem jej ochrony. W lasach występuje 36 tys. gatunków, większość krajowych gatunków dziko żyjących. Na terenach leśnych znajduje się ogromna większość rezerwatów przyrody. No i wreszcie las jest też źródłem znakomitego surowca – drewna. Odnawialnego surowca, którego używanie jest elementem ekologicznego stylu życia.

Aby las mógł wypełniać te zróżnicowane funkcje, musi być sprawnie i z rozmysłem zarządzany po to, by nie zaprzepaścić żadnego z jego walorów.

W niektórych miejscach w kraju, szczególnie w sąsiedztwie miast, obserwujemy ruchy społeczne, które upominają się o lasy. O co chodzi w takich przypadkach?

Cieszy nas z jednej strony, że Polacy tak masowo zwracają się w stronę przyrody. Że nie jest im obojętna, że chcą ją chronić i dbać o nią. To zrozumiała reakcja na życie w coraz bardziej stechnologizowanych miastach, na codzienny pęd, hałas, przesyt wrażeń. Chcemy odpoczywać w naturze. Nic nas nie relaksuje lepiej jak pobyt w zieleni. Jako leśnicy oferujemy Polakom tę przestrzeń do wypoczynku.

Ale tak jak bardzo oddaliliśmy się w codziennym życiu od natury, tak często mamy bardzo wygórowane oczekiwania względem tego, jak powinien wyglądać kraj za miastem, w tym lasy. Mieszkaniec miasta wyjeżdża z niego i chce trafić w okoliczności przypominające park. Z wygodnymi alejkami do spacerów, koszami na śmieci i brakiem śladów gospodarczego wykorzystania. Gdy dostrzega, że w lesie prowadzi się prace gospodarcze, to się irytuje. „Nie po to wyrywam się na parę godzin do lasu, żeby oglądać ścięte pniaki"!

Czy Lasy Państwowe odpowiedzą na takie głosy?

Podpisałem właśnie decyzję wprowadzającą wytyczne dla gospodarki leśnej, by, po pierwsze, właściwie identyfikować miejsca o zwiększonej funkcji społecznej, a po drugie – by modyfikować tam działania gospodarcze w toku konsultacji z samymi zainteresowanymi.

Zasady gospodarowania lasów o zwiększonej funkcji społecznej stawiają jako priorytet ich trwałość, bezpieczeństwo odwiedzających i utrzymanie walorów krajobrazowych. Prace leśne będą realizowane w sposób jak najbardziej zindywidualizowany, elastyczny. Wskazujemy, by gospodarz terenu myślał wręcz o pojedynczych drzewach i grupach drzew. Nie chodzi o całkowitą rezygnację z pozyskania drewna i przemiany pokoleń drzew, bo tylko w ten sposób jesteśmy w stanie utrzymać trwałość lasu dla naszych następców. Ale tam, gdzie tylko się da, będziemy eliminować zręby zupełne na rzecz cięć pojedynczych, grupowych.

Mówi pan jednak o kontynuowaniu działań gospodarczych. A więc w miejscach, gdzie ludzie chętniej spacerują, nie powstaną jednak parki czy rezerwaty przyrody?

Jestem pewien, że z takiego obrotu sprawy nie byliby zadowoleni sami zainteresowani. Orędownicy rezerwatów zapominają, że w rezerwacie priorytetem jest ochrona przyrody, a nie rekreacja. Poruszanie się po takim terenie ograniczałoby się wyłącznie do paru wyznaczonych szlaków. Po lesie gospodarczym, wielofunkcyjnym można wędrować nie tylko po każdej drodze i ścieżce, lecz także całkowicie dowolnie. Na przykład zbierając grzyby. Można zorganizować wydarzenie sportowe. Dodatkowo w rezerwacie kłopot mieliby właściciele psów, bo tylko w nielicznych przypadkach można do rezerwatu wejść z psem, oczywiście na smyczy. Na przykład w całym województwie mazowieckim tylko do jednego ze 189 rezerwatów można wybrać się z czworonogiem.

Rezerwaty są nam potrzebne, w zarządzie Lasów Państwowych znajduje się ich blisko 1,3 tys., ponad 70 proc. wszystkich rezerwatów w kraju. Ale z całą stanowczością twierdzę, że dla rekreacyjnego wykorzystania status lasu wielofunkcyjnego w zarządzie nadleśnictwa to rozwiązanie optymalne.

Co jeszcze będzie charakteryzować lasy o zwiększonej funkcji społecznej?

Wytyczne wskazują, by realizować prace gospodarcze w okresie, kiedy ruch turystyczny, rekreacyjny jest najmniejszy. Zabiegi gospodarcze mają być przede wszystkim nakierowane na poprawę stanu zdrowotnego lasu i zróżnicowanie jego struktury. W ostatnim roku odnotowaliśmy rekordową powierzchnię odnowień naturalnych, bo aż 17 proc. młodych lasów powstało z naturalnego obsiewu, a nie z sadzenia. W lasach o zwiększonej funkcji społecznej taki sposób odnawiania ma być priorytetowy.

Lasy Państwowe wydają spore środki na zagospodarowanie turystyczne.

I po to m.in. będziemy wyznaczać lasy o zwiększonej funkcji społecznej, by to właśnie tam w pierwszej kolejności kierować te nakłady. Co prawda, wydajemy także blisko 20 mln zł rocznie na uprzątanie śmieci, ale nie będziemy ustawiać koszy przy leśnych dróżkach. Wiele osób chciałoby takich standardów, zapominając, że zostawianie śmieci w lesie, również w koszach, to poważne zagrożenie dla zwierząt i zagrożenie pożarowe.

Na bezpieczeństwo pożarowe i bezpieczeństwo ludzi też zwracamy uwagę w wytycznych. Tam, gdzie dużo ludzi, tam tym bardziej konieczne są skrupulatny przegląd drzewostanu i usuwanie drzew obumarłych, pochylonych, czyli zagrażających upadkiem.

Od kiedy wchodzą nowe zasady?

W pełni będą wchodziły stopniowo, wraz z nowymi planami urządzenia lasu. Takie plany, charakteryzujące wszystkie działania gospodarcze w nadleśnictwach, powstają dla każdego nadleśnictwa raz na dekadę. Każdego roku plany opracowuje się dla ok. 40 nadleśnictw (10 proc. w kraju). Jednak z określaniem granic „lasów o zwiększonej funkcji społecznej" nadleśnictwa nie będą musiały czekać, aż obecne plany wygasną. Rozpocząć wytyczanie nowej kategorii lasów można będzie już 1 września.

Dodam jeszcze, że konsekwentnie podchodzimy do problemu lasów, w których rekreacja ma priorytetowe znaczenie. Elementy zarysowane w zarządzeniu zostaną zapisane w najważniejszych instrukcjach gospodarczych Lasów Państwowych. Zyskają przez to rangę kanonu prowadzenia gospodarki leśnej.

Wytyczne nie wprowadzą nagłej rewolucji. Wskazują drogę, której ostateczny finał można nastąpić na etapie tworzenia 10-letniego planu urządzenia lasu dla nadleśnictwa. To na etapie tworzenia planu, który podlega konsultacjom społecznym, można wypracować takie rozwiązania, które zadowolą wszystkich interesariuszy gospodarki leśnej. Rozwiązania będą miały swoją rangę, gdyż każdy plan zatwierdza się na poziomie Ministerstwa Klimatu i Środowiska.

rozmawiała: Patrycja Jabłońska

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 660f69da97

Katarzyna Pinkosz

Dzięki postępowi w medycynie część nowotworów hematologicznych można już dziś wyleczyć lub stają się one chorobami przewlekłymi. Na niektóre terapie pacjenci w Polsce wciąż jeszcze czekają. Często zbyt długo czekają też na diagnozę i rozpoczęcie leczenia

Na białaczkę nie trzeba umierać

Zanim szerokim echem odbił się artykuł Patryka Słowika w Wirtualnej Polsce „Śmierć na cito. Na białaczkę umrzyj w domu" o zbyt długim oczekiwaniu na leczenie, ten temat poruszali hematolodzy podczas konferencji „Hematologia kliniczna i doświadczalna", która odbyła się w maju w Lublinie. Podkreślali, że wyniki leczenia zależą nie tylko od możliwości stosowania skutecznych leków, lecz także od szybkiego postawienia diagnozy, kompleksowej diagnostyki oraz właściwego zaopiekowania się pacjentem. – Rozwiązania, które wprowadzamy w ramach pilotażu Krajowej Sieci Onkologicznej, mogą sprawdzić się też w opiece hematoonkologicznej – mówił prof. Adam Maciejczyk, prezes Krajowej Rady ds. Onkologii i dyrektor Dolnośląskiego Centrum Onkologii.

Wprowadzenie tego typu rozwiązań w hematoonkologii eksperci postulowali jeszcze przed pandemią COVID-19. – Na bazie naszych prac powstała koncepcja Krajowej Sieci Hematologicznej – zaznaczała prof. Ewa Lech-Marańda, krajowy konsultant w dziedzinie hematoonkologii, podkreślając, że konieczne jest wprowadzenie standardów, by każdy pacjent mógł być diagnozowany i leczony według takiego samego schematu, niezależnie, w jakim miejscu Polski mieszka i jest leczony.

Wyniki leczenia nowotworów hematoonkologicznych w Polsce poprawiają się, jednak ogromnym problemem są niedobory lekarzy. Polscy hematolodzy są świetnie wykształceni i doceniani na świecie, jednak jest ich zdecydowanie zbyt mało. – Na koniec grudnia 2021 r. mieliśmy 556 czynnych hematologów, co daje wskaźnik 1,46 specjalisty hematologa na 100 tys. mieszkańców. Optymalny wskaźnik powinien wynosić powyżej 2–2,5 – przyznawała prof. Ewa Lech Marańda podczas posiedzenia senackiej Komisji Zdrowia, które odbyło się przed kilkoma dniami. Zwracała też uwagę na zbyt niskie wyceny procedur hematologicznych, co powoduje niechęć wielu dyrektorów szpitali do tworzenia oddziałów hematologicznych, przez co „obłożenie" łóżek hematologicznych jest ponadstuprocentowe. Ogromnym problemem jest często wielomiesięczne oczekiwanie na wizytę do hematologa, a w wielu przypadkach także zbyt długie oczekiwanie na przyjęcie do szpitala.

Obecny na posiedzeniu komisji wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski deklarował wprowadzenie wielu zmian: m.in. pacjent mający skierowanie do szpitala ma być badany w poradni przyszpitalnej, gdzie lekarz oceni, czy i jak szybko konieczna jest hospitalizacja.

NOWE TERAPIE TO NOWE NADZIEJE

Oprócz dobrej organizacji podstawą leczenia nowotworów hematologicznych są możliwość przeprowadzenia szybkiej i kompleksowej diagnostyki oraz dostęp do skutecznych terapii. I tu widać plusy: postęp, jaki dokonał się w leczeniu, widać w Pol-

eprasa.pl 660f69da97

FOT. ADOBE STOCK

Anna Kupiecka, prezes Fundacji OnkoCafe Razem Lepiej:

Pacjenci hematoonkologiczni wciąż borykają się z wieloma problemami, choć zauważamy i doceniamy korzystne zmiany w dostępie do innowacyjnych terapii w ostatnich latach. Jednak pewne kluczowe potrzeby wciąż są niezaspokojone, np. z niecierpliwością oczekujemy na zakończenie prac i wdrożenie polskiego rejestru onkohematologicznego (PROH), który ma być elementem zintegrowanej platformy eKRN+.
Dociera do nas wiele głosów lekarzy, kierowników klinik, dyrektorów szpitali o tym, że brakuje miejsc w szpitalach, przez co pacjenci hematoonkologiczni często zbyt długo czekają na hospitalizację, jak również na wizytę u hematologa. Taka sytuacja nie powinna mieć miejsca, ponieważ niektóre choroby krwi postępują bardzo szybko. Wielomiesięczne oczekiwanie na wizytę u specjalisty generuje ogromny lęk u pacjenta, choroba postępuje, podczas gdy powinna być zdiagnozowana i leczona. Na niedawnym posiedzeniu senackiej Komisji Zdrowia konsultant krajowa wskazywała, że jednym z rozwiązań mogłoby być rozszerzenie pakietu badań diagnostycznych, które mogliby zlecać lekarze POZ. Może to być bardzo korzystne, potrzebne są jednak rozwiązania, które zabezpieczą przed tym, by pacjent przez to na dłużej „nie utknął" w POZ, tylko w odpowiednim czasie trafił do hematologa.
Jeśli chodzi o potrzeby lekowe, to z dużym zadowoleniem obserwujemy trend ostatnich lat udostępniania przez Ministerstwo Zdrowia coraz szybciej nowoczesnych terapii dla coraz większych grup pacjentów. Problemem jest jednak nadal dostępność do skutecznych terapii w pierwszej linii, która jest bardzo ważna w perspektywie dalszego rozwoju choroby. W przypadku chorób hematologicznych mówimy tu zwłaszcza o przewlekłej białaczce limfocytowej. Podczas ostatniego spotkania ministerstwo poinformowało nas, że nowe leki są w procesie refundacyjnym. Mam nadzieję, że zostaną one jak najszybciej udostępnione polskim pacjentom, gdyż każdy miesiąc zwłoki to dla nich strata szansy na skuteczne leczenie. Szczególnie ważną grupą są chorzy z wysokim ryzykiem progresji, genetycznymi abberacjami, kiedy to inhibitory kinazy Brutona niwelują niekorzystne ryzyko z tym związane i terapia jest równie skuteczna jak u pacjentów, którzy takiego ryzyka nie mają. Bardzo czekamy na nowe refundacje w pierwszej linii leczenia, zwłaszcza że nowoczesna terapia jest już refundowana w 22 krajach Europy. Lekarze są gotowi stosować wszystkie nowoczesne metody leczenia, mają na ten temat wiedzę i chcieliby dysponować takimi samymi możliwościami jak od lat ich koledzy w innych krajach.

sce – niemal na każdej liście refundacyjnej pojawiają się nowe terapie dla chorych.

– W ciągu ostatnich trzech lat minister zdrowia wydał wiele ważnych decyzji refundacyjnych, dzięki którym bardzo poprawił się dostęp do nowoczesnego leczenia dla polskich pacjentów hematoonkologicznych. Na przełomie lat 2020 i 2021 ukazała się lista priorytetów refundacyjnych w hematologii, stworzona na podstawie głosów ekspertów (TOP 10 HEMATO). Być może do końca 2022 r. ok. 90 proc. leków z tej listy stanie się dostępne, co będzie ogromnym postępem i sukcesem refundacyjnym. Przede wszystkim przyczyni się do istotnej poprawy w dostępie do nowoczesnych terapii dla pacjentów – zaznacza prof. Lech-Marańda.

Tylko w ostatnim czasie na listy trafiło wiele nowych terapii, m.in. jedna z najnowocześniejszych technologii w medycynie, czyli technologia CAR-T. Nowe leki zyskali też m.in. chorzy na ostrą białaczkę limfocytową, nawrotowego lub opornego chłoniaka rozlanego z dużych komórek B, ostrą białaczką szpikową z mutacją genu FLT3, ostrą białaczkę limfoblastyczną B-komórkową, szpiczaka plazmocytowego. Na ostatniej, lipcowej liście kolejną nowością jest lek stosowany w celu zapobiegania reaktywacji wirusa cytomegalii u chorych po allogenicznym przeszczepie szpiku.

POTRZEBNA LEPSZA PIERWSZA LINIA

Wciąż jeszcze jednak na niektóre leki pacjenci w Polsce czekają. – Obecnie najpilniejszą potrzebą i priorytetem refundacyjnym jest zwiększenie dostępu do nowoczesnych terapii dla chorych na ostre białaczki szpikowe, jak również na nawrotowego lub opornego chłoniaka z komórek płaszcza. W przypadku przewlekłej białaczki limfocytowej priorytetem jest zapewnienie dostępu do inhibitorów kinazy Brutona (ibrutynib i akalabrutynib) w pierwszej linii leczenia chorych z niekorzystnymi zaburzeniami genetycznymi (mutacje/delecje TP53 i niezmutowany region IGHV). Procesy refundacyjne dla obu tych leków są w toku – dodaje prof. Lech-Marańda.

Na chorych z przewlekłą białaczką limfocytową (PBL) zwraca też uwagę prof. Iwona Hus. – Bardzo cieszymy się z ostatnich zmian: mamy dostępne leczenie wenetoklaksem z obinutuzumabem. Pozostają jednak pacjenci mający niekorzystne ryzyko cytogenetyczne: z delecją 17p, mutacją TP53. Nie powinni oni otrzymywać immunochemioterapii już od pierwszej linii leczenia. Niestety, na razie nowoczesne leczenie jest dla nich możliwe dopiero od drugiej linii. W tej grupie przebieg PBL może być znacznie bardziej agresywny, dlatego chcielibyśmy mieć możliwość stosowania u tych pacjentów nowoczesnych leków już od pierwszej linii. Mieliśmy sytuacje, kiedy chorzy nie doczekali do leczenia drugiej linii: zmarli albo z powodu samej choroby, albo powikłań immunochemioterapii – mówi prof. Hus.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

FOT. ADOBE STOCK

Z dr hab. Barbarą Radecką z Kliniki Onkologii Opolskiego Centrum Onkologii i Uniwersytetu Opolskiego
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Największy problem to niedobory kadrowe

KATARZYNA PINKOSZ: Rak piersi to najczęstszy nowotwór u kobiet. W Polsce ogromnym problemem jest to, że rośnie nie tylko zachorowalność, lecz także umieralność. Dlaczego?

DR HAB. BARBARA RADECKA: W ostatnim okresie obserwujemy rosnący trend umieralności z powodu raka piersi; jest bardzo niepokojący. Od lat 90. XX w., kiedy to w wielu krajach wprowadzano populacyjne badania przesiewowe, obserwowano zmniejszenie wskaźników umieralności. W Polsce doszło obecnie do załamania tego trendu. Z danych NIO-PIB wynika, że to niepokojące zjawisko dotyczy głównie kobiet po menopauzie, a szczególnie powyżej 65. roku życia. Daje to do myślenia, ponieważ badania przesiewowe w Polsce są realizowane do 69. roku życia. Może to powodować, że starsze panie znacznie rzadziej wykonują mammografię. Być może rozpoznajemy u nich raki w wyższych stopniach zaawansowania, co przekłada się na gorsze wyniki przeżyć.

Zapewne część kobiet myśli, że skoro przekroczyły wiek 69 lat i nie są objęte badaniami przesiewowymi, to już rak im nie grozi. Warto przedłużyć program profilaktyczny?

Wielu ekspertów uważa, że należy go przedłużyć co najmniej o pięć lat. I druga kwestia: badania są przeprowadzane w ramach Narodowego Programu Zwalczania Chorób Nowotworowych, którego mamy kolejną edycję. Niepokoi fakt, że zrezygnowano z imiennych zaproszeń wysyłanych do kobiet z populacji objętej badaniem. Wydaje się, że może to spowodować dalsze zmniejszenie zgłaszalności. Powinniśmy wrócić do imiennych zaproszeń i wydłużyć okres badań profilaktycznych o pięć lat, zwłaszcza że od projektowania programu (lata 70.–90. XX w.) czas życia kobiet się wydłużył. Jest więc coraz większa populacja kobiet nieobjętych badaniami.

Nowotwór zwykle można wcześnie wykryć, gdy jest szansa na wyleczenie. Kiedy kobieta powinna zgłosić się na badania profilaktyczne?

Skupiamy się na wykonywaniu mammografii w grupie wiekowej, w której jest największe prawdopodobieństwo rozpoznania raka piersi. Bardzo ważne jest też podnoszenie ogólnej świadomości społecznej, aby kobiety same się badały i wiedziały, jakie są niepokojące objawy. Jeśli chcemy wychować społeczeństwo, w którym chodzenie na mammografię będzie standardem opieki i dbałości o własne zdrowie, to musimy zacząć od młodych pokoleń, od edukacji gimnazjalistek, licealistek, od mówienia, że obserwacja własnego ciała jest bardzo ważna. Profilaktyczne badania przesiewowe, oparte na mammografii, kierujemy do kobiet powyżej 50. roku życia: u nich jest ona badaniem o adekwatnej czułości i swoistości. Profilaktyka powinna wyglądać różnie na różnych etapach życia, jednak na każdym konieczne jest zwracanie uwagi na niepokojące objawy.

Czy dziś, po trzech latach pandemii COVID-19, więcej jest chorych na raka piersi w bardziej zaawansowanym stanie? Widać tzw. dług zdrowotny?

Niestety, tak. Pojawia się dość dużo pań z zaawansowanymi guzami. W codziennej praktyce spotykamy kobiety z „guzem wielkości mandarynki", a także guzami 8–10-centymetrowymi, z naciekaniem przez nowotwór ściany klatki piersiowej, węzłów chłonnych w okolicy nadobojczykowej, a więc z chorobą zaawansowaną,

eprasa.pl 660f69da97

która toczyła się już dwa–trzy lata wcześniej. Wykrywanie raka piersi w takim stadium kilka lat temu było już rzadkością.

Przez wiele lat media prowadziły liczne mądre działania edukacyjne; temat raka piersi był widoczny w kolorowych mediach, w telenowelach, oswajany w przestrzeni publicznej. Natomiast przez ostatnie trzy lata wszystkie media zajmowały się tematem pandemii, obecnie także wojną. To bardzo ważne tematy, niestety „wypchnęły" inne, m.in. temat raka piersi. Zawsze w październiku, Miesiącu Różowej Wstążki, przypominaliśmy o raku piersi. W czasie pandemii nie, a takie działania mają znaczenie, utrwalają w naszej świadomości rozumienie raka piersi i potrzebę badań.

Większa liczba chorych w bardziej zaawansowanych stadiach choroby to też dużo większe obciążenie dla szpitali. Jak sobie radzą i jakie działania podjąć, by zoptymalizować leczenie?

Z jednej strony mamy ogromny dług zdrowotny; w onkologii przekłada się na to, że pacjentka ma nie tylko zaawansowanego raka piersi, lecz także np. nieuregulowaną cukrzycę, nieleczone nadciśnienie, niedoczynność tarczycy ostatnio kontrolowaną dwa lata temu. Aby przystąpić do intensywnego leczenia onkologicznego, trzeba uporządkować wiele innych problemów zdrowotnych. To wszystko opóźnia wdrożenie leczenia.

Z drugiej strony, leczenie raka piersi jest elementem systemu: diagnostyki, leczenia, rehabilitacji; każdy z tych etapów ma specyficzne problemy. Jednym z najważniejszych są opóźnienia w diagnostyce: zarówno w badaniach obrazowych, jak i histopatologicznych. Największą bolączką są niedobory kadrowe – lekarzy, pielęgniarek, diagnostów, radiologów, patomorfologów. Mamy dosyć dobre wysycenie kraju aparatami do obrazowania ciała, możemy względnie szybko wykonać badanie rezonansowe, jednak kilka tygodni czekamy na opis. Nowy aparat nie zwiększy przecież liczby osób, które potrafią go obsłużyć i zinterpretować wynik badania. W wielu miejscach kraju długo oczekujemy na wynik badania histopatologicznego, który dziś jest podstawą w onkologii.

Niestety, kadry odbudować najtrudniej, to trwa lata...

Dlatego na każdym kroku powinniśmy myśleć, w jaki sposób usprawnić działania, by oszczędzać kadry. Podam dwa przykłady z zakresu onkologii klinicznej. Pierwszy to zastosowanie infuzorów do chemioterapii w warunkach domowych. Mam na myśli 24-, 48- czy 96-godzinne wlewy realizowane przy pomocy infuzorów, które pacjent zabiera do domu. Pacjent nie musi przebywać w szpitalu, co jest korzystne dla niego i dla systemu, w którym można bardziej optymalnie wykorzystać zasoby łóżkowe i kadrowe.

Drugim przykładem jest stosowanie bardziej przyjaznych, a mniej absorbujących form leczenia. Mam na myśli zamianę leczenia dożylnego na doustne lub podskórne – są preparaty, które można stosować zamiennie. Dzięki temu oszczędzamy zasoby apteki szpitalnej, kadrę pielęgniarską. Na każdym etapie warto stosować działania, które „oszczędzają" zasoby kadrowe. W wielu krajach leki podskórne w onkologii pacjenci mogą otrzymywać w domu. Również w Polsce są już realizowane podobne programy, np. w reumatologii. Myślę, że również w onkologii tak będzie w przyszłości, gdyż rozwija się ona jako specjalizacja, która chce jak najmniej „wiązać" pacjenta ze szpitalem, a leki podawane podskórnie świetnie się do tego nadają. Pandemia i związane z nią ryzyko zakażenia jeszcze bardziej uświadomiły nam potrzebę upowszechniania bardziej przyjaznych sposobów leczenia.

Terapia podskórna ma taką samą skuteczność jak dożylna?

Każda zamiana leków w onkologii – z dożylnej na podskórną, z dożylnej na doustną – jest możliwa tylko, jeśli preparat o bardziej przyjaznej formie jest równie skuteczny jak dożylny. Dysponujemy wieloma badaniami ankietowymi, które wskazują, że zarówno pacjenci, jak i personel medyczny preferują bardziej przyjazne formy leczenia, pod warunkiem takiej samej skuteczności.

Więcej pacjentek, bardziej zaawansowane stany, niedobory kadrowe – to sygnał alarmowy, że trzeba jak najszybciej podjąć działania. Zwłaszcza że są dostępne bardzo nowoczesne leki, które stanowią szansę dla wielu kobiet.

Ostatnio znacząco poprawił się dostęp do refundowanych nowoczesnych terapii, choć oczywiście są jeszcze leki, na które czekamy. Ale refundacja to nie wszystko; ważne, by możliwie wcześnie rozpoznać chorobę. Czasem widzimy paradoks, że byłby dostępny dobry, nowoczesny, refundowany lek, ale stan chorego i zaawansowanie choroby uniemożliwiają zastosowanie terapii.

Po kilku latach pandemii musimy ponownie zacząć oswajać temat raka piersi, by znów uświadomić kobietom, że należy się badać; każda z nas może uratować swoje życie, jeśli zgłosi się na badania profilaktyczne lub do lekarza zaraz po zauważeniu niepokojących objawów.

Anna Kupiecka, prezes Fundacji OnkoCafe Razem Lepiej:

Priorytetem zawsze jest to, żeby dostać lek skuteczny, który przyniesie oczekiwany efekt kliniczny. Każdy z nas walczy o życie. Jednak jego jakość w trakcie leczenia często się pogarsza, dlatego należy robić wszystko, co możliwe, by o nią zadbać. Lepszą jakość życia dają nam nowoczesne terapie w innych formach podania: podskórne, doustne. Kobieta czuje się bardziej komfortowo; wie, że takie leczenie jest tak samo skuteczne jak we wlewie, jednak może krócej przebywać w szpitalu.

Epidemia COVID-19 uświadomiła, jak to jest ważne. Terapie podskórne zmniejszają narażenie pacjentek na zakażenia, zaoszczędzają ich czas, a także czas personelu medycznego, generują oszczędności dla systemu ochrony zdrowia, a efekt kliniczny jest taki sam. Z naszej perspektywy niezmiernie ważne jest stosowanie terapii podskórnych lub doustnych, jeśli to tylko możliwe. Wiele kobiet podkreśla, że nie musi iść na cały dzień do szpitala na podanie dożylne leku; jeśli pracują w miarę blisko, to mogą na krótko wyjść z pracy na podanie leku i wrócić albo na dwie–trzy godziny wychodzą z domu. Komfort psychiczny jest ogromny, kobiety często mówią: „Wyskoczyłam do szpitala na podanie podskórne", „Poszłam tylko do zabiegowego". To zupełnie inne funkcjonowanie.

Pacjentki z rakiem piersi to kobiety bardzo świadome, chcą prowadzić normalne życie rodzinne, społeczne, zawodowe – na ile pozwalają im choroba i leczenie. Niezwykle ważną rolą kobiety jest także bycie mamą, babcią. Zawsze staramy się zrobić wszystko, by móc jak najwięcej czasu poświęcić sobie, spędzić go z rodziną, a nie przesiedzieć w szpitalu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 660f69da97

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI HUAWEI FREEBUDS PRO 2

Świetna jakość dźwięku, zwłaszcza niskich i średnich tonów, obsługa kodeka LDAC, skuteczny system redukcji hałasu otoczenia, intuicyjny system sterowania oraz możliwość połączenia z dwoma urządzeniami jednocześnie – to największe zalety nowych słuchawek chińskiego producenta, które powstały we współpracy z firmą Devialet, czyli z francuskimi specjalistami od bardzo dobrego dźwięku.

Testowany model na pierwszy rzut oka (i na szczęście również ucha) wydaje się doskonały niemal w każdym aspekcie, choć dwutygodniowy test pokazał, że w niektórych obszarach nadal jest przestrzeń do poprawy. Eleganckie, minimalistycznie zaprojektowane, przyjemne w dotyku etui, z wyraźnym logo Huawei i Devialet, jest wykonane z wysokiej jakości materiałów. Również same słuchawki, wzornictwem przypominające nieco gadżet rodem z NASA, nie pozostawiają złudzeń: mamy w uchu produkt klasy premium. Tak też go czuć. Chińskim inżynierom udało się zaprojektować słuchawki, które są bardzo komfortowe nawet przy wielogodzinnym użytkowaniu.

Słuchawki można łatwo sparować z każdym smartfonowym systemem operacyjnym, niezależnie od tego, czy jest to iOS, Android czy własny system Huawei. W modelu FreeBuds Pro 2 do aktywnej redukcji hałasu (ANC) otoczenia zastosowano aż trzy mikrofony, co – według marketingowców producenta – zwiększa skuteczność działania systemu ANC aż o 15 proc. W niektórych sytuacjach ma to umożliwiać osiągnięcie redukcji szumów na poziomie do 47 dB. Nieprzyjemny odgłos silnika znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zaawansowane technologicznie mikrofony zapewniają również bardzo dobrą jakość połączeń głosowych.

Owocem chińsko-francuskiej miłości do dźwięku są jednocześnie pierwsze na świecie słuchawki TWS z Hi-Res Dual Sound (mają dwa zintegrowane przetworniki). Słuchawki obsługują kodeki SBC, AAC, LHDC oraz LDAC, co umożliwia słuchanie nagrań audio wysokiej rozdzielczości. Jak brzmią? Bardzo dobrze. Scena dźwiękowa jest przestronna. A jakość nagrań jest wyraźnie lepsza od poprzednich modeli słuchawek Huawei. Szczególnie dobrze brzmią tony niskie oraz średnie.

Baterie w słuchawkach w połączeniu z akumulatorem w etui zapewniają łącznie ok. 30 godzin pracy – przy wyłączonej redukcji hałasu. To niezwykły wynik, porównywalny z osiągami droższych producentów. Przy włączonym ANC słuchawki tracą jednak energię szybciej niż niektórzy konkurenci.

Inne wady? Nieco lepsza mogłaby być jakość odtwarzania wysokich tonów. Wyższa mogłaby być też odporność na kontakt z wodą: w przypadku FreeBuds Pro 2 tzw. IP rating to 54 – jest to więc stosunkowo niski stopień ochrony. Słuchawki są chronione przed niewielką ilością wody bryzgającą z dowolnego kierunku (czyt. delikatnymi zachlapaniami), ale nawet na krótko nie mogą wpaść do wody. Szkoda. W niektórych produktach konkurencji IP wynosi już bowiem 57, co oznacza ochronę nie tylko przed silną strugą wody, lecz także przed skutkami zanurzenia w wodzie.

Mimo tych minusów słuchawki Huawei mogą śmiało stanąć w szranki z airpodsami Pro firmy Apple czy samsungowymi Galaxy Buds Pro. Nowy model dostępny jest w trzech kolorach: białym, niebieskim i srebrnym (w rzeczywistości niby srebrnym, niby czarnym i właśnie ten wariant wydaje mi się najbardziej elegancki). Cena: 799 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SMARTFON DLA FANÓW METAVERSE

HTC Desire 22 Pro. Tak nazywa się najnowszy model tajwańskiej firmy, która niegdyś była jednym z liderów smartfonowego rynku, ale kilka lat temu przegrała rywalizację z konkurentami z Korei Południowej, USA i Chin. HTC Desire 22 Pro to próba wielkiego powrotu. Nowy model marketingowcy HTC przedstawiają jako pierwszy na świecie smartfon dla fanów świata metaverse, czyli wirtualnej rzeczywistości połączonej z mediami społecznościowymi. Według producenta nowy model idealnie sprawdzi się jako element zestawu wirtualnej rzeczywistości HTC Vive Flow, co ma pozwalać oglądać filmy i seriale niczym w olbrzymim prywatnym kinie. Ciekawym dodatkiem Desire 22 Pro jest również cyfrowy, darmowy portfel do zarządzania zasobami kryptowalut oraz zasobów NFT. Pod względem podzespołów to jednak urządzenie ze średniej półki z dość przeciętnym procesorem Qualcomm Snapdragon 695, 8 GB pamięci RAM oraz 6,6-calowym ekranem Full HD+ z odświeżaniem na poziomie 120 Hz. Cena: ok. 2,2 tys. zł.

NOWE PROPORCJE EKRANU?

Monitor DualUp południowo-koreańskiej firmy LG zajmuje mniej więcej tyle miejsca, ile jeden monitor, ale dzięki proporcjom ekranu 16:18 udostępnia użytkownikom tyle przestrzeni roboczej co dwa monitory 21,5-calowe o proporcjach 16:9. Z założenia więcej przestrzeni ma przekładać się na wyższą produktywność i zrewolucjonizować życie w korporacjach. Urządzenie można już kupić nad Wisłą. Komfort pracy zwiększać ma nie tylko wyświetlacz o rozdzielczości QHD (2560 x 2880), lecz także regulowane ramię Ergo, które pozwala na zamontowanie monitora do ekranu czy stołu. Cena: 3199 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 660f69da97

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Kolegiata poznaczona szablami

JACEK KOMUDA

Kościół pw. św. Marcina w Opatowie to jeden z najwspanialszych zabytków architektury romańskiej w Polsce. Ufundowany w pierwszej połowie XII w., być może przez księcia Henryka Sandomierskiego, najsławniejszego polskiego krzyżowca, wraz z kolejnymi przebudowami, pożarami, najazdami i katastrofami obrósł w mity i legendy, które równie trudno potwierdzić, jak i obalić. Najstarsze źródła pisane wspominają, że sam Opatów istniał już w 1189 r., wzniesiony na miejscu osady zwanej Żmigrodem. Od 1206 r. wspominani są miejscowi kanonicy, w XV w. kościół opisany

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. QBA

został przez Długosza, który w portalu głównym widział uszkodzone posągi w strojach przypominających… templariuszy. Stąd hipoteza, że kolegiatę zbudować mieli członkowie zakonu rycerskiego sprowadzeni na ziemię sandomierską przez Henryka Sandomierskiego. Przypuszczenie, oparte głównie na pismach Długosza, zostało jednak obalone pod koniec XIX w. przez prof. Władysława Łuszczkiewicza, który uznał, że kościół powstał od razu jako obiekt przeznaczony na katedrę lub kolegiatę, natomiast nie był świątynią klasztorną.

O historii i burzliwych dziejach Opatowa dowiedzieć się można prawie wszystkiego z przewodników. Z kolegiatą związany jest jednak ciekawy szczegół, mianowicie znajdujące się na murach rysy i okrągłe dziury, widoczne zwłaszcza od strony wschodniej – po wejściu na teren kościelny od dzisiejszej ulicy Tadeusza Kościuszki. Łuszczkiewicz uznał, że są to pozostałości po odbywających się tutaj sejmikach województwa sandomierskiego, z których pierwsze, jak potwierdzono, datowane są już na koniec XV stulecia. Wgłębienia miałyby być po prostu śladami ostrzenia szabel szlacheckich na murach kościoła, obrady często bowiem kończyły się awanturami.

Już samo wyznaczenie Opatowa na miejsca sejmików przebiegało dziwnie. Jak podaje Wojciech Kriegseisen, pierwsze zjazdy odbywały się tutaj na przełomie XV i XVI stulecia, podczas gdy w 1519 r. wyznaczono jako miejsce sejmikowania Sandomierz. Jednak na przekór tej uchwale szlachta zjeżdżała właśnie do Opatowa. W 1715 r. na miejscowym sejmiku połamał sobie zęby wytrwały „rwacz sejmikowy", starościc pilzneński Franciszek Tarło, który usiłował zerwać obrady, do czego nie dopuszczono. Wzburzenie przeciwko niemu było tak wielkie, że musiał oblatować dokumenty stwierdzające rzekomą nieważność zjazdu… dopiero w Krakowie. W 1713 r. doszło w Opatowie do rozruchów przy okazji rozerwania sejmiku deputackiego, kiedy czeladź przybyłej szlachty zaczęła napastować miejscowych Żydów, a w ich obronie stanęła rajtaria miecznika koronnego Stanisława Denhoffa. W trakcie starcia zabito pana Romera, który ująwszy się za sługą i zebrawszy panów braci, uderzył na rajtarów. Sam zresztą Denhoff wielokrotnie zrywał sejmiki opatowskie i przybywał na nie w asyście prywatnych oddziałów wojskowych. Wcześniej, bo pod koniec XVII w., sławne były bankiety, które wydawał dla przyjeżdżającej na sejmik szlachty książę Dominik Mikołaj Radziwiłł.

Czy jednak rzeczywiście szlachta przybywająca na sejmik wojewódzki do Opatowa ostrzyła szable na murach kolegiaty? Nie jest to jedyna legenda związana ze wspomnianymi żłobieniami. Inne podają, że powstały, kiedy ostrzono tutaj średniowieczne miecze, a nawet że wyżłobili je Tatarzy, kiedy w 1502 r. zdobyli i spalili miasteczko razem z kościołem. Ile w tym prawdy?

Zacznijmy od praktyki – na krótkich wgłębieniach nie da się zaostrzyć prostego miecza. Zakrzywioną szablę, tylko z wielkim trudem – i to w dodatku sam sztych, a przecież broń ta ostrzona była z jednej strony aż do połowy głowni – do zastawy. Jeszcze gorzej ostrzy się na murach kościoła odwrotną, wklęsłą stronę pióra na końcu. Co więcej – niektóre z wyżłobień nie są proste, ale zakrzywione, więc trudno dopasować do nich głownię broni. Czy zatem opowieść o ostrzeniu szabel na kamiennych ciosach to tylko legenda?

Nie do końca, gdyż bruzdy mogły powstać w inny sposób i są znacznie starsze niż tradycja organizowania sejmików w Opatowie. Być może mają związek z pogańskimi rytuałami, które przetrwały aż do XIX w. Chodzi tutaj o kult rytualnego rozniecania ognia na murach świątyni, który w Wielką Sobotę roznoszony był do domów, zapewniając szczęście i zdrowie. Obyczaj ten poświadcza obecność na murach kolegiaty niewielkich wgłębień, które zapewne służyły do rozniecania ognia za pomocą tzw. świdrów ogniowych. Co więcej, do domów zabierano także pył i okruchy świętych murów. Na przykładzie kolegiaty w Opatowie widać zatem, jak bardzo tradycja pogańska i słowiańska zrosła się z chrześcijaństwem. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Legumina na chlebie

Jeśli podczas wakacyjnych podróży zechcą państwo odwiedzić Wilanów, to niech zaplanują państwo swój przyjazd tak, aby wziąć udział w warsztatach kulinarnych prowadzonych w Muzeum Pałacu Jana III Sobieskiego w Wilanowie. To zajęcia dla całej rodziny, podczas których poznaje się dawną kuchnię polską, a także zasady savoir-vivre'u i podstawowe pojęcia z dziedziny kultury stołu. To bardzo ciekawa inicjatywa, która znalazła już spore grono swoich zwolenników.

Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie w ogóle prężnie działa, promując dawną kulturę polskiego dworu. I tak np. wydana tu została pierwsza polska książka kulinarna pod tajemniczo brzmiącym tytułem „Compendium Ferculorum albo zebranie potraw" Stanisława Czernickiego – książka wydana po raz pierwszy w Krakowie w 1682 r.

Kolejny tom wydany w Wilanowie to „Zbiór dla kuchmistrza tak potraw jako ciast robienia wypisany roku 1757 dnia 24 lipca". Zawiera m.in. przepisy Rozalii z Zahorowskich Pociejowej oraz jej córki Ludwiki Honoraty Lubomirskej. Co jadali dawni Polacy? Kiedy przeglądałyśmy książkę, uderzyła nas mnogość przepisów na... kaszę. Zupełnie nietypowych – np. kasza z mieszanej jajeśnicy, szczodrze oszafranionej albo z marchwi, z suchych jabłek, z jeleniej krwie, z nowego bzu.

Polska dawna kuchnia słynęła z ryb słodkowodnych, są więc przepisy na minogi, na szczuki, łososie, sztokfisze w siemieniu, są raki i oczywiście sporo przepisów na drób. Dawniej kucharz był też lekarzem, więc w domach, dworach i pałacach przyrządzano nalewki na różne choroby. Znajdziemy tu np. przepis na wódkę na żołądek od doktora Gawłockiego, w której skład wchodziły m.in. skórka pomarańczowa, kwiat rumianku, miętka kędzierzawa, koper włoski, kmin, anyż, węgierskie wino i piwo.

Oprócz przepisów jest sporo rad dotyczących prowadzenia gospodarstwa domowego i folwarku – zagród, sadu i ogrodu. Na przykład, jak sadzić karczochy? „Na wiorzysku jako najujgnilszym pod pełnią. W dół cienszymi końcami". Na krety radzono sadzić wszędzie czosnek. Sporo też rad dotyczących uprawy drzew i kwiatów.

Bogata polska kuchnia historyczna została zaprezentowana podczas pierwszego spotkania Klubu Dyplomaty w pałacu Pod Blachą (tygodnik „Do Rzeczy" był patronem tego przedsięwzięcia). Kuchmistrz Jarosław Uściński, szef Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Szefów Kuchni i Cukierni, przyrządził dla dyplomatów kolację, podczas której podał m.in. polędwicę z jelenia marynowaną w winie z korzeniami i obsmażoną na różowo. Ryby słodkowodne reprezentował sum na modrej kapuście, były też boczek prasowany wolno pieczony i pasztet z szarpanych mięs z dodatkiem porto.

Na deser była legumina na chlebie wojskowym. Smakuje lepiej niż panna cotta i crème brûlée razem wzięte. Jak przyrządzić taki deser?

Pięć całych jajek rozmieszać z 1 litrem mleka, dodać cukier waniliowy – na oko. Tą masą należy zalać ususzone skórki chleba razowego. Wstawić do piekarnika i piec w kąpieli wodnej ok. pół godziny w temperaturze 140 st. C. Piekarnik wyłączyć i zostawić do wystygnięcia. Słodycz mleka i wanilii przeniknie się z lekką wytrawną goryczą skórek chlebowych, co jest po prostu pyszne. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na shopping do Paryża

Spóźniony lot, podły hotelik na przedmieściu i równie nikczemne jedzenie. Tak wygląda większość szumnie zachwalanych przez biura podróży wycieczek, których odpowiednio skadrowane i wyretuszowane zdjęcia (dźwig z sąsiadującej z hotelem budowy wycięto)... nęcą na reklamach.

Zamożniejsi mogą sobie pozwolić na imprezę w kategorii premium. Jednak nawet, gdy mieszkamy w pięciogwiazdkowym Westinie, to prędzej czy później dopadnie nas masowy obieg turystyczny. W Paryżu kolejka do Luwru nie zna kategorii premium... Wszyscy równo muszą odstać swoje. A potem, przepychając się łokciami, wśród tłumu podziwiać Rafaela.

Kiedyś było lepiej, jak mawiają dziadersi. Kiedyś, a nawet bardzo kiedyś, młodzieńcy jechali salonką na Grand Tour, zimę spędzali na Lazurowym Wybrzeżu, odbywali duchowo-religijną pielgrzymkę do Rzymu... Ilu było tych podróżników, dokładnie nie wiadomo, wiadomo, że nauczyciel wiejskiej szkoły na Podolu w Nicei nie bywał.

Mało znany aspekt wielkopańskich podróży w drugiej połowie XVIII w. rozwija Konrad Niemira w książce „Honor bez egzageracji". Okazuje się, że ich celem, wcale nie ubocznym, za to pomijanym w relacjach, były zakupy. Zrozumiałe, że nie chwalono się próżnościami, bo jeśli papa, właściciel paru tysięcy hektarów na Wołyniu, wysyłał syna do Paryża na naukę, to nie po to, żeby dowiedzieć się o jego wybrykach konsumpcyjnych. Tymczasem młodzieńcy szaleli po sklepach. Wydawali na fryzjerów, perukarzy, kupowali zegarki, stroje, wachlarze, puzdra.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Skąd to wiadomo? Konrad Niemira dotarł do niezawodnego źródła informacji: kronik policyjnych. Francuska policja prowadziła dokładne raporty, m.in. o podróżnych w hotelach. Pokazują one ich narodowość, stan społeczny, kondycję materialną. Najwięcej wśród turystów zagranicznych było Anglików i Włochów i byli to kupcy, rzemieślnicy, drobna szlachta. Polscy podróżnicy wywodzili się głównie z magnaterii. W dzienniczkach młodzieńcy zapisywali zakupy; wynika z nich, że bilety do opery i kabaretu dominowały nad lekcjami muzyki...

Kiedy mijam Hotel Europejski przy Krakowskim Przedmieściu, a w nim sklep Hermesa i Brunella Cucinellego (gdzie marynarka kosztuje 8 tys.), myślę, że może jednak nie tak wiele się zmieniło. Turystów przybyło i zmienił się ich status społeczny. Dzisiaj w Europejskim mieszkają biznesmeni i celebryci, zwykły przechodzień obok wystawy Hermesa przechodzi obojętnie. Z wycieczki do Grecji przywiezie sobie butelkę wina Retsina. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Covidowe ścieki

Procedury ogłaszające koniec pandemii spowodowały znaczny spadek zakażeń w Polsce. Okazało się, że tu chodzi o sposób mierzenia, nie o wirusa. No bo czemu u nas ok. 500 zakażonych dziennie, a w takiej Francji czy Niemczech po 150 tys. w tym samym dniu? Tamci nie stłukli tego termometru i mają cały czas gorączkę, my zaś może i coś mamy, ale jest to nieodnotowane w najważniejszym i ostatecznym kryterium – nie mamy wysypu śmierci spowodowanych koronawirusem.

Wielu się stara, by ominąć ten nakaz odejścia od totalnego testowania, bo w końcu jak to – tam szaleje choroba, a u nas nie? Ostatnio w Poznaniu wysilono się na obejście systemu. Zbadano ścieki na okoliczność występowania. I wyszło, że poziomy koronawirusa w wydzielinach miejskich są podobne do zeszłorocznych, czyli jak wtedy, kiedy mieliśmy (bo mierzyliśmy) po 10 tys. zakażeń dziennie. A więc wyszło, że wirus szaleje, tylko my tego zatrważającego faktu nie mierzymy.

No ja jestem ciekaw, czy, co i do końca będziemy w tych ściekach mierzyli. Czy jak przyjdzie do innego podejścia mierzalnego, to rura naukowa zmięknie? Otóż okazuje się, że – skoro nakupowaliśmy tych szczepionek jak głupi Jasio pączków – to coś trzeba z nimi zrobić. Popatrzmy na dane, najpierw w pieniądzu. Do końca roku mamy wywalić do… no chyba ścieków szczepionki za 200 mln zł. Tyle się bowiem przeterminuje, bo to chyba jasne, że 32 mld dawek leży przecież gdzieś sobie w przepisowych –70 st. C. Ba – idą następne, ciężko wywalczone, chociaż ostatnio kontestowane przez zmawiającego Niedzielskiego, miliony.

Do końca maja poszło w piach (w ścieki?) 5,3 mln szczepionek za 44 mln zł. Do końca wakacji przeterminuje się kolejne 6 mln dawek. Już pisałem o marnotrawstwie publicznych pieniędzy pod tym względem. No i nikt z winnych za to nie beknął, nawet chodzi się w glorii walczącego z byłym dostawcą, udając, że się nie wie, co się podpisywało za grube publiczne pieniądze.

A więc teraz namawiam władze sanitarne Poznania do wzmożenia badań nie tylko, ile jest COVID w odchodach poznaniaków. Poproszę o skrupulatne mierzenie, ile pływa szczepionek mRNA w ściekach. Swoją drogą, ciekawe byłoby przeanalizowanie, którą drogą przebiega utylizacja szczepionek przeterminowanych. Ile kosztuje, kto na tym zarabia i co z tego zostaje? Czy można przyjąć szczepionkę lub jej odpad z utylizacji, napiwszy się jej wraz z wodą z kranu? Z jakim skutkiem?

Postuluję krzyżowe efekty takich badań. Wyjdzie na bank, że im więcej szczepionek w ściekach, tym wirus mniej groźny. Nazwijmy to prawem Karwelisa. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Prorodzinna polityka pozorów

Czytelnikom „Do Rzeczy" nie muszę udowadniać, że jeśli pojawia się program z „równością" w tytule, to mamy jak w banku, że niesie on ze sobą ideologiczną, genderową agendę. Że „równość" w praktyce oznacza akceptację żądań LGBT+. Dlatego przyjęcie Krajowego Programu Działań na rzecz Równego Traktowania uważam za zdradę programu wyborczego Zjednoczonej Prawicy. Choć ideologiczne wątki rozproszono i ukryto w urzędniczym żargonie, to w KPDRT znalazło się wiele politycznych postulatów radykalnej tęczowej antykultury. Równolegle obserwujemy brak działań, o które od początku rządów Zjednoczonej Prawicy zabiegają środowiska konserwatywne i prorodzinne.

4 lipca w Warszawie uczestniczyłem w Forum Organizacji Prorodzinnych zwołanym przez Stowarzyszenie Rodzice Chronią Dzieci, Stowarzyszenie Odpowiedzialny Gdańsk i Instytut Ona i On. Całodniowe obrady odbywały się w gościnnej siedzibie Collegium Intermarium, a obok Magdaleny Czarnik, Agnieszki Marianowicz-Szczygieł, mec. Jerzego Kwaśniewskiego głos zabrali przedstawiciele 60 organizacji z całej Polski. W ocenie zebranych, mimo rządowego socjalnego wsparcia rodzin, polityka publiczna dotycząca rodziny i demografii wymaga przemyślenia na nowo. Rządząca większość, choć jest w posiadaniu raportów, badań i analiz, nie potrafi lub nie chce wypracować programu, by jasno przeciwstawić się antyrodzinnym nurtom i modom. Podejmowane dotychczas działania mają charakter doraźny, a nieraz wyglądają na działania pozorowane. Jednocześnie przyjmowane są KPDRT i KPO, w których w obszarach kultury uwzględniono postulaty gender mainstreaming. Ilustracją niech będzie skierowanie do sejmowej zamrażarki ustawy o Polskim Instytucie Rodziny i Demografii, a jednostka zajmująca się demografią w resorcie rodziny liczy tylu pracowników, ilu ma zespół ds. równości i antydyskryminacji na UJ.

Środowiska prorodzinne od lat zabiegają bezskutecznie o powołanie międzyresortowego zespołu, monitorującego i koordynującego polityki rodzinne. Taki zespół powinien też formułować zalecenia dla Rady Mediów Narodowych i KRRiT. Okazuje się, że rząd nie jest w stanie spełnić tak prostego postulatu, gdy tymczasem od lat funkcjonuje międzyresortowy zespół ds. równości. Społecznicy środowisk prorodzinnych są z jednej strony głęboko rozczarowani brakiem działań rządu, a z drugiej zdeterminowani, więc nie czekając, sami wypracowują programy ochrony małżeństwa, rodziny i dzieci wobec agresywnej genderowej agendy, realizowane często z publicznych środków. Kolejne Forum Organizacji Prorodzinnych zapowiedziane zostało na wrzesień. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Proszę o radę

Chciałem się dziś Państwa poradzić. Czy według Państwa interesujące i warte komentowania jest to, że Renata Kim z „Newsweeka" po tym, jak wywalono z „Newsweeka" Tomasza Lisa, napisała, że to ona poszła do wydawcy „Newsweeka" i powiedziała o mobbowaniu, którego dopuszczał się Tomasz Lis na podwładnych w „Newsweeku" i na niej między innymi właśnie, a wtedy były dziennikarz „Newsweeka" Wojciech Staszewski napisał, że Renata Kim była jego szefową w „Newsweeku" i że to ona jego mobbowała, a wtedy Tomasz Lis z pewną taką schadenfreude udostępnił wpis Staszewskiego, co nie stawiało Renaty Kim z „Newsweeka" w dobrym świetle, bo ona ciągle pracuje w „Newsweeku", a wtedy Renata Kim odpowiedziała Wojciechowi Staszewskiemu, kiedyś z „Newsweeka", że jak jeszcze był w „Newsweeku" i był jej podwładnym, to po prostu bywał raczej kiepski i kiepsko pracował w „Newsweeku", a nie było wcale żadnego mobbowania, tylko to było jakby motywowanie?

A w międzyczasie Tomasz Sekielski, teraz z „Newsweeka", na miejscu wywalonego z „Newsweeka" Lisa, napisał delikatnie, ale jednak, że za Lisa w „Newsweeku" była toksyczna atmosfera niestety, a wtedy, już dokładnie nie wiem kiedy, bo jest tego jakby nadmiar, ale właśnie wtedy głos zabrał redaktor Rafał Kalukin, kiedyś z „Newsweeka", a teraz już nie, i napisał, że jak był w „Newsweeku" i Lis był już szefem „Newsweeka", to Lis go mobbował, za wiedzą i zgodą wydawcy „Newsweeka", co tego wydawcy nie stawia w zbyt dobrym świetle, mimo że jest niemiecko-szwajcarski i że Kim była pod olbrzymim wpływem tego Lisa w „Newsweeku", i że akceptowała styl zarządzania czy tam mobbowania ludzi przez Lisa w „Newsweeku". Jednocześnie zauważyć należy, że Kalukin zasugerował, iż Lisa z „Newsweeka" władze wydawnictwa wyrzuciły za coś innego, chyba gorszego od tego mobbowania w „Newsweeku".

Wtedy, to znaczy wcześniej, ale wszystko rozgrywa się na naszych oczach, głos zabrał redaktor Ryszard Holzer, kiedyś z „Newsweeka", a teraz na emeryturze, teraz może mówić prawdę, bo prawo jest takie, że emerytom wolno. I on napisał, że był sekretarzem w „Newsweeku" i Lis stworzył tam atmosferę przesiąkniętą chamstwem, tak, chamstwem, no tak napisał, kto by pomyślał, przecież tam były takie standardy „Newsweekowe" wysokie, ale jednak, i że naciskały na niego władze z postaci działu personalnego niemieckiego wydawcy i on w końcu odszedł w związku z tym z tego „Newsweeka" z tego naciskania, bo rzeczywiście był tam klimat raczej upadlający dla pracowników tego jakże wspaniałego koncernu.

Więc chciałem się Państwa poradzić, czy to ciekawe? ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

My, skazani na Huzię i Józia

Małgośka, mówią mi, ci od babci Kasi aż do dziadka Tuska też kochają Polskę – tylko inaczej. No ba – odpowiadam – znam takich, którym się cyfra 6 z cyfrą 9 myli i też uważają się za świetnych matematyków. Mam dziwne wrażenie, że przez wojnę kolejny raz pęka kruchy lód cywilizacji, a jeszcze totalniacy łażą i tupią po nim w onucach pożyczonych od sąsiada. Niepojęte, że nikt z nich nigdy nie słyszał porady M. Twaina: „Lepiej jest nie odzywać się wcale i wydać się głupim, niż odezwać się i rozwiać wszelkie wątpliwości".

Ja zaś, od kiedy zobaczyłam w zjawiskowej katedrze w Sewilli ołtarz z Niemym Dzieciątkiem, które ponoć udziela wszelkich łask, jeśli wierny przez dziewięć dni nie otworzy ust, wnoszę o popularyzację podobnego kultu w Polsce, zwłaszcza przez kler sympatyzujący z opozycją. Ilekroć widzę, jak arogancko grasuje po fejsie ks. Sowa – też mu życzę wszelkich łask od Niemego Dzieciątka tudzież wszelkich blokad od Zuckerberga.

Ksiądz, który kipi pogardą do sporej części Polaków, to jednak unikat, choć i innych Lemańskich mamy pod dostatkiem. Najgroźniejsi są jednak nasi separatyści i anarchiści bez sutanny, dlatego uważam, że wzorem Hiszpanii, która w każdych lokalnych wyborach po kawałku odbija kraj z rąk lewicy, czas wreszcie organizować debaty, w których wybrzmiałyby zdrowy rozum i patriotyzm kontra ideologiczne otumanienie i serwilizm prounijny. U nas każda strona gada tylko do swojej bańki medialnej i w efekcie następuje coraz większa polaryzacja na korzyść słupków dla pana, który mnichem czy tam Szymonem Słupnikiem zostając, najwięcej dobrego dla ojczyzny mógł uczynić. O ile jednak w Hiszpanii do udanej rekonkwisty przystąpili młodzi i charyzmatyczni, o tyle u nas wciąż sterani weterani wojny polsko-polskiej, i nawet sto szkoleń dla PiS typu „Jak mówić, aby ludzie słuchali" nie sprawi, aby z piersi wyrywało się: „Sasin – mon amour!".

Pamiętam, jak w Madrycie na spotkaniu światowej prawicy można było obejrzeć pełnych luzu: Teda Cruza, Santiago Abascala (który przyzwyczaił już do wizerunku z cygarem i na koniu), ponadto śpiewającego Venturę, rozkrzyczaną Meloni, aż do czasu, gdy na telebimie ukazali się sztywni jak drzewce flag, na tle których wystąpili: Morawiecki i Kaczyński. Publika aż zamarła, bo chyba myślała, że to będzie jakaś transmisja z funeraliów, a to „nasi" byli! Wszak polska prawica wciąż w estetyce partyjnej „akademii ku czci", a później się dziwi, że Trzaskowski faworytem. Ten przynajmniej nie myli koturnowości z butami na koturnach. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Granice Europy

Rezygnacja z walki oznacza zgodę na zniewolenie. Można za cenę takiej zgody uzyskać spokój, jaki przynosi odwrócenie wzroku od otaczającej nas coraz ciaśniej rzeczywistości, schylenie głowy, rezygnacja z godności. Ofertę podobnego spokoju daje w końcu każdy system imperialnej dominacji. Żeby taką ofertę odrzucić, potrzebna jest odwaga. Odwaga ofiar agresji, które nie chcą pozostać tylko biernymi ofiarami, jest czarną dziurą imperiów. Była potrzebna wiele razy w Polsce. Runęły w końcu Rzesza Bismarcka i Rzesza Hitlera, imperium Habsburgów i imperium carów, runął nawet Związek Sowiecki. Bez odwagi tych, którzy te imperia rozbijali od środka (oczywiście nie tylko Polaków), nie byłoby to możliwe.

Już jednak w 1989 r. ogłoszono Koniec Historii. Reklamodawcy tego hasła zapewniali, że odwaga już nie będzie konieczna, bo już nie będzie zniewolenia ani przemocy. Przynajmniej nie w Europie. Ostatnie imperium upada, a my „wchodzimy do Europy". No, ewentualnie będzie jeszcze potrzebna odwaga zmierzenia się z dziedzictwem własnej wspólnoty historyczno-kulturowej, które powinno być odrzucone – jako nienormalne, niepasujące do nowego wspaniałego świata, który się przed nami otwierał.

Na wschód od nas jednak uporczywie trwał „inny świat", jakby pomniejszony, po rozpadzie ZSRS, ale przecież wciąż na terenie największego terytorialnie państwa świata. Niektórzy nie chcieli tego zauważyć. Odwracali właśnie wzrok od rzeczywistości: kiedy na progu panowania nowego prezydenta ze starej organizacji (KGB) Rosja wyrżnęła jedną piątą ludności małej, zbuntowanej republiki czeczeńskiej; kiedy w 2007 r. ten sam prezydent ogłosił na konferencji w Monachium deklarację wojny z Zachodem; kiedy w sierpniu roku następnego najechał zbrojnie na sąsiednią Gruzję i oderwał od niej kawał terytorium; kiedy w 2014 r. dokonał, znowu zbrojnie, I rozbioru Ukrainy, zajmując Krym oraz część Donbasu.

Gdy Rosja przystąpiła w lutym tego roku do nowej agresji, dopiero odwaga Ukraińców w obronie własnego domu, własnych dzieci, żon, rodziców, przypomniała, że Historia się nie skończyła. Że bez odwagi można być tylko niewolnikiem.

Unia Europejska obiecywała tymczasem wyzwolenie od takiej alternatywy: mieliśmy cieszyć się wolnością od Historii i skupić na wojnie z przeżytkami naszej tradycji (religijnej, kulturowej, patriarchalnej, starofeministycznej nawet), zapisanej w „złych słowach" i „złej pamięci". Mieliśmy budować ów nowy wspaniały, „zielony" świat („Fit for 55") dzięki nieograniczonemu handlowi z Rosją. Tani – dla Niemiec, Austrii czy Włoch – gaz od Putina miał pozwolić przejść stopniowo do raju bez węgla i atomu.

Rosja jednak podbiła stawkę. Europa ma zapłacić za powrót do raju posthistorii, tak jak płaciła Hitlerowi za „pokój dla pokolenia" w końcu września 1938 r.: własnym upokorzeniem i ofiarą uczynioną z „kraju dalekiego" i z „ludzi, o których nic nie wiemy" (cytaty w tym zdaniu pochodzą z wypowiedzi premiera Chamberlaina z czasu konferencji w Monachium). Wtedy chodziło o Czechów, dziś o Ukrainę. A jutro? O taki kraj, takie terytorium, które wskaże imperialny agresor, jak długo nie przekroczy tej granicy mentalnej, za którą zaczyna się dla Berlina, Paryża czy Brukseli „prawdziwa Europa", to jest granicy wschodniej Niemiec. Dziś jest to Ukraina, jutro może być Litwa czy Mołdawia, a pojutrze nasz kraj…

„Stara" Europa ofiaruje Ukrainie solidarność, ale nie chce solidarności walczącej, tylko takiej, która zachowuje pozory. Chce wrócić jak najszybciej do świata pozorów: pozorów bezpieczeństwa i postępu. Czy mamy się z tego powodu odwrócić od niej? Nie, nie możemy. Polska tak nie może postąpić, bo jest częścią Europy, dzieli los tej cywilizacji, odkąd została do niej w roku 966 włączona. Musimy mieć odwagę walki nie tylko z imperialną Rosją, lecz także walki o Europę, o przezwyciężenie jej kryzysu moralnego, kulturowego, politycznego.

Ten ostatni polega na stale odnawiającej się pokusie imperialnej Paryża i Berlina. Karłowate postaci obecnych następców Napoleona i Bismarcka wciąż czują się w prawie pouczać, rządzić i sprzedawać słabszych, jakby trwał jeszcze wiek XIX. Musimy odnaleźć w sobie odwagę i upór, by im odpowiadać, by nie pozwolić na samobójstwo naszej cywilizacji – wspomagane przez Rosję.

„Przecisnąć się do Europy, zatknąć swoje zwycięskie orły na kupach gruzów i zwalisk, albo na kupach błota, nagromadzonych przez podłość jednych, przez nieudolność drugich, przez niezgodę wszystkich". Tymi słowami zwracał się w roku 1847 Zygmunt Krasiński do francuskiego ministra spraw zagranicznych, Guizota, charakteryzując strategiczny cel rosyjskiego imperializmu. To nie jest tylko głos rozpaczy. W tej wizji zawarte jest wezwanie: zrobić wszystko, by do jej spełnienia nie dopuścić. Nadal aktualne. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

SZEMRANIE

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W czerwcu jeździłem z występami po Polsce i naoglądałem się dużych miast. Teraz oglądam prerię w USA. Zaskakująco podobny widok. Na prerii nikt nie kosi trawy, bo… jesteśmy na prerii. Dzicz. Czasami przychodzą krowy pojeść, ale ogólnie trawę na prerii mamy po kolana. I to samo widziałem w polskich miastach – trawa po kolana. Nowa moda z kretyńskimi uzasadnieniami zielonych szaleńców z UE.

A ja uważam, że miasta mają wyglądać ładnie, mają być zadbane, trawniki strzyżone, klomby nasadzone kwiatami. Gdy ktoś chce brodzić po pas w badylach i chwastach, jedzie za miasto. Zieloni szaleńcy twierdzą, że gdy się w mieście zostawi niekoszone badyle, to powietrze staje się od tego lepsze. Co za bzdury!

Kiedyś z Zachodu przychodziły do nas cywilizacja i postęp, rozwój, a teraz Zachód ciągnie nas wstecz do czasów komuny. Za komuny miasta nie były zadbane, a trawę kosili z okazji 1 maja i 22 lipca. Miasta były zapuszczone, zapyziałe, zaniedbane, bezpańskie, dzikie, bo nie liczyli się człowiek, estetyka, lepsze życie ani komfort. Teraz też człowiek się nie liczy, gdyż bogiem została natura i mamy jej służyć.

***

Dzikie chwasty w mieście nie produkują więcej tlenu niż ładny gęsty trawnik, nie wyłapują więcej kurzu, za to wśród bujnych chwastów jest więcej robactwa. A miasto powinno być wolne od robactwa. Tysiące ludzi zamieszkałych w dużym zagęszczeniu nie chce komarów ani much, ani żuków, ani biedronek i mszyc. Miasto powinno być sprzątane, koszone, a kiedy trzeba, także pryskane przeciw owadom. Bo owady nie tylko gryzą, lecz także roznoszą choroby, a może i jakieś pandemie. Nie wiemy, co nowego wyprodukują – była świńska grypa, teraz wymyślili coś od małp, ale się nie sprawdza, to może wprowadzą coś od much lub komarów i się znowu zacznie. Im mniej robactwa w mieście, tym lepiej – tak uważam.

Jeszcze chwila i UE zacznie chronić miejskie szczury, bo to są zwierzątka i człowiek wszedł na ich teren, a człowiek to szkodnik, przeciwnik natury. Kretyn jestem, że tak mówię? Kretynem zostałem dawno temu, gdy ostrzegałem, że UE zacznie chronić krety. I co? I jajco – kret jest pod ochroną od dawna i ryje, bo to człowiek wszedł na jego teren i pozakładał te okropne piękne trawniki.

Pszczoły na dachach w blokowiskach. Kretyn to wymyślił! Pszczoły i osy w mieście należy tępić, bo żądlą, gryzą, a ludzie miewają alergie i puchną do uduszenia włącznie. Chcemy rozmnażać pszczoły, bo są potrzebne, ale nie w miastach. Czy tylko ja mam takie zdanie?

***

Na mojej wsi w USA raz w tygodniu przyjeżdżają po śmieci. Śmietnik mam jeden na wszystko. Jeżeli obok śmietnika postawię coś dodatkowego, co się nie mieści – zabierają z radością! I nie dopłacam. Firma śmieciarska się CIESZY, gdy wystawię stary telewizor lub pralkę, lub stos kartonów czy połamane rury. Cieszą się, bo oni to sobie potem posortują i sobie na tym zarobią – na złomie, na recyklingu itd. Sortowaniem zajmuje się firma śmieciarska, nie ja. Mają do tego maszyny oraz ludzi. Grzebią w moich śmieciach, bo taka ich robota. Mają kompostownik i produkują humus z odpadów spożywczych. Mają kruszarki do szkła, prasy do makulatury. Taka ich robota, a większość zarobku dostają nie za wywóz śmieci, ale z ich sprzedaży i przetwarzania. I płacę za tę usługę mniej niż w Polsce, choć kubeł mam taki sam.

Na mojej polskiej wsi (mam gospodarstwo) śmieciara EKO jeździ, hałasuje i smrodzi codziennie. Kiedyś jeździła raz w tygodniu, czyli smrodu i spalin było mniej. Czyli kiedyś było bardziej EKO. Przed każdym domem barykada kolorowych kubłów. Wioska wygląda od tego jak jeden wielki śmietnik. Wymyślili to ci sami zieloni popaprańcy, którzy chcą, by miasta były zarośnięte chwastem.

***

W każdej sali, gdzie dawałem występy, stały kolorowe kubły. Sześć lub osiem. Czy to ładnie wygląda? Kubeł powinien być jak kibel – dyskretny, a nie krzykliwy. Ponadto powinien być prosty w obsłudze, a te zestawy śmieciowe proste nie są. Nigdy nie wiem, gdzie wrzucić to, co mam w ręku, więc wrzucam na chybił trafił i szajs.

W drodze do USA miałem przesiadkę w Paryżu i tam mnie przyłapał jakiś ekopolicjant. Groził mandatem, bo wyrzuciłem flaszkę nie do tej dziury.

– A do której powinienem wrzucić? – pytam.

– Szkło tutaj!

– Ale na flaszce jest papierowa etykieta. To może do papieru? Czy może mam zerwać etykietę i wywalić osobno?

– Szkła jest więcej.

– OK. Nie wiedziałem. A tu jeszcze mam chusteczkę do nosa. Gdzie to dać?

– Papier tu!

– Ale… Ona jest mocno nasmarkana, czyli raczej bio. Smarków jest więcej.

Moje szczęście, że Francuz niewiele rozumiał po angielsku, bo bym dostał ten mandat.

***

Czy naród wreszcie wrzaśnie WON do tych wszystkich ekoterrorystów zatruwających nasze życie, oszpecających nasze miasta i wsie? Biskup Piotr Wysz, który żył na przełomie XIV i XV w., mówił: „Wszyscy szemrzą, nikt nie wrzaśnie". Ludzie gadają po kątach, co im się nie podoba, ale nikt nie wrzaśnie: WON Z TYM, WON.

Po górnikach bym się spodziewał, że potrafią wrzasnąć na premiera, gdy proponuje ekogłupoty. Górników bały się komunistyczne dyktatury za Gomułki, za Gierka i za Jaruzela. Bo wtedy górnicy byli jeszcze mężczyznami, a teraz tylko szemrzą po kątach, jak baby. Premier Morawiecki „uzgodnił z górnikami odejście od węgla". I GÓRNICY SIĘ NA TO ZGODZILI.

Nikt nie wrzasnął, wszyscy szemrzą. Niemcy, Austria, Holandia wracają do elektrowni węglowych, uruchamiają je ponownie. Przecież to szansa także dla nas. No ale nikt nie wrzasnął.

Parlament Europejski chce za pięć lat wprowadzić opłaty od emisji budynków mieszkalnych i samochodów, czyli zapłacisz nowy podatek podymny. Masz komin albo rurę wydechową – płacisz. Myjesz ręce – płacisz. Robisz kupę – płacisz. I ja oczywiście jestem kretyn, ale… chodzisz na siłownię, to znaczy, że emitujesz więcej CO_2, czyli powinieneś płacić, bo psujesz klimat. ©℗

eprasa.pl 660f69da97

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

ALEKSANDER KOTOW „MYŚL JAK ARCYMISTRZ", **NIGEL WARBURTON** „KRÓTKA HISTORIA FILOZOFII", **JOHN LEWIS GADDIS** „GENIUSZE STRATEGII"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~562 ZŁ~~

226,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 336 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 660f69da97

eprasa.pl 660f69da97